enedykt Dybowski.

O SYBERJI I KAMCZATCE

LWÓW.
NAKŁADEM „KURJERA LWOWSKIEGO".
Drukarnia Udziałowa, Lwów, Lindego 8.
1900.

Dr. W. Dybowski

O Syberji i Kamczatce

LWÓW
„Drukarnia Udziałowa“ (K. Wiesnera), Lindego
1899.

WSTĘP.

Nie ma chyba na całym lądzie naszym drugiego kraju takiego, jak Syberja, któryby mógł dotąd jeszcze dawać temat do wygłaszania zdań najsprzeczniejszych, a pomimo to do pewnego stopnia słusznych. Ze zdaniami rzeczonemi spotykamy się bardzo często wśród publiczności europejskiej; konstatując sam fakt, dziwić się mu atoli nie mamy powodu, gdy zważymy, że miano „Syberja“ jest nazwą zbiorową. Pod nią rozumieją zwykle olbrzymią część lądu azjatyckiego w którym mieszczą się różnorodne sfery klimatyczne, różne flory i fauny i różne ludy. Cechą dla nich wspólną jest chyba ta okoliczność, że pozostają pod berłem jednego tronu, i że są rządzone temi samemi prawami— bezprawia — ich wykonawców.

Od Obdorska do Minusińska, od Kołymska dolnego (Niżnikołymsk) do Possietu, mienią tę całą przestrzeń Syberją, nic tedy łatwiejszego, jak znaleźć, na obszarze rzeczonym, wedle upodobania takie barwy i takie cienie, jakie dla danego obrazu uważa się za konieczne, albo przynajmniej za właściwe.

U nas w kraju już sama nazwa Syberja budzi zwykle przykre uczucia, wywołane oko-

licznością, że od czasu wojen Batorego, a szczególniej od epoki Konfederacji Barskiej, kraj ten służył za miejsce deportacji patrjotów naszych. Pod wpływem tak ujemnego czynnika, jakim jest t. z. „zsyłka“ rządu rosyjskiego, który wpływa wielce niekorzystnie na bezstronność sądu o krajach wygnania i ludach tam zamieszkałych — wytworzył się u nas cały szereg prac literackich, rzec nawet można cała gałęź literatury ojczystej, stanowiącej główne źródło, skąd czerpiemy zwykle wiadomości o Syberji.

Gdybyśmy jechali na wschód wolni, swobodni, nie otoczeni ciągłą opieką barbarzyńską konwojującej siły zbrojnej i zgrai urzędniczej, znaleźlibyśmy tam niezawodnie zamiast barw, jakiemi malują zwykle Syberję, inne farby, mniej ponure i mniej krzyczące, a mianowicie bylibyśmy tam widzieli kraj żyźny, zdrowy, budzący człowieka do silnej, energicznej pracy, bogaty w mnogie dary, jakie natura dzika, surowa, a po części jeszcze dziewicza, swym dzieciom słać pod stopy może, ujrzelibyśmy obok jednociągłych, oko nużących stepów, inne także krajobrazy, wielce urozmaicone, to piętrzące się wspaniałymi, górskimi szczytami, o nieprzebranym bogactwie leśnem i mineralnem, to rozścielające się, albo kobiercem różnobarwnym „stepów“ i łąk ukwieconych, albo też równinami i dolinami, o szerokich, bystrych rzekach, olbrzymich jeziorach, obfitujących w rozmaite gatunki ryb, — słowem napotkalibyśmy tam glebę, zarysy powierzchni ziemi, florę i faunę, nie ustępującą pod wieloma względami europejskim. A ludzie? — i ci nie byliby

tak czarni, jak ich zwykle przedstawiają, owszem wybieleliby oni przy bezstronnem porównaniu z ludnością wiejską Europy, bo dodatnie przymioty Sybiraków, jak czystość, którą utrzymać umieją około siebie i w swych pomieszkaniach, gościnność, współczucie dla nieszczęść bliźnich, a do tego brak serwilizmu poddańczego i fanatyzmu religijnego, stawia ich wysoko a nieraz nawet i po nad zwykły poziom moralny włościan europejskich.

Świat syberyjski i ludzie Syberji zasłużyli na to, ażeby poznać ich bliżej. Ci ostatni noszą w sobie zarodek marzonego tylko dotąd przez nich jeszcze pragnienia czynności dziejowej, która jednak wykwitnąć tylko może na gruzach murów więziennych, które dzisiaj ich zewsząd otaczają. Syberja i Sybiracy mają to do siebie, że w każdym prawie z obcych, czasowo przebywających, wzbudzić potrafią uczucia sympatji, które trwają dłużej, niż sam pobyt ich w tym kraju.

Najpiękniejszą atoli i najbardziej ujmującą częścią Syberji jest, według mego zdania, wschodnia jej połowa, a to poczynając już od Jeniesieja, który stanowi ważną granicę dla fauny i flory. Drugą taką granicę napotykamy w okolicach gór Bajkalskich, i odtąd w kierunku na wschód rozpoczyna się szereg krajobrazów, odznaczających się, już to pięknością i malowniczością samego pejzażu, już to imponującym majestatem ich wielkości i ogromu.

W dwukrotnie odbytej przezemnie podróży przez całą Rossję europejską, w kierunku do Syberji, szlakiem na Moskwę, Nowgorod dolny (Niżnienowgorod), Kazań, Permę, Ekaterynburg,

a w dalszym ciągu tej drogi, przez Syberję zachodnią, więc Tiumień, Tomsk, następnie przez zachodnią część Syberji wschodniej, przez Krasnojarsk, Udinsk dolny (Niżnieudińsk), aż do samego Irkucka, napotkałem mniej okolic pięknych i godnych widzenia i podziwu, aniżelim ich poznał na wschód od Irkucka, jadąc drogą, wiodącą ku oceanowi wielkiemu, który nosi niezasłużone przezeń wcale miano, oceanu spokojnego.

Bajkał z pięknemi dolinami Sielengi, Angary, Irkuta. Daurja z rzekami Ingodą, Ononem i Argunią. Doliny rzek: Szyłki, Amuru, Zei, Ussuri — to są okolice, które zachwycić potrafią, tak dobrze pejzażystów, jak i przyrodników.

Wraz z pięknością miejsca, oryginalnością flory i fauny uderzają zwiedzających wschodnią Syberję i odrębne, sympatyczne cechy jej mieszkańców. Już nie mówię o plemionach tubylczych, jak: Burjatach, Karagazach, Tunguzach, Oroczonach, Gilakach, Mandżurach, Korejczykach, Ajnach, Kurylczykach, Aleutach, Kamczadalach, Korjakach, Łomutach etc., lecz nawet i miejscowa ludność, pochodzenia europejskiego, stanowi typ odmienny od pobratymców swoich, zachodnio-syberyjskich.

Akademik petersburski, Middendorff, który osobiście zwiedził Syberję wschodnią i zachodnią, wypowiedział zdanie, że każde 1000 wiorst, przebyte w kierunku na wschód, przenosi podróżnika o 100 lat wstecz. Powiedzenie to jest poniekąd słuszne, bo im dalej się posuwamy ku wschodowi, tem więcej oznak cywilizacji zachodniej nas opuszcza, aż daleko na krań-

cach lądu azjatyckiego, na wybrzeżach morza Berynga i morza Mandżurskiego, zdawać się będzie podróżnikowi, że dotąd jeszcze żyją tam ludzie tak, jak n. p. żyli nasi przodkowie w dziesiątem stuleciu niniejszej ery historycznej.

Daleko na wschodzie napotkać jeszcze można „ludzi natury", z tem piętnem dziecięcej naiwności, która tak każdego ku sobie pociąga, że tym ludziom chętnie się wybacza brak tresury cywilizacyjnej, a w wielu wypadkach im się zazdrości nawet, że nie zaznali dotąd skutków tej cywilizacji. To też nie można się dziwić Prof. Ermann'owi, że w pamiętnikach swoich, kreślonych podczas pobytu na Kamczatce, powiada, iż były chwile w życiu jego, gdy pragnął, ażeby o nim zapomniano w Europie, by mógł wtedy na łonie dziewiczej natury kamczackiej, w otoczeniu uczciwych tubylców, spędzić resztę swojego żywota.

Wśród różnych ludów Syberji wschodniej, w jej miejscowościach rozmaitych, przeżyliśmy lat kilkanaście i jakkolwiek pragnienia Ermannowskie, nie były ani na chwilę naszemi, wszelako przymioty dodatnie mieszkańców, spokój, rozlany w przyrodzie tamtejszej, mało albo wcale nie zmienionej kulturą, przytem brak walki zwierzęcej wśród warstw społecznych, wytwarzającej niepokój i rozgoryczenie, tak przykre dzisiaj w Europie, kazały nam nieraz zazdrościć tym wiekom, i tym ludom, które nie znały, i nie znają błogosławieństwa cywilizacji nowoczesnej, depczącej z cynizmem egoistycznym zasady miłości braterskiej ludów i sprawiedliwości powszechnej, nadto niszczącej gwoli tylko zaspakajania żądz

niskich i poziomych, osłanianych dla pozoru wspaniałą draperją wymogów rzekomej polityki państwowej — miljony rodzin i setki ludów i plemion.

Głęboko wyryły się w pamięci naszej i kraje i ludzie, którycheśmy tam poznali na wschodzie dalekim, a gościnność, uprzejmość, współczucie dla nieszczęść naszych i kraju naszego, cośmy nieoczekiwanie znaleźli, zyskały wdzięczne dla siebie miejsce w sercach naszych. Wywołując dzisiaj te obrazy przeszłości, pragnąłbym przelać w serca czytelników uczucia szczerej sympatji, jaką powziąłem do przyrody i do ludów tamtejszych, które również, jak i my, niosą brzemię ciężkiej niedoli, tem smutniejszej atoli od naszej, że w ich duszy zagasła nadzieja lepszej przyszłości.

Opowiadanie moje o Syberji i Kamczatce oblekam w formę luźnych szkiców, którym nadaję nazwę: *Obrazków ze wschodniej Syberji i Kamczatki.*

Miasto Irkuck.*)

Rozpoczynam od grodu stołecznego Syberji wschodniej, mianowicie od opisu miasta Irkucka, które wtedy, gdyśmy tam przybyli, uchodziło za centr inteligencji, za ognisko handlu i przemysłu w oczach patrjotów syberyjskich, rokujących mu przytem przyszłość świetną i wspaniałą.

Miasto Irkuck założone zostało w roku 1646-tym przez „starszynę" kozackiego, Jana Pachabowa, liczy już więc dzisiaj 253 lata swego istnienia, którego ani pięknem, ani sławnem nazwać nie można, oddało ono wszakże ważne usługi rządowi, służąc za punkt oparcia podczas całego, długiego procesu zawojowania, ujarzmienia i tępienia plemion wojowniczych burjackich.

Przed innemi miastami głównemi Syberji Irkuck odznaczał się pod tę porę obecnością znacznej ilości typów mongolskich wśród ludności miejscowej, co mu też nadawało wyraz bardziej azjatycki. Zresztą w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było to miasto dosyć liche i brudne, o wyglądzie nudnym, pospolitym, nie miało żadnych bruków, domy były przeważnie drewniane, głównie z cedrów bajkalskich budowane, niskie, zazwyczaj parterowe, rzadziej piętrowe. Z wyjątkiem gmachów rządowych, mieszkańcy nie wznosili prawie murów, a to z obawy przed ponawiającem się od czasu do czasu trzęsieniem ziemi. Pomiędzy domami cią-

*) Widok ogólny miasta Irkucka str. 10, widok wnętrza kaplicy św. Inocentego str. 12 i widok gmachu Tow. georgraficznego str. 15.



Widok miasta Irkucka od strony wjazdu z Europy. Tak wyglądało to miasto przed pożarem 1879 r.

10

gnęły długie parkany z desek, które zasłaniały od ulicy place puste, zajęte najczęściej pod ogrody warzywne. Drzew w mieście nie było prawie żadnych, bulwarów, miejsc spacerowych nie znano i najpiękniejsze partje, jak n. p. wybrzeża majestatycznej Angary, były zarzucone śmieciem, wywożonem z miasta. Szczupły ogród, zwany „Gubernatorskim", był jedyną ozdobą drzewną Irkucka. Trotuary budowano z desek, które wykonywały najczęściej ruchy klawiszowe pod stopami przechodniów. Wzdłuż chodników biegły tu i ówdzie rowy, imitujące wprawdzie rynsztoki miejskie, tylko, że nie miały żadnego ścieku ku rzece, stąd też woda, przepełniająca je na wiosnę i w jesieni, a także latem po każdym deszczu, stała tak długo, aż odparowała powoli pod działaniem promieni słonecznych. W dnie jasne, pogodne, letnie, przejazd każdej dorożki wywoływał tumany pyłu, a każdy powiew silniejszy wiatru podnosił kurzawę niezwykłą.

Jeżeli za dnia miasto miało wygląd niepozorny, to wieczorami, a szczególniej w ciemne noce bezksiężycowe, robiło wrażenie bardzo smutne, oświetlenie bowiem było tak skąpe, że w cieniach ulic dokonywano kradzieży i rozbojów niemniej bezpiecznie i bezkarnie, jak w polu za miastem. Co do złoczyńców, to była ich w mieście i okolicy moc wielka, gdyż Irkuck leży na trakcie, po którym wędrują kajdaniarze, zbiegli z kopalń Nerczyńskich i Karyjskich, nadto miał on także pod bokiem zakłady karne, n. p. Ussolski, i do niego nareszcie, na leże zimowe, gromadziły się tłumy robotników z kopalń północnych, Witimskich i Olekminskich.



Wnętrze kaplicy z grobem św. Inocentego Kulczyckiego.

Miasto liczyło podówczas 30.000 mieszkańców i trzysta kilkadziesiąt zakładów, gdzie sprzedawano napoje gorące, miało kilka bazarów dosyć schludnych, ogromną ilość kramów, a jeszcze większą straganów, przy których kupczono pod gołem niebem. Cerkwie, stosunkowo liczne, wznosiły się nad niskiem miastem, lecz ani pięknością architektury, ani harmonją kolorów, zdobiących je na zewnątrz, nie celowały wcale, tak n. p. cerkiew, malowana na czerwono („Krasnaja cerkow“) z zielonemi okiennicami i kopułami zdobiła najparadniejszą ulicę, zwaną wielką („Balszaja ulica“), przy tejże ulicy mieściły się przedniejsze magazyny, które się jednak nie odznaczały ani doborem towarów, ani ich taniością. Oprócz cerkwi prawosławnych, istniał w mieście kościołek katolicki z pięknie rzeźbionym ołtarzem, którego zdjęcie fotograficzne reprodukował w swoim czasie „Tygodnik illustrowany“. Rzeźbę ołtarza wykonał ziomek nasz, sławny w kronice Irkucka stolarz Eichmiler*) pod kierownictwem budowniczego Kulikowskiego. Następnie był jeszcze kościół ewangelicki, synagoga izraelicka w domu prywatnym urządzona, a nie opodal od Irkucka dwa monastery, jeden z nich żeński, drugi męski, ten ostatni sławi się na całą Syberję wschodnią, gdyż w jego cerkwi przechowują zwłoki świętego Inocentego Kulczyckiego, patrona Irkucka. Wedle miejscowego podania, święty rzeczony, ma być synem parocha z djecezji kijowskiej, lecz rodowód jego historyczny sięga znacznie dalej. Są dotąd w gubernji Czernihowskiej Kulczyccy, nobilitowani około 999 roku, i użvwający przydomka „kot“. Z jednej gałęzi

*) Życiorys Eichmilera podany będzie poniżej.

tej rodziny, która jeszcze za czasów Rzeczypospolitej dostała się pod panowanie rosyjskie, ma pochodzić wychowaniec akademji kijowskiej, święty Inocenty, który ukazem synodu z dnia pierwszego grudnia 1804 r. zaliczony został do rzędu świętych kościoła prawosławnego, przyczem nakazano obchodzić uroczystość św. Inocentego Irkuckiego dnia 26. listopada starego stylu. Na tę uroczystość ciągną zwykle ze stron dalekich, od Onona i Ingody n. p., pielgrzymi pobożni, wiozący bogate dary dla monasteru. Za naszych czasów nie było w mieście żadnych świątyń dla ludności tubylczej, gdyż oficjalnie zaliczano ją wtedy do kategorji „nawróconych na prawosławie“.

Irkuck posiadał w latach, o których tu mowa, gimnazjum klasyczne, szkołę techniczną niższą, instytut dla panien, „szlachetnie urodzonych“, czyli dla córek urzędników, gimnazjum żeńskie, instytut dla cór osób stanu duchownego, szkołę junkrów, szkołę niższą wojskową, seminarjum prawosławne, a nadto kilka zakładów naukowych niższych, dom sierót etc.

Instytucje Irkucka, mające na celu szerzenie oświaty wśród osób dojrzałych, były następujące: Bibljoteka publiczna, miejska. Towarzystwo lekarzy i sławne podówczas na całą Syberję towarzystwo naukowe, noszące miano „Oddziału wschodnio-syberyjskiego towarzystwa geograficznego“. Do składu towarzystwa rzeczonego należeli wszyscy uczeni, bawiący we wschodniej Syberji, a także i ci, którzy pragnęli przyłożyć się do postępu wiedzy geograficznej i przyrodniczej w tym kraju. Opiekunem towarzystwa był każdorazowy generał-guber-



Widok gmachu Towarzystwa geograficznego w Irkucku.
Gmach ten został wzniesiony po pożarze.

nator wschodniej Syberji, zaś prezesem jeden z wybitniejszych urzędników państwowych, wojskowych. We własnym lokalu Towarzystwa geograficznego miały miejsce odczyty publiczne i sprawozdania z czynności jego. Tu po raz pierwszy, w cyklu swych olbrzymich podróży, wygłosił. natenczas pułkownik, Mikołaj Przewalski, rodem z dawniejszego województwa Smoleńskiego, sprawozdanie o poszukiwaniach, dokonanych z własnej inicjatywy na Amurze i Ussuri; tutaj mieściły się zbiory cenne: mianowicie gabin. mineralogiczny, geologiczny, botaniczny, zoologiczny i etnograficzny, wraz ze szczupłą bibljoteką, złożoną z dzieł naukowych. Zbiory rzeczone były uporządkowane staraniem ziomków naszych: Aleks. Czekanowskiego, którego ojciec pochodził z Galicji*), Jana Czerskiego, a po części Dra Ignacego Łagowskiego i Konstantego Żebrowskiego. Kustoszem gabinetu był przez czas dłuższy Jan Czerski**), ale na nieszczęście dla nauki, wszystkie te zbiory, o których była mowa, spłonęły podczas pożaru 1879 r. i w ten sposób zniszczone zostały prace mozolne całego szeregu badaczy. Po

*) Ojciec A. Czekanowskiego rodem z Galicji, był pedagogiem, gorącym patrjotą austrjackim i wielbicielem kultury niemieckiej, miał pensjonat w Krzemieńcu. W tym pensjonacie wychowywał się X. Stefan Lubomirski. Matka Aleksandra była Polką, ale nazwa jej rodziny jest francuskiego pochodzenia, zmarła ona wcześnie, pozostawiając syna dzieckiem małem, w wychowaniu więc jego nie mogła brać żadnego udziału, jak to mylnie utrzymuje akademik F. Schmidt, w życiorysie Aleksandra Czekanowskiego, przeciwnie, wychowaniem syna zajął się ojciec i jemu zawdzięczał Aleksander gruntowną znajomość języka niemieckiego. (Szczegóły wymienione zawdzięczam X. S. Lubomirskiemu).

**) Życiorys Jana Czerskiego podany będzie osobno.

stracie tam zielnika Turczaninowa, w którym były deponowane typy roślinne, służące do opisu gatunków flory wschodnio-syberyjskiej, szczególnego nabiera znaczenia zielnik Dra J. Łagowskiego, według typów Turczaninowa determinowany, a który znajduje się obecnie w gabinecie botanicznym Uniwersytetu Lwowskiego, gdzie także umieszczono portret tego zasłużonego kollektora i znawcy flory Wschodniej Syberji. Zarząd towarzystwa geograficznego brał na siebie nieraz ciężkie zadanie wyjednywania u rządu środków pieniężnych na cele naukowe, tak n. p. staraniem towarzystwa, a szczególniej staraniem prezesów jego, uskutecznione zostały ekspedycje geologiczne Aleksandra Czekanowskiego, Jana Czerskiego i pod ich opieką dokonane były badania nasze nad głębokością i fauną Bajkału. Prezesami towarzystwa za czasów naszej bytności w okolicach Irkucka byli ludzie, dbający o postęp wiedzy, tak n. p. generał Kukiel, rodem z Mińskiego, generał Soffianos. Obaj oni odznaczali się życzliwością dla wygnańców, ułatwiali im pobyt w mieście i oddawanie się pracom naukowym.

Jako instytucje, służące do rozwoju życia towarzyskiego wśród mieszkańców miasta, wymienić można następujące: Klub szlachecki („Błahorodnoje sobranje“), do którego mieli wstęp urzędnicy, rangą nobilitowani, Resursa kupiecka, Teatr i Towarzystwo strzeleckie, ze sławnym swoim prezesem Sarandinakim. Przemysłem Irkuck szczycić się nie mógł, gdyż z wyjątkiem bardzo pierwotnych fabryk: mydła, świec łojowych i zapałek, kilku kuźni, zakładu blacharskiego i ślusarskiego, kilku warsztatów

powroźniczych, pracowni stolarskiej, szewskiej i krawieckiej, dwóch zakładów fotograficznych, nędznego zakładu introligatorskiego, nic więcej podówczas wykazać on nie był w stanie. Wszelkie inne zakłady, jak: browary, fabryka kafli, pracownie rzeźbiarskie, złotnicze, etc. powstały później, a większa ich część za inicjatywą wygnańców.

Od czasu, gdyśmy po raz pierwszy przybyli do Irkucka, zmieniły się do niepoznania: wygląd samego miasta, i życie jego towarzyskie. Przekształcanie się w kierunku postępu dodatniego odbywało się stosunkowo szybko, ale od czasu pożaru, który zniszczył doszczętnie dwie trzecich przynajmniej zabudowań miasta, Irkuck przeradzać się zaczął gwałtownie, i jak bajeczny Feniks, wyrósł z popiołów odmłodzony, świetniejszy, a nadto czystszy, niż był uprzednio*).

Któżby, n. p. z obecnie tam przebywających obywateli miasta chciał uwierzyć, że na ulicach ówczesnej stolicy Syberji wschodniej, grzęzły wozy podczas słoty jesiennej i wiosennej, że był tylko jeden zajazd na całe miasto, i to brudny i nędzny, tak zwany „Amurskaja gastinnica“, że trzeba było obstalować z wieczora bułki u jedynego piekarza w mieście, jeżeli je mieć chciano do śniadania z rana, że restauracji, kawiarni, cukierni, księgarni nie było żadnej, że ceny wszystkich towarów bez wyjątku były niesłychanie wyso-

*) Jeden z gmachów, zbudowanych już po pożarze mianowicie gmach Towarzystwa geeograficznego, przedstawia nasz rysunek na str. 15.

kie tak, że wypadało o wiele taniej sprowadzać przedmioty, niezbędne do życia codziennego pocztą z Europy, niż je kupować na miejscu u kupców Irkuckich. Ten sposób zaopatrywania się w wyroby europejskie, za pośrednictwem poczty, trwał aż do chwili, gdy rząd zmienił na poczcie ceny za przesyłki, wprowadzając taryfy strefowe.

Jak nie wiele wymagającą była ludność miejscowa, odnośnie do potrzeb fizycznych, tak też mało dbała o swoje potrzeby duchowe: książkę, gazetę lub czasopismo jakie napotkać można było w domach wyjątkowych tylko, tak że stanowczo powiedzieć możemy, że były to czasy dla Irkucka dziwnie naiwnej prostoty duchowej.

Ludność miasta rozpadała się na dwie główne kategorje, a te znowu na kilka drugorzędnych. Do pierwszej należeli przyjezdni z Rosji Europejskiej, byli to urzędnicy wyżsi i niżsi, wojenni i cywilni, stanowili oni jedną kategorję, nazywaną „rossyjską“ („Rasiejskije“), do drugiej należeli urodzeni w Syberji, czyli Sybiracy („Sibiraki“).

Ton główny towarzystwu nadawali urzędnicy, przybyli z Rossji: wnosili oni do Syberji często wszystkie wady, ale rzadko tylko przymioty dodatnie towarzystw europejskich, patrzali z wysoka na Sybiraków, a nawet z pewnem odcieniem pogardy, skutkiem tego budzili w tych ostatnich uczucia niechęci, zawiści, a niekiedy nawet i nienawiści, które to uczucia nurtowały głęboko w łonie towarzystwa syberyjskiego, a w wielu wypadkach objawiać się zaczynały w czynach.

*

Najniekorzystniejszym wszakże czynnikiem, wpływającym ujemnie na kształtowanie się życia towarzyskiego w Syberji, było głęboko zakorzenione przekonanie, niczem zgoła nie uzasadnione, że bez kart i bez trunków alkoholicznych życie na Syberji jest niemożebne. Pogląd taki był uznany za aksiomat, na którym opierano cały szereg wniosków kierowniczych w pożyciu. I tak powiadano np., że żaden człowiek rozsądny nie może być trzeźwym w Syberji, że niechcąc doprowadzić do zaniku swych władz umysłowych trzeba je wciąż ćwiczyć przy stolikach zielonych; odwoływano się przytem do autorytetu Bismarka, który tolerować miał grę w karty po koszarach pruskich, a nawet do niej miał zachęcać oficerów i żołnierzy; następnie podnoszono nieraz w towarzystwach ówczesnych zdanie, że rozkwit parlamentaryzmu w Europie zawdzięczyć trzeba wprost bufetom, przy radach państwa utrzymywanym, że im bardziej wytrawnych win, im mocniejszych trunków używają posłowie, tem krasomówniejszemi są przemówienia oratorów, tem genjalniejszymi ich pomysły, że bez alkoholu nie ma człowiek tej pewności siebie, tego głębokiego przeświadczenia o słuszności wypowiadanych zdań etc. Hołdując takim przekonaniom, powołując się na wzory wielkich mężów stanu, którzy w chwilach krytycznych pobudzać siebie mieli do energji czynnej rumem i koniakiem, jak np. Murawiew amurski, Murawiew wileński etc., towarzystwo syberyjskie tonęło w kartach i libacjach alkoholicznych. Ileż to egzystencji szlachetnych, ileż zdolności niepowszednich zmarniało w Syberji, a całość

towarzystwa przybierała często wyraz wcale niesympatyczny, zaś najwięcej na tem cierpieli rządzeni.

Gdy większa część towarzystwa ówczesnego marnowała czas na grę w karty, mniejsza, składająca się z ludzi myślących, grupowała się dokoła osobistości takich, jakiemi byli np. Szczapow, Zagoskin etc. Ostatni był redaktorem czasopisma „Sibir“. Wszędzie gdzie mógł, stawał on w obronie pokrzywdzonych, a jego gazeta, obok naukowego czasopisma, redagowanego przez sekretarza towarzystwa geograficznego Ussolcew'a, były jedyną karmią duchową dla czytającej części mieszkańców Irkucka.

Co do położenia miasta, nie było ono piękne, szczególniej z powodu, że najbliższe okolicy zostały zeszpecone przez wyrąbanie doszczętne lasów i zagajeń. Irkuck zbudowany jest na płaszczyźnie, z prawej strony rzeki Angary, prawie nawprost ujścia do niej Irkuta, od której to ostatniej rzeki wiedzie nazwę swoją. Jedyną, ale przytem wielką ozdobę miasta stanowi, a szczególniej w przyszłości stanowić będzie, Angara, wypływająca z jeziora Bajkału, które to jezioro w mowie ludu tamtejszego nosi miano „Morza świętego“ (światoje more). Bajkał rozdzielał podówczas przy pomocy komory celnej, wschodnią Syberję na dwie części: ocloną i nie ocloną.

Handel miasta Irkucka za naszych czasów był bardzo ograniczony, przez Irkuck przewożono przeciętnie co rok około 28,435.000 funtów herbaty przeważnie na jarmark do Irbitu a następnie dostarczano z Europy pewną ilość

towarów, służących głównie do zaspokojenia potrzeb miejscowej ludności gubernji Irkuckiej i ziemi „Zabajkalskiej“ — („Zabajkalskaja Obłast’“), a także i ziemi Jakutów („Jakutskaja Obłast’“).

Ceny przedmiotów najważniejszych dla życia mieszkańców były za naszych czasów następujące: soli pud kosztował: 1 rubel i 20 kopiejek, chleba razowego funt: 3 k., kaszy jęczmiennej pud: 1 r. 60 k., mąki żytniej pud: 1 r. 50 k., owsa pud: 1 r. 5 k., siana pud: 50 k., mięsa pud: 3 r., ryby mrożonej pud: 6 do 8 r., masła pud: 11 r., oleju pud: 8 r. 50 k., cukru pud: 13 r., mydła pud: 7 r. 20 k., świec łojowych pud: 7 r. 50 k., ryba solona, omólem zwana, 1 sztuka: 10 do 15 k., herbaty funt: 1 r. 30 k., tytoniu zwykłego pud: 3 r., perkaliku arszyn: 17 k., chusteczka perkalowa 20 k.

Z historją, albo raczej z kroniką miasta Irkucka, dotyczącą lat 60-tych i 70-tych, bieżącego stulecia, splatają się w pewnej mierze imiona naszych ziomków; parę szczegółów, odnoszących się do niektórych z nich podaję w tem miejscu.

Jan Czerski.*)

Jan Czerski urodził się w roku 1845. z ojca Dominika, zamożnego właściciela dóbr ziemskich w Mohilewskiem. — Straciwszy bardzo wcześnie, bo w wieku dziecięcym jeszcze ojca swego, wychowywał się pod opieką matki i w towarzystwie starszej od siebie siostry, stąd też, jak sam powiadał, wychowanie jego początkowe było przez pół niewieście, a do tego dodać należy,

*) Fotografia Jana Czerskiego pomieszczoną została na str. 25.

że było ono na wskroś „arystokratyczne“, gdyż dbano tam głównie o ogładę salonową, o język francuski, o muzykę, tańce, etc., a zaniedbano w zupełności naukę języka ojczystego i historji własnego kraju. Z domu oddano go do instytutu rządowego w Wilnie, zwanego szlacheckim („Błahorodnyj Institut“). Jan Czerski, będąc zdolny, pojętny, obdarzony dobrą pamięcią, a przytem wesoły, towarzyski, łatwy i elegancki w obejściu, nie wiele potrzebował łożyć pracy, ażeby zająć miejsce pomiędzy celującymi uczniami zakładu; wszakże do zajęć głębszych, nad którymkolwiekbądź z przedmiotów wykładanych, nie znalazł wówczas żadnej podniety wpośród swego otoczenia, najdalej zaś od niego i od jego wychowawców leżały jeszcze w owych czasach przedmioty, dotyczące nauk przyrodniczych, uważanych pospolicie przez te sfery, do których należał Czerski, za najmniej arystokratyczne ze wszystkich działów wiedzy ludzkiej.

Z ławy szkolnej, z otoczenia arystokratyczno-niewieściego, porwał Czerskiego prąd roku 1863., by go unieść daleko od stron rodzinnych, których nie miał już ujrzeć nigdy w swem życiu.

Z zapałem młodzieńczym, z poczuciem obowiązku służenia ojczyźnie, z wiarą w pomyślny rezultat sprawy, podjętej w imię najszlachetniejszych i najświętszych haseł ludzkości, zaciągnął się Czerski do oddziału powstańczego.

Po krótkich, lecz ciężkich chwilach tułaczki obozowej wśród puszcz, położonych we wschodniej połaci kraju zabranego, wynędzniały i chory dostał się do niewoli, a z tamtąd jako małoletni zasądzony i zesłany został na „kraj

świata", bo aż do bataljonów Amurskich, do Błahowieszczeńska.

W odzieży rekruckiej wędrował Czerski, wraz z wieloma towarzyszami małoletnimi, pieszo do Omska. Przybywszy do tego miasta, a mając jeszcze nieco środków pieniężnych do rozporządzenia, zdołał się wykupić datkiem dość znacznym, jak na jego ówczesny stan finansowy, od dalszej podróży na wschód. Pozostawiono go w Omsku i wcielono, jako prostego żołnierza, do bataljonu fortecznego.

Prawie równocześnie z zaliczeniem Czerskiego do wojska, przerwały się przesyłki pieniężne, odbierane uprzednio z domu, gdyż cały jego majątek został zagrabiony i stracony dla niego na zawsze. Odtąd już ciężką, własną pracą zarabiać musiał na swoje utrzymanie, bo nawet jako żołnierz nie mógł się ani należycie odziać, ani wyżywić z tej mizernej płacy, którą rząd przeznacza dla swoich sołdatów, a która przechodząc przez ręce ludzi chciwych i niesumiennych, topnieje przez połowę, zanim dojdzie do miejsca swego przeznaczenia.

W Omsku znalazł Czerski liczne towarzystwo ludzi wykształconych z zachodu, złożone z wygnańców Polaków i Rosyan. Z pomiędzy całego grona ówczesnego towarzystwa atoli, dwie tylko osobistości wywarły głęboki wpływ na wrażliwy umysł młodego żołnierza, a mianowicie inżynier, rodem z Warszawy, Marczewski, jeden z najszlachetniejszych, a zarazem najoryginalniejszych ludzi swego czasu i Rosjanin Putanin. Dzięki wpływom dodatniej natury towarzystwa Omskiego, młodzież nasza zesłana zajęła się samokształceniem w kierun-



JAN CZERSKI

Rysunek odtworzony w pracowni Trzemeskiego we Lwowie, z fotografji zdjętej przez nas w pokoju mieszkalnym w Irkucku 1877 r.

kach różnych, największa część jednak poświęciła się studjom nauk przyrodniczych, gdyż podręczników z tego działu nauk, najłatwiej było dostać wtedy na miejscu wygnania; do tej też grupy pracowników należał i Czerski.

Ale trzeba było posiadać taki niewyczerpany zasób silnej woli, takie zdolności niezwykłe, które potrafił z siebie wydobyć Jan Czerski, ażeby módz podołać zadaniu olbrzymiemu, jakiem jest samokształcenie się w zakresie nauk przyrodniczych, to też on jeden tylko, z pomiędzy towarzyszy wyszedł zwycięsko z tej próby. Pełniąc czynności żołnierza fortecznego, wśród ciągłej nużącej musztry i warty w fortecy, mieszkając w kazamatach, a do tego dodać należy, że w kazamatach Rosyjsko-syberyjskich, wykonał Czerski pracę kształcenia się, rozpoczynając od najpierwszych, elementarnych podstaw nauk przyrodniczych, zakreślając sobie przytem programat bardzo szeroki, gdyż obejmował on prawie wszystkie działy historji naturalnej, od Astronomji poczynając i kończąc na Antropologji. A wszakże podołał Czerski zadaniu rzeczonemu, przezwyciężył wszystkie przeszkody, zbudował obszerne podstawy ogólnego wykształcenia i na nich wzniósł gmach z własnych, specjalnych prac złożony, które postawiły go w szeregu pierwszorzędnych badaczy na polu geologji i osteologji porównawczej.

Środki do egzystencji i do pracy czerpał Jan z lekcji prywatnych. Na polu pedagogji uzyskał on w Omsku sławę zasłużoną, bo nietylko umiał nauczać, lecz potrafił przelać w uczniów swoich zamiłowanie i zapał do nauki.

Najbardziej leniwe dziecko przekształcało się pod jego opieką w istotę myślącą, uwielbiającą swego nauczyciela, który już wtedy kierował nią dowolnie. Każdy z nas, gdy słuchał opowiadania o zajęciach i pracach Czerskiego, w koszarach omskich dokonanych, gdy czytał następnie jego dzieła, nie mógł się oprzeć uczuciom dumy szlachetnej, przy myśli, że on z łona naszego społeczeństwa pochodzi. W tem łonie spoczywa, jak na to mieliśmy liczne dowody wśród nieszczęść wygnania, olbrzymi zasób siły moralnej, hartu ducha, i zdolności umysłowych, a tylko potrzeba umieć je wydźwignąć z ukrycia, ażeby zajaśniały ku chlubie narodu. Tą dźwignią w perjodzie zesłania była myśl, zwrócona ciągle ku straconej ojczyźnie, ona godziła wszystkie stany, wszystkie krańcowe poglądy, łącząc nas w jedną rodzinę wygnańców.

Przy kopcącej łojówce w brudnej „byłej“ łaźni szpitala wojskowego, przesiadywał Czerski po całych nocach nad preparatami anatomicznymi, sporządzając je z materjału, o który mu było bardzo trudno, mając przytem początkowo za jedynego przewodnika, zwykły podręcznik anatomji opisowej, używany przez studentów w uniwersytetach Rosyjskich. Po kilkuletnich trudach nabył Czerski takiej biegłości w preparowaniu, że wykonywał najdelikatniejsze roboty anatomiczne, mające na celu wykazanie anomalji w budowie systemu mięśniowego, nerwowego i naczyniowego u zmarłych tubylców w szpitalach tamtejszych. Opisy tych zboczeń miał zamiar ogłosić kiedyś drukiem. Dla nauki chemji urządził pracownię w składziku koszarowym. Innych przedmiotów uczył

się z książek, których mu dostarczali więźniowie stanu, Rosjanie, albo które kupował za własne, ciężką pracą zdobyte pieniądze, przyczem sprawdzał i utrwalał w swojej pamięci fakty poznane przy pomocy badań nad żywą przyrodą i za pośrednictwem eksperymentów, wykonywanych z wielką dozą pomysłowości technicznej.

Ale nietylko pracował Czerski nad sobą w kierunku umysłowym, lecz jednocześnie postanowił on i jego koledzy, idąc za inicjatywą inżynjera Marczewskiego, przetworzyć i zahartować charaktery swoje moralne, ażeby, jak powiadali oni wtedy, wyleczyć się z pewnych chorób narodowych. Założyli więc w tym celu towarzystwo „samoobserwacji", czyli raczej kółko dla kontroli i analizy swoich czynności, swoich słów, a nawet i myśli. Codziennie tedy stawał z nich każdy przed całem gronem zebranego kółka, jakby przed trybunałem sądowym i rozbierał po kolei, skrupulatnie czyny swoje, objaśniał ich pobudki, wykazywał powody błędów popełnionych, przyczem był pilnie strzeżony przez wszystkich członków koła. Taka ciągła, czynna kontrola, wykonywana nad sobą i nad kolegami, doprowadziła Czerskiego do idealnej uczciwości, szczerości i prawdomówności, nadto nabył on zdolność panowania nad sobą i pozyskał dar subtelnego obserwowania innych. Nieraz byłem świadkiem, jak z zadziwiającą trafnością oceniał wyraz twarzy, a z niego poznawał charakter osoby, z którą poraz pierwszy miał do czynienia.

Ukończywszy studja wstępne, jak je nazywał, zabrał się Czerski do pracy samodzielnej,

postarawszy się poprzednio o możność poprawnego wypowiadania myśli swoich w jednem z narzeczy europejskich. Do języków jednak nie miał zdolności, to też praca w tym kierunku prowadzona kosztowała go bardzo wiele wysiłków, a raz zdobyta wprawność w używaniu danego języka, strzeżoną była przez niego, jako sanktuarjum najdroższe, które bał się zepsuć przez równorzędne kształcenie się w innem narzeczu. Z otwartością, która była cechą jego charakteru, odpierał zarzuty mu czynione, oświadczając szczerze, że nie czuje się zdolnym do pokonania trudności lingwistycznych, jakie byłyby powstały przy używaniu dwóch języków, w celu wyrażania swoich myśli.

Mając tylko podręczniki i dzieła, pisane po rosyjsku, wybrał ten język za tłómacza swoich myśli. Smutna ta okoliczność była powodem, że nawet w korespondencji ze swoimi ziomkami, używał odtąd tego obcego narzecza.

Pierwsze swoje prace geologiczne i antropologiczne przesłał z Omska na ręce towarzystwa moskiewskiego, noszącego nazwę „Obszczestwo lubitielej Jestiestwoznanja“. Geologiczne prace Czerskiego, datowane z Syberji zachodniej, dały początek do obalenia dawniejszych poglądów, wypowiedzianych przez Humboldta, a mianowicie o byłej, uprzedniej łączności oceanu północnego z morzem Aralskiem, wszystkie formacje bowiem, które nazywano morskiemi, okazały się słodkowodnemi po uskutecznionych badaniach Czerskiego

Wysłużywszy pewną ilość lat w bataljonie Omskim, i po uzyskaniu stopnia „feldfebla“ spodziewał się Czerski, jak również i jego to-

warzysze broni, którzy się także dosłużyli stopni „gefrejterów“ „podoficerów“ „kaptinarmus'ów“ etc., że będą mieli prawo wrócić do kraju, lecz, niestety, spotkał ich zawód straszny, zgoła nie oczekiwany i niczem nie usprawiedliwiony. Wykreślono ich wprost z listy służbowej i zaliczono do kategorji „zesłańców politycznych“. Nie dano im żadnego świadectwa służby, wzbroniono używania tytułów zasłużonych, a nadto internowano ich w Syberji, bez prawa wyjazdu do Rosji i oddano pod ścisły dozór policji.

Mógłby może kto pomyśleć, że za jakieś przewinienie spotkała kara naszą młodzież; bynajmniej, zachowanie się jej było uznane za wzorowe, kształcili się sami, uczyli czytać i pisać swoich towarzyszy broni, należących do innych plemion i doprowadzili stan bataljonu do możebnego stopnia doskonałości; to też sam Wielki Książę „Władimir“, zwiedzający podówczas Omsk, „raczył“ ich nazwać „maładcami“ i oświadczył, że rzadko widział taką „obrazcową“ tj. wzorową musztrę, jak w bataljonie Omskim. W skutek tej „najwyższej“ pochwały, bataljon, o którym mowa, zaszczycony został odtąd mianem: W. X. „Władimira“.*) A jednak pomimo to, a jak mówią niektórzy, wła-

*) W. X. „Władimir“, zauważywszy znaczną ilość twarzy inteligentnych wpośród żołnierzy bataljonu, spytał pułkownika: ilu ma w bataljonie „gramotnych“, tj. umiejących czytać i pisać; gdy ten mu odpowiedział, że prawie wszyscy są „gramotni“, wtedy zbliżył się do frontu i zaczął pytać po kolei każdego: „gdie ty obuczałsia“, czyli: gdzieś się uczył. Na to pytanie odpowiedział jeden, że w uniwersytecie krakowskim, drugi w

śnie dla tego, postąpiono z naszą młodzieżą niesprawiedliwie. Wzbronienie powrotu do kraju złamało niejedno młode życie, wielu z tych nieszczęśliwych w rozpaczy i nędzy znalazło wprędce ciche, mogilne ukojenie na cmentarzach zachodniej Syberji.

Czerski nie upadł jednak na duchu, postanowił podać prośbę o pozwolenie na odbycie studjów w uniwersytecie kazańskim i sądząc, że od należytej redakcji prośby zależeć powinien jej rezultat pomyślny, wlał w nią, jak się sam wyrażał, całą głębię swych uczuć, całe krasomówstwo swych porywów gorączkowych ku światłu i ku wiedzy. Z tak napisaną prośbą udał się do pułkownika żandarmów, prosząc, by ten ją przeczytał, ocenił i jeżeli uzna za właściwą i dobrą, odesłać raczył do wyższej władzy w Petersburgu.

Pułkownik, czytając, nie mógł się powstrzymać od łez, oświadczył, że nie ma w prośbie nic do zmienienia, gdyż tak jest napisana, że chyba tylko serca z kamienia wzruszyć nie zdoła, a że według jego zdania „człowieka ruskiego“ o brak serca pomawiać nie można, więc jest przekonany, że prośba wysłuchaną będzie. Ze swej strony obiecał pułkownik dołączyć świadectwo, o wzorowem prowadzeniu się petenta i o jego zamiłowaniu do nauk.

---

szkole głównej w Warszawie, trzeci w innym jakimś zakładzie wyższym naukowym etc. Po wysłuchaniu odpowiedzi zwrócił się W. X. do pułkownika i wyrzekł z widoczną niechęcią: „Nie udiwitielno, czto waszy sałdaty gramatnyje“, tj. niema się czemu dziwić, że wasi żołnierze umieją czytać i pisać. Otóż w nagrodę za tę ich „gramatnošt“ nie pozwolono im wrócić do kraju.

Czerski, po tej audjencji u pułkownika żandarmów, cieszył się jak dziecko, a radość, która przepełniała wtedy jego serce, była tak wielką, iż myślał nieraz sam, jak mi to później opowiadał, że z „radości oszaleje"; nie mógł się zrazu zabrać do żadnej pracy, dopiero myśl, że powinien przecie zakończyć rozpoczęte badania, zanim przyjdzie odpowiedź, zmusiła go do energji i do czynu. Prace swoje nowe, w tym perjodzie dokonane, odesłał do towarzystwa moskiewskiego, o którem była mowa uprzednio, przyczem musiał podać nowy swój adres, pisząc się już tylko „zesłańcem politycznym" (Politiczeskij ssylnyj), a nie „Feldfeblem bataljonu Omskiego", jak to uprzednio miało miejsce. Jakież było zdziwienie Czerskiego, gdy prace jego, bez żadnych objaśnień odesłano mu napowrót, dając tem do zrozumienia, że towarzystwo moskiewskie naturalistów nie życzy sobie mieć stosunków z „zesłańcem politycznym".

Rok cały czekał cierpliwie Czerski na odpowiedź z Petersburga; jakoż nadeszła ona nareszcie na ręce pułkownika żandarmów. Odpowiedź była bardzo krótka, zawierała w sobie dwa wyrazy tylko „Nie lzia". Rozczarowanie było boleśne, chociaż rezultat prośby był łatwy do przewidzenia, bo gdzie się odbywa stale, upornie, najotwarciej w świecie zabójstwo i zagłada całych narodów, tam nie może być chyba mowy o innych sercach, jak z kamienia.

Po tych ostatnich próbach nieszczęśliwych, stracił Czerski nadzieję, ażeby módz cośkolwiek wskórać na zachodzie, zwrócił więc swoje myśli na wschód i postanowił opuścić Omsk, by udać się do Irkucka. Nie mając żadnych środ-

ków na tak daleką podróż, spieniężył wszystko co mógł, zostawiając przy sobie tylko rzeczy najbardziej konieczne z ubrania, mianowicie: tułup (kożuch), małachaj (czapka futrzana), i pimy (buty wojłokowe), w takim stroju, czysto „sybirackim“, w mroźną zimę syberyjską, jadąc o chłodzie, a często i o głodzie, przybył do stolicy wschodniej Syberji. Natychmiast po przyjeździe, w ubraniu wyżej wspomnianem zjawił się u sekretarza towarzystwa geograficznego, opowiedział mu swoje „curriculum vitae“ i prosił o pozwolenie korzystania ze zbiorów i biblioteki towarzystwa. Ówczesny sekretarz, dyrektor biura Topografów, pułkownik Ussolcew, wzruszony opowiadaniem Czerskiego, przyjął go uprzejmie, zaznajomił z Aleksandrem Czekanowskim i w ten sposób wprowadził na arenę jego przyszłej działalności.

W kilka tygodni po przybyciu Czerskiego do Irkucka, wezwany przez Czekanowskiego, przybyłem z Kułtuka (gdzie podówczas mieszkałem) do miasta i poznałem Jana Czerskiego, z którym się jeszcze później wielokrotnie spotykałem w Irkucku i nad Bajkałem. Ostatni raz widziałem go w podróży na Kamczatkę w 1879 roku.

Czerski miał szczególniejszy dar pociągania wszystkich ku sobie. Szczerość jego w obcowaniu, zapał do nauki i zamiłowanie w pracach, delikatność w obejściu jednały mu wszystkie serca. Lecz szczególniej lgnęli do niego włościanie syberyjscy i Burjaci; każdy z nich poszedłby, jak się to powiada, w ogień za niego, a wszyscy przewodnicy, z którymi odbywał liczne ekspedycje naukowe, nie mieli nigdy do-

syć słów, by wyrazić swój zachwyt i podziw nad jego energją, odwagą, wytrwałością i rozumem. Nazywano go powszechnie „nasz Iwan Diementjewicz“, gdyż tem mianem „Diementjewicz“ kazał siebie tytułować, zamiast „Dominikowicz“, bo, zdaniem jego, tamta nazwa była łatwiejszą do zapamiętania dla sybiraków, niż ostatnio wymieniona. Obcując z ludem, potrafił przyswoić sobie jego gwarę i styl, zebrał bardzo bogaty materjał, dotyczący wierzeń, przesądów, medycyny ludowej etc. i kilka razy czytał mi ustępy z pracy swojej, artystycznie wykończonej. Życie w Irkucku dla Czerskiego, pomimo ogólnej sympatji, która go od początku otaczała, nie było lekkie, lecz o wiele znośniejsze niż w Omsku.

Ze znacznym trudem wymogliśmy na nim, aby przyjął niewielki zasiłek pieniężny w celu sporządzenia sobie znośnego ubrania i bielizny. Z początku mieszkał na przedmieściu, w chatce mieszczanina-rolnika, gdzie za trudy nauczania dzieci, miał wikt i kąt dla noclegu, bo dnie przepędzał w gmachu towarzystwa geograficznego; później nieco dostał bardzo skromną gażę, jako kustosz gabinetu towarzystwa, a wtedy przeniósł się do miasta, zamieszkał kątem u stróża gabinetu i swoją pracownię urządził w bibljotece towarzystwa geograficznego. Gdy następnie dochody jego zwiększyły się o tyle, że mógł nająć pokój mieszkalny, przenosił się albo znowu za miasto, do tak zwanej „słobódki rzemieślniczej“, lub też wynajmował pomieszkanie w suterenach, gdyż na większy komfort w mieszkaniu nie stać go było, przyczem żywił się w domu u siebie, bardzo a bardzo skromnie.

Pracując w gabinecie, powoli zaznajamiał się Czerski z okazami skał i skamielin i literaturą geologiczną, dotyczącą okolic Irkucka i Bajkału, następnie postanowił rozpocząć prace samodzielne, oparte na własnych obserwacjach, uskutecznionych podczas ekspedycji, kosztem towarzystwa geograficznego przedsiębranych. Odtąd rozpoczyna się szereg wypraw naukowych, których tu kolejno wyliczać nie będę, wspomnę tylko ogólnikowo, że żadne uprzednie ekspedycje towarzystwa nie były tak tanim kosztem prowadzone, jak Czerskiego, i że każda z nich godna pieśni Homerowych; bo czy płynął w dół po rzece Irkucie przez porohy, które przed nim nigdy zwiedzane nie były, czy wdzierał się na turnie Tunkińskie, czy objeżdżał na łodzi jezioro Bajkalskie, wszędzie dawał dowody odwagi, wytrwałości i nieugiętej siły woli.

Obok prac geologicznych, zajmował się Czerski opisami osteologicznymi i badaniami nad fauną grot, tak np. jednej, sławnej, w pobliżu miasta Udinska dolnego położonej, zkąd przywiózł niezmiernie ciekawy i obfity zbiór okazów zwierząt ssących. Wiele z nich było zachowanych w stanie mumifikacji i przy takich okazach pozostały nawet ścięgna i okrywy skórne, szerścią pokryte. Prace swoje ogłaszał w „Wiadomościach Tow. geograficznego“.

Z naszej strony gromadziliśmy dla Czerskiego bogaty materjał osteologiczny, dotyczący fauny ziemi Zabajkalskiej, kraju Amurskiego, Ussuryjskiego i pomorza Mandżurskiego, nadto uzbieraliśmy znaczną kollekcję czaszek tubylców. Wszystkie jednak te zbiory spłonęły w czasie pożaru Irkucka.

*

Podczas pobytu swego w stolicy wschodniej Syberji ożenił się Czerski z dziewicą pochodzenia polskiego, lecz prawosławną, nie mówiącą po polsku i umiejącą zaledwie czytać i pisać po rosyjsku; z tego materjału surowego, a nawet z początku wielce kapryśnego, potrafił Czerski wytworzyć prawdziwe arcydzieło sztuki wychowawczej, której arcymistrzem nazwać go można. On przeobraził żonę swoją w naturalistę, o niezwykłych zdolnościach postrzegawczych i kombinacyjnych, czyli analitycznych i syntetycznych. Tak np. gdy złożony chorobą podczas ekspedycji na północ, podjętej w celach meteorologicznych, a wyekwipowanej z ramienia towarzystwa geograficznego, nie mógł się Czerski dźwignąć po całych miesiącach z posłania, to ona sama wykonała całą pracę obserwacyjną, rachunkową i na niej oparła wnioski ogólne. Pracę tę uznała komisja specjalna za najlepszą z całego szeregu innych. pod tę porę jednocześnie wzdłuż całej Syberji północnej prowadzonych, a Czerski sam mi powiadał, że lepiej i sumienniej tej pracy wykonać nie byłby potrafił.

Żona była mu także pomocną przy badaniach geologicznych, do których ją przysposobił należycie, tak, że dalsze prace wykonywali zawsze wspólnie. Uważał ją za tak dokładnego obserwatora, i tak umiejętnego i logicznego wnioskodawcę, że nie powziął już odtąd żadnego poglądu, bez jej aprobaty.

Podziw swój nad zdolnościami małżonki wypowiadał mi kilkakrotnie, ubolewając przytem szczerze, że dotąd tak niesłusznie. i z taką szkodą dla ogólnego postępu wiedzy, zagrzebuje

społeczeństwo skarby ducha kobiecego „w kupy śmiecia i gałganków“, jakiemi były i są dzisiaj jeszcze, według jego zdania, tresura i wychowanie kobiece w Europie.

Do robót technicznych miał Czerski zdolności ogromne i cierpliwość jeszcze większą Pewnego razu, gdy znaleziono w pobliżu Irkucka wyroby ozdobne, z kości mammuta sporządzone, pochodzące z czasów paleolitycznych, i obok nich odszukano parę małych nożów z kamienia łupanego, to nie chciano dać wiary, ażeby owe ozdoby miały być wykonane przy pomocy narzędzi tak pierwotnych. Otóż Czerski podjął się wyrobić nożami rzeczonymi bransolety z kła mammuta, na wzór tych, które były znalezione w pokładach około Irkucka. Pracę swoją dokonał sumiennie, dając świadectwo cierpliwości, która nie była mniejszą od wytrwałości, jaką posiadali mieszkańcy przedhistoryczni Syberji wschodniej, nadto dowiódł raz na zawsze, że narzędzia i ozdoby z kości mogły być wyrabiane już bardzo wcześnie w perjodach rozwoju społeczeństw przedhistorycznych, bo nawet za pomocą noży z kamienia łupanego.

Warunki życia nie hygieniczne, trudy służby wojskowej i znoje podróży, prace ciągłe i nadmierne umysłowe, wywołały w organizmie Czerskiego, jakkolwiek silnym i dotąd odpornym — szereg chorób ciężkich (†). Były nawet

(†) Cierpiał na reumatyzm mięśni, perjodycznie na reumatyzm stawów, na chorobę sercową i gwałtowne, od czasu do czasu powtarzające się, bole głowy. Parę razy byłem świadkiem jego cierpień. Nie mógł się podnieść z miejsca lub dźwignąć się na krzesło. Przezwyciężał jednak ból, pełzał na czworakach, okładał głowę lodem, siedząc przy pracy, lecz pracował ciągle, nieustannie.

chwile, gdy zgoła wątpiono, ażeby mógł nadal zajmować się pracami umysłowemi. Lekarze irkuccy ostatecznie jednogłośnie zadecydowali, że powinien koniecznie wyjechać z miasta, lecz złożony chorobą nie mógł zdobyć środków do podróży. Z tego krytycznego położenia uratowała go ofiarność śp. J. Zawiszy. Ten zacny obywatel kraju dostarczył nam środków potrzebnych, które wysłane do Irkucka, dały możność Czerskiemu wyjechać do Petersburga. W czasie tej długiej pielgrzymki poprawił się na zdrowiu i mógł opracować zarys geologiczny całej drogi przebytej, pracę tę ogłosił w Petersburgu wraz z mapami geologicznemi. Tam też opracował kilka większych traktatów treści geologicznej, opatrzonych mapami, tablicami przekrojów etc. i wydał dzieło porównawczo-anatomiczne, noszące tytuł: „Opis kollekcji kości zwierząt ssących czwartorzędnych, zebranych w czasie ekspedycji na wyspy Nowosyberyjskie“. (Opisanje kollekcji postreticznych mlekopitajuszczych żywotnych, sobrannych nowosibirskoju ekspedicjeju 1885-86.) (†).

(†) Kollekcja, o której mowa, składała się z 2500 kości, a przy jej opracowaniu porównane były wszystkie zbiory osteologiczne, jakie nagromadzone zostały we wszystkich muzeach stolicy rosyjskiej, i jakie widział Czerski w muzeach po drodze podczas podróży do Petersburga. Praca rzeczona Czerskiego, gdyby nawet innych nie zostawił po sobie, starczyłaby sama przez się na to, ażeby przekazać pamięć jego, pokoleniom potomnym. Prof. Nehring nazwał tę pracę klasyczną i oświadczył, że powinna być przetłómaczona na języki zachodnio-europejskie, ażeby się stała dostępną wszystkim uczonym. Żaden badacz bowiem, który się zajmuje dzisiaj studjami, dotyczącemi zwierząt ssących, bez pracy Czerskiego obejść się nie może, gdyż w niej zawarto wszystko to, co się odnosi do obfitych zbiorów kopalin czwartorzędnych, znalezionych w Rosji europejskiej i Syberji.

Pomimo lepszych nieco warunków życia w Petersburgu, nie opływał wszakże w dostatki — przeciwnie, będąc tylko płatny od arkusza, miał zaledwie tyle, ile było konieczne dla przekarmienia siebie i rodziny; starania nasze, ażeby dopomagać mu z kraju, spełzły na niczem.

Akademja nauk w Petersburgu postanowiła następnie wysłać ekspedycję nową na północ i poruczyła kierownictwo jej Czerskiemu, wyjechał więc z rodziną na Syberję, lecz już z tamtąd nie powrócił. Zginął na stanowisku wśród pracy, której poświęcił najlepsze chwile swego żywota.

Ażeby uwydatnić lepiej jeszcze niektóre rysy charakteru niepospolitej osobistości Czerskiego, przytoczę tu kilka szczegółów następujących.

Pomimo pracy silnej i upornej nad hartowaniem swego charakteru, nie mógł Czerski pokonać uczuciowości, będącej tłem jego istoty moralnej. Muzyka, a szczególniej śpiew wywierały silne na niego wrażenie. I tak, gdy pewnego razu był w kościele w Irkucku, gdzie jedna z przyjezdnych pań naszych śpiewała na chórze podczas nabożeństwa, dostał Czerski silnego ataku nerwowego, nie mógł zapanować nad sobą, łzy mu biegły z oczu, drżał na ciele i przechorował tę „ucztę artystyczną“, jak ją nazywał, a do której niewypowiedziany miał pociąg i tęsknił często do niej wśród swych prac naukowych. Innym razem byliśmy z nim w kościele podczas uroczystości rezurekcyjnej. Gdy się rozpoczęła procesja, gdy zaintonowano pieśń zmartwychwstania i rozległ się hymn ra-

dośny: „Wesoły nam dziś dzień nastał“, powtórzyła się z Czerskim historja uprzednio wspomniana. Opowiadał później, że cały, dawno zapomniany świat dziecięcych pamiątek stanął mu przed oczyma tak nagle, i z taką siłą wyrazistości, że nie mógł pokonać swego wzruszenia.

Lecz nietylko muzyka i śpiew, ale nawet odczytanie jakichś wierszy, jakiejś poezji, często nawet wspomnienie dawne powodowały wyładowanie się uczuć, upornie gnębionych w jego duszy. Pewnego lata, bawiąc w górach Zabajkalskich, odebrałem list, w którym się uskarża Czerski na to, żeśmy zapomnieli o nim. Odpowiedziałem mu dwuwierszem, zapamiętanym z kiedyś czytanej pracy o poezji ludowej:

„że prędzej się rozpadną te góry ogromne,
niżeli Jasieńku o Tobie zapomnę“.

Te dwa wiersze wywołały w nim, jak mi później opowiadał, głębokie rozrzewnienie, którego się wstydził, lecz go pokonać nie zdołał.

Z nadmierną również uczuciowością odnosił się zwykle Czerski do potentatów wiedzy, do olbrzymów nauki. Gdy mówił np. o Darwinie, to z takiem uczuciem podniosłem, z takim zachwytem, że mu słów brakło dla oddania swej wdzięczności za te chwile rozkoszy i zadowolenia, których doświadczał, czytając jego dzieła. Uczeni jak: Heer, Rütimeyer, Cuvier, akademik Brandt byli „bożyszczami“ dla niego. Przebaczał nawet temu ostatniemu występy jego dziecinne, gdy podczas swoich wykładów w Akademii medycznej stawiał szkielet goryla i wołał do swych uczniów: „Oto jest przodek Darwina, ale nie mój“, a przebaczał mu te,

i inne jego występy z racji prac szczegółowych, niezmiernie sumiennych i dokładnych (porównawczo-anatomicznych), któremi bezwiednie, ale bardziej stanowczo, niż wielu nawet zwolenników i obrońców teorji doboru naturalnego, popierał i udowadniał mimochcąc poglądy Darwina. Wiedział i zeznawał Czerski, że każda specjalna praca bezstronna, dokonana w dziedzinie historji naturalnej, była, jest i będzie koniecznym przyczynkiem do ugruntowania teorji ewolucyjnych, to też nic go bardziej nie zajmowało i nie cieszyło, jak sumienne, szczegółowe prace, na każdem polu wiedzy przyrodniczej prowadzone. Ze smutkiem wielkim odkładał na stronę roboty, w których dostrzegł niesumienność, blagę, lub pyszałkowatą zarozumiałość, ale nigdy na ustach swoich nie miał słów potępienia dla nich. Tę, prawie gołębią łagodność charakteru Czerskiego uważaliśmy za rys właściwy jego naturze, jakkolwiek on sam ją objaśniał zdaniem: „Comprendre, c'est tout pardonner".

Losy chciały, że Czerski został stracony dla naszego społeczeństwa, ten cios znosić powinniśmy w pokorze, jak i wiele innych ciosów, zadanych ręką karzącą konsekwencji przyczynowej naszych wad narodowych.

Co do cech fizycznych i innych kilku właściwości osoby Jana Czerskiego, to je zestawiam krótko poniżej.

Czerski był wzrostu wysokiego, mierzył 1 m. 80 ctm., był silnie zbudowany, mięśnie jego były dobrze rozwinięte. Ręce i nogi małe. Głowa stosunkowo duża, średniej szerokości, ze wskaźnikiem 76. Włosy gęste blond, ze słabym

odcieniem koloru złotawego. Zarost na twarzy nie zbyt obfity, lecz też i nie słaby, równie blond z odcieniem nieco ryżawym. Oczy niebieskie mocno wypukłe, stąd był krótkowidzem i nosił okulary. Brwi i rzęsy były światłe. Twarz miernie szeroka, nos mierny, gruby, tępo zakończony. Podbródek wystający. Piegów na twarzy nie miał, a także i rumieńców.

Był dobrym gimnastą, zręcznym i umiejętnym jeźdzcem, zgrabnym a nawet eleganckim tancerzem. Robił bronią (bagnetem i szpadą) wzorowo, musztrę piechoty znał dobrze. Był muzykalny, grał na fortepianie, lecz tę grę później zarzucił; przy pracy zwykle nócił jakąś melodję, podstawiając bezwiednie pod nią teksty rozmaite, często zupełnie nie zastosowane do melodji nuconej, jak n. p. cyfry wymiarów czaszki. W jedzeniu był niewybredny, jadł dużo i tłusto, podczas ekspedycji karmił się strawą wspólną ze swymi przewodnikami i robotnikami, często zadowalał się kaszą jęczmienną na wpół surową, byleby nie tracić czasu na długi wypoczynek; jedyny zbytek, na który sobie pozwalał, była kawa czarna, bez cukru, którą używał zamiast herbaty, bo ta mu nie służyła.

W towarzystwie dobrych znajomych był mowny, wesoły; u siebie w domu był bardzo gościnny, często z uszczerbkiem swych zawsze szczupłych funduszów. W obcowaniu z kobietami dawał wyraz pewnej rycerskości, którą wyniósł ze stron rodzinnych.

Z małżeństwa swego miał Czerski syna, którego zdolnościami, a szczególniej bystrością spostrzegawczą i talentem rysowniczym bardzo się cieszył.

Ignacy Eichmiler.

O matko Polko....
Klęknij przed Matki bolesnej obrazem,
I na miecz patrzaj co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem.
Bo choć w pokoju zakwitnie Świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania;
Syn twój wyzwany do boju bez chwały
I do męczeństwa... bez zmartwychpowstania.

Z myślami wielce smutnemi, uczuciem boleści głębokiej, którą oddał tak potężnie wieszcz genjalny w wyrazach przytoczonych powyżej, przystępuję do skreślenia niniejszego krótkiego życiorysu, pragnąc uczcić pamięć zamordowanego w Irkucku młodzieńca szlachetnego, Ignacego Eichmilera.

Ignacy Eichmiler urodził się w Warszawie 1846 r., i tam kształcił się w zawodzie stolarskim. Podczas okresu demonstracyjnego w naszej stolicy ujęty, sądzony, zesłany i przeznaczony został, jako małoletni, do służby wojskowej we wschodniej Rosji europejskiej, atoli gdy w Kazaniu, wezwany do złożenia przysięgi na wierność, nie chciał jej wykonać, był za to wraz z innymi kolegami sądzony powtórnie i już teraz zesłany aż do wschodniej Syberji. Po przybyciu do Irkucka pozostawiono go w mieście, jako zdolnego rzemieślnika, tu założył warsztat stolarski, który powoli zamienił się z czasem w pracownię artystyczną, stolarsko-rzeźbiarską.

Eichmiler należał do tej grupy naszych rzemieślników zesłanych, którzy na wygnaniu

postanowili kształcić siebie i swoich kolegów, ażeby w ten sposób wyzyskać mogli czas niewoli na korzyść przyszłej, marzonej działalności w kraju.



Ignacy Eichmiler
(z fotografji zdjętej w Irkucku.)

Członkowie zakładu czyli pracowni stolarsko-rzeźbiarskiej, nie tylko oddawali się zajęciom zawodowym, lecz kształcili się także umysłowo w różnych kierunkach, co dla nich było o tyle łatwiejszem, że do towarzystwa należało kilku

z młodzieży, którzy ukończyli wyższe zakłady naukowe, lecz z powodu, że nie mogli przy warunkach ówczesnych znaleść zajęcia, odpowiadającego ich wykształceniu, więc musieli szukać środków do życia w pracy po zakładach rzemieślniczych, pozostających pod kierownictwem specjalistów.

Duszą towarzystwa rzeczonego i naczelnym jego kierownikiem był Eichmiler. Warsztat, noszący jego nazwę, znany był powszechnie w mieście i cieszył się wzięciem zasłużonem, stąd też wszelkie roboty, które wymagały dokładnego wykończenia, albo artystycznego obrobienia, powierzane były Eichmilerowi.

On też wykonał świetnie rzeźbiony ołtarz wielki do kościoła w Irkucku i uskutecznił pracę tę całą, bez wszelkich ułatwień technicznych nowoczesnych, bo dłutem i piłką stolarską tylko, co było jedynie możebnem przy niezmiernej jego cierpliwości. Tą pracą rzeźbiarską, wykonaną w większych rozmiarach, dał dowód niepospolitego talentu, szczególnie, jeżeli zważymy, że była to robota samouka, który doszedł do rozwinięcia w sobie wysokiego stopnia poczucia artystycznego — własną tylko pracą. To też wszyscy, co znali bliżej Eichmilera, rokowali mu przyszłość świetną, gdyż widzieli w nim talent prawdziwy, wielką energię i zamiłowanie do pracy.

Eichmiler jako naczelny kierownik zakładu był cichym, skromnym pracownikiem. W życiu codziennem „nigdy nikomu wody nie zamącił“. Odnośnie do jego strony fizycznej był to młodzieniec miernego wzrostu, wątłej budowy ciała, o sympatycznym, łagodnym, nieco marzyciel-

-skim wyrazie twarzy, z niebieskiem okiem, ciemno-szatynowym, gęstym włosem i o rysach typu mazurskiego. W pożyciu z ludźmi był towarzyski, poważny, uczynny, przepełniony altruistycznemi uczuciami, to też był ogólnie lubiany i poważany. Ze swej strony nie tylko kochał ludzi i ludzkość całą, ale miłość swoją do istot żyjących rozciągał i na zwierzęta, w swojej pracowni dawał przytułek biednym, opuszczonym psom miejskim, przyczem podnieść muszę tę charakterystyczną cechę łagodności charakteru jego, że nigdy uderzeniem nie skarcił natrętnych i psotnych gości swoich, pomimo szkód, jakie nieraz wyrządzali oni w jego domowej gospodarce. Miał też psa własnego, lubionego, który był niezmiernie przywiązany do swego pana i przyjaciela i który padł na jego grobie.

Takim się przedstawiał Eichmiler w chwili, gdy cios — haniebnie barbarzyński, zniszczył jego żywot szlachetny. On stanowił jedną ze stron czynnych w dramacie krwawym, który się rozegrał w Irkucku. Przypatrzmy się teraz stronie drugiej.

Stroną tą drugą był ówczesny Generał Gubernator wschodniej Syberji, generał Sinielników (Sinelnikow). Mąż ten stanu, któremu powierzono zarząd ogromnej prowincji, miał za całą kwalifikację na stanowisko rzeczone, tylko przymioty takie: rangę Generała, renomę „sprężystości“, którą sobie zjednał na urzędach w Rossji Europejskiej brutalstwem, kułakiem i pałką, a nadto reputację „urzędnika wyjątkowego“, bo jakoby gardził „łapówkami“

ta ostatnio-wspomniana kwalifikacja okazała się jednak na Syberji nieuzasadnioną.

Tytułów do dwóch pierwszych kwalifikacji nie brakło Generał-Gubernatorowi, znany był bowiem powszechnie ze swej klasycznej tresury na rządcę, która datowała jeszcze z czasów „Arakczejewskich", był więc, jak się należy, grubjaninem i brutalem w obejściu z ludźmi, despotą, egoistą, bigotem pełnym przesądów i zabobonów gminnych, nie posiadał najdrobniejszej nawet iskierki tolerancji religijnej, ani jakichś okruchów uczuć humanitarnych, szczególnie dla osób, należących do obcych plemion i narodowości. Był przytem zarozumiałym aż do dziwactwa, a do tego nieukiem najzupełniejszym. Jeżeli teraz do tych przymiotów Wielkorządcy dodamy jeszcze i tę właściwość jego, że w celu pobudzenia w sobie energji czynnej używał środków alkoholicznych, to będziemy mieli cały komplet cech, dający ich posiadaczom prawo na kandydaturę do najwyższych godności za życia i do posągów spiżowych po śmierci. Co do strony fizycznej wielkorządcy, o którym mowa, to ona nie stała w sprzeczności z innemi: masywność form, wyraz twarzy wulgarny, prawie zwierzęcy, głos tubalny, nieco ochrypły, ryczowoli, były w zupełnej harmonii z cechami, wyżej podanemi.

O żadnym z uprzednich wielkorządców Syberji wschodniej nie krążyło tyle opowiadań przeróżnych, ile o Sinielnikowie. Postać ta, potworna sama przez się, urosła w podaniach u ludu do karykaturalnych, olbrzymich rozmiarów, z nią dałaby się porównać chyba tylko osobistość legendarna jednego z poprzedników

w zarządzie Irkucka, mianowicie osławiona osobistość Treskina, albo też którakolwiek z klasycznych postaci, wielbionych „Abjedinitielej“ zachodu, opiewanych i apoteozowanych przez prasę „patrjotyczną“.

Trudno byłoby spisać i na wołowej skórze, jak się to mówi zazwyczaj, wszystkie fakty, które opowiadano głośno na Syberji o Generał-Gubernatorze, to też o wymienienie ich tu wszystkich mowy być nie może, przytoczę tylko niektóre z głośniejszych, ażeby uzasadnić najważniejsze tytuły jego do kwalifikacji na Wielkorządcę.

Generał Gubernator wyobrażał sobie, że kraj Ussuryjski jest państwem „Assyryjskiem“, a mieszkańcy tamtejsi są „Assyryjczykami“, i aż do końca nie dał się przekonać, że jest w błędzie stąd też stale nazywał Ussuri „Assyrją“. Korea i Korejczycy byli dla niego „Karelją“ i „Karelami“ z Rossji Europejskiej, uważał on więc tych ostatnich za spokrewnionych z „Czuchońcami“, a ich język za „Czuchoński“. („Czuchna“ po Rossyjsku Estończyk.) Dla Sinielnikowa jezioro „Kossogoł“ leżało w granicach państwa Rossyjskiego, albowiem było tylko o paręset wiorst oddalone od Irkucka. Generał Gubernator był święcie przekonany, że jedwab jest produktem roślinnym, i że jajeczka jedwabników są to nasiona roślinne, które się w ten sam sposób zasiewają, jak siemie lniane i konopne. Kazał sporządzać drogie ubrania z jedwabiu dla popów, gdyż według jego przekonania, prawa kanoniczne nie dopuszczają, ażeby duchowni prawosławni podczas nabożeństwa

nosili odzież, wyrabianą z produktów zwierzęcych.

Takie to są próbki, dotyczące wiadomości generał-gubernatora z dziedziny etnografji, geografji i zoologji. Inne, ciekawe wiadomości jego z zakresu fizyki, astronomji, geologji, socjologji etc. pomijam.*) O tem zaś, jak traktował swoich podwładnych, mogą dać niejakie wyobrażenie fakty następujące:

Na uczcie, wydanej przez gubernatora krasnojarskiego na cześć przybycia po raz pierwszy na Syberję wielkorządcy, złajał wszystkich wyższych urzędników obecnych, nazywając ich wprost złodziejami. Wygnał od siebie prezydenta miasta („Garadawoj gaława“), gdy ten wystąpił w obronie praw mieszczaństwa, pogwałconych przez generał-gubernatora. i złajał go temi słowy: „Charasza gaława, kahda w niej mazgi jest“. (Co znaczy: „że tylko wtedy głowa jest dobrą, kiedy posiada mózg), obił sam kijem obywatela miasta Irkucka, dzierżawcę przewozu na rzece Angarze i to tak skutecznie, że zbity zachorował obłożnie. Mszcząc się osobiście za jakąś anti-demonstrację, wymierzoną przeciwko jego ulubionej i wielce protegowanej aktorce, a wykonaną, jakoby z polecenia wojennego gubernatora miasta Irkucka, wpadł Sinielnikow na mocy podejrzenia jedynie do mieszkania gubernatora

*) Niezmiernie interesujące były wiadomości, odnoszące się do »złudzeń optycznych« (»opticzeskij abman«), które on dosłownie biorąc, uważał za oszustwo i myślał, że te złudzenia tkwiły nie w jego własnem oku, lecz w złej woli ludzi otaczających.

i obił go kijem. Powiadają, że mu odpłacono sowicie pięknem za nadobne, ale to nie zmienia wcale istoty rzeczy. Za żart jakiś, miał obrazić protegowaną aktorkę, kazał generał-gubernator, podejrzanego o tę czynność obywatela miasta Irkucka, honorowego członka wielu instytucji humanitarnych i naukowych, zesłać do Jakucka, odebrać od niego wszystkie dyplomy, a nadto wykreślić go kazał ze wszystkich towarzystw i korporacji*). Guwernantkę Francuskę, pozostającą przy wnukach generał-gubernatora, wyrzucono wprost na bruk miasta, i byłaby tu z nędzy umarła, gdyby się nie znaleźli ludzie litościwi, którzy potajemnie odesłali ją do Petersburga, gdzie dopiero za wdaniem się posła francuskiego stało się zadość sprawiedliwości, bo tej nie znano podówczas w Irkucku. W przejazdach po prowincji, tak maltretował i tak bił niemiłosiernie pocztyljonów („jamszczyków“) burjatów, że ci uciekali ze stacji każdego razu, gdy zasłyszeli o zamierzonej podróży wielkorządcy.

Z kijem nigdy się nie rozstawał, miał go ciągle przy sobie, jak Fryderyk, zwany „wielkim“ ztąd też do takiego samego tytułu — rościć ma wszelkie prawa, jak również pretendować może do monumentu z kijem, skoro go ma Fryderyk „pod Lipami“ w Berlinie.

Generał gubernator miewał często wizje i halucynacje, prawdodopobnie spowodowane alkoholem, bał się „strachów“, jak je nazywał,

*) Tylko interwencja gubernatora wojennego i pułkownika żandarmów, wpłynęły na wstrzymanie wyroku odnośnie do wywiezienia skazanego do Jakucka.

a które miały według niego obrać sobie siedzibę w pałacu generałgubernatorskim w Irkucku, sprowadzał więc do siebie popów, by ci modlitwami odganiali te strachy, aż nareszcie postanowił zbudować kaplicę w pałacu rzeczonym, chcąc mieć ciągle pod ręką lekarstwo na przywidzenia, a nadto bezpieczne miejsce, dogodne dla modłów i praktyk pobożnych, którym się bardzo szczerze oddawał, po kilka razy na dzień.

Pragnąc usilnie dostać się do nieba, umyślił zamianować na świętego swego przyjaciela, archireja miejscowego, zmarłego podówczas w Irkucku na niestrawność, której się nabawił podczas sutej uczty u prezydenta miasta. Kazał tedy generał-gubernator opisać w „Wiadomościach Eparchialnych“ cud wielki, który się stał po śmierci zmarłego przyjaciela. Zwłoki bowiem archireja zamiast wydzielać woń zwykłą. właściwą wszystkim rozkładającym się ciałom organicznym, rozprzestrzeniać miały natomiast dokoła siebie zapachy nadziemskie, które opisano pod nazwą „Jerozolimskich“ („Jerosolimskije duchi“). Że pomimo tak oryginalnego cudu, który się stał za przyczyną świętego archireja nie zatwierdzono jego nominacji – winić o to generał-gubernatora nie można. Gorliwość swoją ku szerzeniu religji państwowej i języka urzędowego wykazywał dosadnie przy pomocy prześladowania „innowierców“, szczególnie zaś Burjatów. Kazał zamknąć wszystkie szkoły burjackie, konfiskować ich ołtarze domowe, niszczyć kopce ofiarne („Obo“), sam przytem osobiście znieważał gdzie mógł, w czasie podróży ich miejsca święte,

a czynił to wszystko w przekonaniu, że tym sposobem podnosi chwałę i znaczenie „jedynej prawdziwej wiary na świecie“, jak się z tem kilkakrotnie dał słyszeć w przemowach swoich do delegatów burjackich, spotykających go w przejeździe po kraju Zabajkalskim z chlebem i solą i podarunkami cennymi.

Na tem zakończę przytaczanie faktów, mających na celu dać poznać i ocenić owego działacza politycznego, w którego rękach spoczywały przez ciąg lat kilku losy setek tysięcy ludności i życie każdego z wygnańców.

Sinielnikow po przybyciu do Irkucka, kazał natychmiast pomalować na świeżo wszystkie domy i parkany. Uskuteczniwszy to znamienite zadanie, tę ważną czynność wielkorządcy, której skutki pierwszy deszcz ulewny zniszczył bez śladu, bo malowanie to całe było tylko barwną pobiałą, zajął się następnie budową stałego teatru w mieście, nie tyle dla celów kształcenia mieszkańców, ile dla własnej osobistej wygody, gdyż wiedział z dawniejszego a kilkakrotnie już powtarzanego doświadczenia, że w ten sposób daje się harem najtaniej utrzymywać, bo kosztem miasta i publiczności. Przy urządzeniu teatru poruczył wszystkie roboty stolarskie, rzeźbiarskie, tokarskie i tapicerskie firmie Eichmilera.

Budowa gmachu teatralnego była to robota iście piekielna dla wszystkich, biorących w niej udział, a to od architekta poczynając, a kończąc na najemnikach dziennych. Codzień bowiem zjawiał się osobiście, pokilkakrotnie generał gubernator na miejsce budowy, z pałką w ręku, z wymyślaniami i połajaniami na

ustach, lżył, złorzeczył, klął i bił każdego, kto mu się nawinął na oczy, a nie miał szczęścia przypodobać się jemu, bądź słowem, bądź wyglądem tylko. Pierwsza znaczniejsza kolizja pomiędzy generał-gubernatorem a Eichmilerem zaszła z powodu świeczników rzeźbicnych, bo gdy je zawieszono na sali, zdało się wielkorządcy, że są za małe w stosunku do sali teatralnej. Nic nie pomogło odwoływanie się majstra do planów i wymiarów, zatwierdzonych osobiście przez generał-gubernatora, od których na włos nie odstąpiono, bo odstąpić nie śmiano. Pomimo to wszystko kazał autokrata przerobić świeczniki kosztem majstra, gdyż mu się tak podobało — i tyle. Odtąd datują już coraz częstsze napaści, to na samego Eichmilera, to na jego pomocników, aż nareszcie nadszedł dzień krytyczny. Przyjechawszy po jakiejś sutej uczcie w stanie podnieconym do gmachu teatralnego, napadł bez żadnej racji na tapicerów i zaczął ich gromić za to, że zbyt mocno naciągają półaksamit pąsowy na borty loży generał-gubernatorskiej. Odpierając ten zarzut niesłuszny, zrobił uwagę Eichmiler, że naciąganie materji na bortach jest rzeczą potrzebną, gdyż inaczej układać się ona będzie w zmarszczki; ta uwaga nie podobała się generał-gubernatorowi, bo zawołał rozzłoszczony „Ja wiem“ („Ja znaju“), ty każesz naciągać dla tego („patamu“chcesz że), ukraść sobie materji na kamizelkę („na żyletku“). Na gniewne słowa wielkorządcy odpowiedział Eichmiler spokojnie, że nie ma potrzeby kraść, bo umie zapracować uczciwym sposobem na utrzymanie i na kamizelkę, i że ani on sam, ani jego po-

mocnicy Polacy, nie kradną i kraść nie będą. Usłyszawszy tę odpowiedź, którą uznał za obrazę swego majestatu generalskiego, ryknął wściekły satrapa: „Wy wszyscy jesteście złodzieje, łotry i gałgany („wy wsie wory, maszenniki i niegadiai“) i porwał się do kija, wtedy Eichmiler uderzył w twarz generał-gubernatora.

Zaraz potem porwano, związano Eichmilera i odstawiono do więzienia. Sąd wojenny został wyznaczony z ramienia wielkorządcy i odbyły się tak zwane „sądy jawne“ („Głasnyje“). Cała komedja takich sądów dobrze jest znana każdemu, to też tutaj dosyć będzie przytoczyć parę następujących szczegółów tylko, ażeby wykazać, jaką wartość i jakie znaczenie sądy irkuckie miały w obecnym wypadku.

Tak więc zrana tego dnia, kiedy miał zapaść wyrok, a zatem o kilkanaście godzin przed jego wydaniem, było już w policji irkuckiej gotowe rozporządzenie do ks. Szwermickiego, proboszcza Irkucka, ażeby o wieczornej porze stawił się do więzienia dla dysponowania na śmierć Eichmilera. To rozporządzenie zostało doręczone proboszczowi o godzinie 11 z rana, a sąd wydał wyrok dopiero o godzinie 3 popołudniu.

Generał gubernator sam osobiście jeździł, jeszcze przed wydaniem wyroku na plac kaźni, ażeby się naocznie przekonać o tem, czy dół, przeznaczony na mogiłę dla skazanego, jest dosyć głęboko wykopany. Przygotowaniem tego dołu sam wielkorządca raczył się zaprzątać i wydawać odnośne rozporządzenia na miejscu *).

*) Może kiedyś, gdy dokładniej zbadane będą ciemne głębie duszy potworów-tyranów — zdołamy odpowiedzieć na pytanie, co parło generał-gubernatora na miejsce kaźni i jakie

Z tych dwóch, wyżej przytoczonych faktów, można się przekonać dostatecznie, że wyrok został już z góry postanowiony i że cały ten sąd był po prostu komedją, odegraną „gwoli przyzwoitości“ („dla pryliczja“).

Żaden głos z całej zgrai czynowniczej, która otaczała wielkorządcę, nie podniósł się w obronie podsądnego, wszyscy kornie chylili głowę przed wolą despoty; atoli inaczej się zapatrywali na tę sprawę Sybiracy, a jakkolwiek i oni milczeli, zahukani i przywykli do kornej, niewolniczej uległości wobec władzy, ale w poufnych z nami rozmowach wyrażali głębokie współczucie dla Eichmilera i podziw nad odwagą człowieka, który jeden, jedyny z setek tysięcy maltretowanych i do niewolniczego upodlenia ducha doprowadzonych istot ludzkich, śmiał podnieść rękę na tyrana i zaprotestować publicznie przeciwko bachanalji jego despotyzmu, będąc przytem świadomy, że za tę śmiałość życiem przypłaci, bo jak on, tak i każdy z nas wiedział już zawczasu, że:

Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

*

że:

Zwyciężonemu, za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy...

---

pobudki nim kierowały, gdy wydawał rozkazy o pogłębieniu dołu mogilnego. Dzisiaj jednak z boleścią i smutkiem patrzeć tylko musimy w te dusze, dla nas niezrozumiałe a wstrętne, nie będąc zdolni dać należytej odpowiedzi na powyższe pytania.

Czulsze i gorętsze serce, niż je mają ludzie przeciętni, wierniejsze uczucie przyjaźni, niż zwykłe człowiecze, okazał biedny pies Eichmilera. Po wtrąceniu tego ostatniego do więzienia, obrał on sobie za stałe miejsce pobytu pobliże kazamat, skąd na krótkie tylko chwile wieczorne oddalał się dla przyjęcia pożywienia w dawnym domu swojego pana. Na plac kaźni wlókł się za osądzonym na rozstrzelanie, nie ustępując przed siłą brutalną i biciem barbarzyńskiem. Gdy przywiązano następnie skazanego do słupa, legł u stóp jego, niby towarzysz wierny i nie dał się odegnać. Po wystrzałach, kiedy nawpół żywego jeszcze Eichmilera wrzucono do mogiły, zaczął jęczeć żałośnie, a po zasypaniu dołu legł na kopcu i już nie powstał: skonał na grobie przyjaciela, bo go kochał więcej, niż samego siebie.

Stanisław Wroński
(Malarz*).

Stanisław Wroński urodził się w roku 1841 w Lubelskiem, wychowywał się na wsi pod opieką rodziców, którzy go jednak odumarli wcześnie, bo zanim ukończył wychowanie szkolne. Do szkół uczęszczał w Lublinie, stamtąd

*) Na Syberji było kilku Wrońskich, a jeżeli się nie mylę, to nawet dwóch Stanisławów. Ten, o którym mowa obecnie, znany był powszechnie pod mianem „Malarza“. Wielu nie wiedziało nawet o właściwem jego nazwisku, lecz wszyscy znali „malarza“.

przeniósł się do Warszawy, gdzie wstąpił do akademji sztuk pięknych, oddając się zawodowi artysty-malarza z zamiłowaniem, albo raczej z namiętnością, właściwą jego naturze porywczej, przyczem obrał dział pejzażów za specjalność, bo ta zdawała się odpowiadać najlepiej jego talentowi wrodzonemu.

Co do właściwości fizycznych, to je w następującym, krótkim zarysie podaję, zaznaczając tutaj tylko, że tak w charakterze swoim, jak i w budowie ciała, przedstawiał Wroński pewne znamiona, właściwe typowi południowo-europejskiemu, lecz one zlewały się w nim harmonijnie z cechami typu miejscowego w całość wielce sympatyczną.

Wroński był niskiego wzrostu, ręce i nogi miał małe, głowę foremnie ukształconą ze wskaźnikiem szerokości = 78 *). Twarz wyrazista, inteligentna, czoło wysokie i szerokie, sprawiały dodatnie wrażenie; kości jarzmowe były mało wystające, stąd lica wąskie; nos prosty, kształtny, mierny, usta pełne, podbródek zeszczuplony; włosy gęste, obfite, lekko w pukle zwinięte od natury, ciemne, prawie czarne, ze słabym odcieniem szatynowym, były zawsze starannie trefione. Brwi czarne, gęste, łagodnym łukiem zatoczone i oddzielone od siebie przestrzenią szeroką, ocieniały wraz z rzęsami długiemi, czarnemi — oczy mocno wypukłe, koloru modrego bławatka, szeroko otwarte, krótkowidze **). Za-

*) Jadąc na Kamczatkę, gdym bawił czas jakiś w Irkucku, mierzyłem Czerskiego. Wroński był wtedy obecny i przy tej okoliczności poddał się chętnie wymiarom.

**) Pomimo bardzo krótkiego wzroku, nie mógł nosić okularów, bo one męczyły zbyt silnie jego oczy.

rost twarzy był obfity, ale starannie codzień golony, z wyjątkiem wąsów sumiastych, szatynowych i takiegoż koloru hiszpanki, artystycznie przystrzyżonej. Rumieńce na twarzy były silnie uwydatnione. Piegów nie miewał wcale.



STANISLAW WROŃSKI
(Z fotografji zdjętej w Irkucku 1875 r.)

O powierzchowność swoją, jako artysta, dbał Wroński wielce, tę cechę podzielał on wspólnie

z naszymi malarzami. Ubierał się też zwykle z możebną, w danych razach, elegancją, bo nawet i wtedy, gdy w trakcie robót przymusowych na Syberji, w zakładzie karnym w Siwakowej nad Ingodą, kazano jemu i innym obecnym tam malarzom (np. Kossakowi), ze względu na ich zawód artystyczny, smarować dziegciem statki rzeczne („Barże"), świeżo zbudowane. Szedł on na te roboty wprawdzie z „mażnicą" i „kwaczem", ale ubrany z całą elegancją artysty, mając zgrabny „melonik" na głowie i rękawiczki warszawskie na rękach. Taka dbałość o estetykę w ubraniu w zwykłych wypadkach, zdwajaną bywała u niego pod wpływem wzroku płci nadobnej, która miała w osobie Wrońskiego zawsze i wszędzie szczerego i wdzięcznego wielbiciela i hołdownika, jak to zazwyczaj ma miejsce u naszych artystów i poetów.

Jakkolwiek zamiłowanie do zawodu malarza i namiętność, z jaką się jemu oddawał, stanowiły rys znamienny osobistości Wrońskiego, lecz nie pochłaniały jej w całości, przeciwnie było tam miejsce i dla innych upodobań, zwykle także namiętnie uprawianych.

Z życiem ówczesnej młodzieży warszawskiej zrósł się Wroński tak dokładnie, że uchodził zawsze za typowego Warszawiaka. To też, jak przystało na takiego, ukochał gród syreni całem sercem i całą duszą; poza Warszawą nic nie widział i widzieć nie pragnął, ona stała się dla niego rodziną, ojczyzną, światem całym, a nawet w myślach o raju była mu ciągle przed oczami. „Nie jestem kosmopolitą — powiadał — dla mnie i w niebie musi być Polska, musi być Warszawa". Żartowano też z niego, utrzymując,

że gdyby mu przyszło malować niebo z jego mieszkańcami, to pewnieby w perspektywie umieścił ogród Saski, Przedmieście krakowskie, Nowy Świat, albo Łazienki i Aleje Ujazdowskie, a zamiast aniołów całe grupy ubóstwianych Warszawianek, tylko, oczywista rzecz, bez skrzydeł, bo ten symbol życia powietrznego, niepasujący wcale do budowy ciała człowieka, raził jego zmysł artystyczny nienaturalnością, jak ją nazywał indyjską.

Ciągła potrzeba obcowania towarzyskiego z kolegami, dzielenie się z nimi myślami i uczuciami, była namiętnością wrodzoną Wrońskiemu, bo nie mógł znieść samotności. „Wolałbym szubienicę z kolegami — mawiał — niż życie więzienne lub pustelnicze“. Dzień cały oddany kształceniu się w obranym zawodzie, wieczory spędzał w gronie kolegów na wesołych pogadankach. Wspomnieniami tych chwil, tak drogich dla niego, dzielił się z nami nieraz, gwarząc wieczorami przy ognisku podczas wycieczek w góry Bajkalskie, dokąd towarzyszył nam kilka razy, zajmując się pilnie studjami z natury, dla swoich pejzażów górskich.

Naukami, stojącemi poza granicą swych specjalności, nie zaprzątał się Wroński „Miał — jak się wyrażał — jeden język, ale dobry“, znał jedną historję „swoją“, pełną przykładów poświęcenia i porywów wzniosłych, szlachetnych, ale bez wszelkich cieniów ujemnych. O złych stronach przeszłości nigdy nie mówił, a nawet nie lubiał słuchać o nich opowiadań. „Matejko Targowicy malować nie będzie — powiadał. Cnoty nie z występków uczyć się powinniśmy. Zły przykład jest zaraźliwy nawet wtedy, gdy

służy za straszaka“. Historję tę „swoją“ uplastyczniał w umyśle i mowie za pomocą obrazów w rodzaju Matejkowskich, one pasowały najlepiej do jego usposobienia artystycznego, w opowiadaniach więc swoich posługiwał się zawsze pędzlem Matejki. Mistrza krakowskiego uwielbiał i stawiał wyżej od wszystkich naszych artystów, „bo nikt tak duszy człowieka oddać nie potrafił, jak on“. Wpatrując się z zachwytem w reprodukcje obrazów mistrza uwielbianego, mawiał, że mu się chce płakać z Kochanowskim i Zygmuntem, a gromić ze Skargą. Z pejzażystów cenił najbardziej Szwajcarów, bo są najmniej manierowani, zachwycał się pejzażem w obrazach Siemiradzkiego, dla jego „nieporównanej perspektywy powietrznej“.

Język i styl, którymi się posługiwał Wroński, były jędrne, oryginalne. Usposobienia zawsze wesołego, jak większa część zdrowych na ciele mazurów, tryskał, jak i oni, wrodzonym humorem. Nie sadził się nigdy na dowcipy, same one przybiegały mu na usta. Znałem wielu Warszawiaków, co również, jak i Wroński, posiadali w duszy niewyczerpany zdrój rodzimej szczerej fantazji, humoru i dobrodusznej ironji, to też ludzie tacy umilają tym darem nieba życie sobie i współtowarzyszom. „Jednego Warszawiaka stać za tuzin innych“ — powiada znane na Syberji przysłowie, dlatego to każdy, co żył w Warszawie, polubić ją musiał i tęsknić za nią będzie.

Z innej znowu strony znałem kilku Warszawiaków, jak np. Hohauzera, straconego na stokach cytadeli, ci nawet pod pięściami rozwścieczonych indagatorów z komisji śledczej,

haniebnej pamięci Tuchołki i Zdanowicza*) skrępowani na rękach i nogach, krwią własną oblani, z całą grozą szubienicy przed oczami — nie przestawali smagać ironją swoich oprawców. Wiek nawet podeszły mało wpływać się zdaje na takie żartobliwe, pełne humoru, usposobienie Warszawiaków. Tak np. staruszek Stattler, stawiony przed sąd wojenny w cytadeli warszawskiej i pytany dla proformy tylko, jak powiadają zwykle Rosjanie, czy ma pretensje do komisji śledczej, czynnej i tronującej na Pawiaku, odparł z pozorną dobrodusznością: „A któżby miał tym szlachetnym, zacnym i trzeźwym osobom cośkolwiek do zarzucenia? Pamięć o ich delikatności nosić zawsze będę w sercu, a pamiątkę po nich noszę w tem oto pudełku, gdzie przechowuję zęby, powybijane mi przez Tuchołkę i Zdanowicza“. Jakkolwiek wiedział Stattler, że mu za tę ironję sąd wojenny doda niezawodnie co najmniej parę lat katorgi, nie mógł jednak od niej się powstrzymać.

Wśród ciężkich prób, przez które przechodził, Wroński umiał zawsze zachować swobodę myśli i żartobliwość słowa. Opowiadając o zdarzeniach, wykazywał z pewnym odcieniem lekkiej

*) Tę komisję, sławną z chciwości, zwierzęcości barbarzyńskiej i alkoholizmu, nazywali żołnierze i żandarmi „dienieżną“ (pieniężną) albo „pijaną“ komisją. Oprócz smagania rózgami w osobnej sali, pełnej przyborów kaźni i oprawców z gwardji rekrutowanych, grubo piaskiem wysypanej, ażeby krwią ofiar podłogi nie walać, bito indagowanych pięściami w twarz, przy czem przywiązywano często ofiary oporne do kraty, która przedzielała salę indagacyjną. Niekiedy nawet takiego katowanego trzymał jeszcze żandarm z tyłu za ramiona, dla zupełnego bezpieczeństwa oprawcy.

ironji komizm danej sytuacji, i kreślił wypadki, jak gdyby malował pędzlem, tak wyraziście i wypukle występowały one przed umysłem słuchaczów. Dziwił się zawsze. że Rosjanie nazywają malowanie pisaniem, albowiem według jego zdania raczej opisy na miano malowania zasłużyć byłyby powinne, czyż bowiem „takie barwne obrazy, jak kreślone piórem Mickiewicza, nie są prawdziwemi malowidłami?“.

Wroński nie lubił czytywać książek a nawet nie mógł, bo czytanie męczyło mu niezmiernie oczy, zwykłe zaś powieści, gdy mu je czytano, nazywał nienaturalnemi, stąd też nie wielu autorów, do których w pierwszym rzędzie należał Lam, zaszczycał swojem uznaniem. Z poetów uwielbiał Mickiewicza, podobały się mu też wiersze Rodocia, a zwroty w poezji erotycznej, przypominające zacięciem swojem sarkazm Hejne'go, zachowywał chętnie w pamięci, to też słyszałem parę razy, jak powtarzał wiersz następujący:

Poszedłbym za nią do nieba,
I poszedłbym za nią do piekła,
Gdyby nie była z drugim uciekła.

Myśli swoich i czynów nie skrywał nigdy, „bo nie chciał wydawać się lepszym, niż był w istocie“. Serce miał zawsze na dłoni, szczerość była cechą jego charakteru. Za te przymioty dodatniej natury był Wroński lubiany powszechnie i to tak dobrze w towarzystwach polskich, jak i w rosyjskich. Damy syberyjskie nazywały go „niepadrażajemym“, albo „umarytielnym“, a wiejskie niewiasty „diewiczym starostą“. Ję-

zyka rosyjskiego nie mógł się nauczyć, mówił w towarzystwach Rosjan właściwie po polsku, dostrajając tylko wyrazy do akcentu mowy obcej, ale najczęściej nie umiał trafić na akcent konieczny, to też nie wiedział nigdy na pewno, czy go zrozumiano należycie; i tak np. nie mógł zgadnąć, czy mu się udało powiedzieć „męka“, czy „mąka“, gdy używał wyrazu „muka“, który w języku rosyjskim oznacza jedno i drugie, przy zmienionym tylko akcencie.

Koledzy i znajomi cenili Wrońskiego i chętnie poszukiwali jego towarzystwa. Tak n. p. Aleksander Czekanowski, w chwilach nastroju pessymistycznego, mieszkał jakiś czas z nim razem, kojąc boleści swoje czarem przymiotów towarzyskich Wrońskiego. Czerski lubił jego opowiadania, ich powab polegał na prostocie i żywości słowa, na szczerości uczucia i na trafności i oryginalności porównań.

Jednym z objawów życiowych indywidualności towarzyskiej i namiętnej Wrońskiego był niczem nie pohamowany popęd do tańca, który występował ze szczególniejszą siłą w czasie jego pobytu w Warszawie. Wprawdzie widziałem tę cechę mocno zaznaczoną i u innych Warszawiaków, lecz nigdy w tym stopniu, co u niego.

Wroński tańcował z werwą mazurską, zgrabnie i z wytrzymałością nieporównaną. Opowiadał nam, jak nieraz zaproszony na wieczór „tańcujący“, szczególnie podczas karnawału w Warszawie, „przehasał“ noc całą „bez pamięci“. W chwilach pobudzenia tanecznego tracił zazwyczaj zeznanie czasu, miejsca, głodu, zmęczenia i bolu, dopiero gdy się dostał na ulicę, przychodził do przytomności i wtedy ra-

ptownie uczuwał ból dotkliwy w obrzękłych nogach, potrzebę gwałtowną zaspokojenia pragnienia i głodu i konieczność wypoczynku. Taki stan ekstazy tanecznej widziałem u Kamczadalów, rzadziej u Aleutów i u roboczego ludu, pochodzenia rosyjskiego, w kopalniach syberyjskich. Middendorff opisał szał rzeczony u Tunguzów. W Europie ma być napotykany najczęściej u ludów sławiańskich („Sclavus saltans“ ma być równoznaczny ze „Slavus saltans“), u nas też, o ile wiem, nie jest rzadkością, lecz bywa już po większej części dzisiaj sztucznie podniecany, szczególnie u tancerzy płci męskiej, za pomocą trunków alkoholicznych, przez co traci na barwie i naturalności, a przeciwnie budzi niesmak i nawet pewien rodzaj wstrętu, jakiego się doznaje, bądź słuchając na ucztach uroczystych przemówień, wypowiadanych przez oratorów podchmielonych, bądź czytając utwory „poetyckie“ nowszej daty.

Pobudki jakiejś zewnętrznej silniejszej, bodźców szczególniejszych (np. alkoholicznych), w celu wywołania szału tanecznego, nie potrzebował Wroński wcale, „byleby brząkadełko jakie“ — powiadał — „a moje nogi szalały i za niemi serce i głowa“. Najczęściej nie przemówił słowa do tancerki, „nie zajrzał jej w oczy“; piękność, rozum, dowcip, wiek nawet osoby, z którą tańczył, były mu obojętne, „byleby tylko nie gubiła taktu“, a o resztę nie pytał. Porywał zwykle taką tanecznicę, umiejącą godzić się z taktem, pędził z nią, jak wicher szalony, improwizując nogami każdorazowo nowy choreograficzny poemat oryginalny i estetyczny, a trwało to tak długo, aż zawołała zmęczona

tancerka, — jak „Donna Clara“ do „Ramira“ w poemacie Heine'go — „dosyć!“; puszczał wtedy jedną, porywał drugą tancerkę i tak koleją, aż muzyka grać przestała.

Z mniejszą wprawdzie, ale zawsze silną namiętnością, oddawał się Wroński konnej jeździe i zabawom towarzyskim, a szczególniej w gronie płci pięknej. W ogóle wybitnym rysem jego charakteru było szczere, namiętne zajęcie się przedmiotem upodobania, lub obowiązku, umiał on skupić chwilowo wszystkie swoje władze duchowe na jednym przedmiocie, a nie rozpraszał się w myślach i czynach, jak to robią inni. Miał pod tym względem przymioty, które się coraz rzadziej napotyka obecnie wśród ludzi cywilizowanych, lecz te bywają dotąd jeszcze dosyć często widziane u „ludu prostego“, albo u ludów „niecywilizowanych“; z tymi ostatnimi podzielał też Wroński skłonność do przesądów, do wierzeń naiwnych i jakąś trwożną lękliwość przed niecodziennemi zjawiskami przyrody. Burzy, piorunów, trzęsienia ziemi, lękał się niezmiernie i nie mógł uwierzyć, ażeby kto z ludzi zdołał się oprzeć bojaźni w obec tych „żywiołowych szałów natury“.

O ile Wroński był pełen odwagi cywilnej, gdy miał do czynienia z ludźmi i nie dał się nigdy zastraszyć, lub pokonać mową, o tyle był ostrożny i lękliwy w obec przyrody. Przejść po kładce, rzuconej nad pieniącym się potokiem, nie próbował nigdy, lecz zwykle przepełzał, siadając na nią okrakiem, wleźć na drzewo wysokie, lub wspiąć się na urwistą skałę nie mógł, bujania się łodzi na falach spienionych jeziora znieść nie zdołał, do żadnej wycieczki na Baj-

kał nie dał się nigdy namówić. Objaśniając tę lękliwość swoją, powiadał, „że do odwagi takiej trzeba mieć wprawę i siłę, a ja nie mam ani jednej ani drugiej“. Gdy mu przy tej sposobności przypominano impet, z jakim szarżował na Kozaków, podczas służby wojskowej w oddziale powstańczym, odpowiadał „że tam był zapał i obowiązek, a tu prosta brawada tylko“. Oprócz właściwości, wymienionych uprzednio, podnieść muszę jeszcze parę cech, które sam Wroński nazywał „kobiecemi“; były niemi mianowicie: wstręt do tytoniu, fajki i cygara i pociąg prawie namiętny do słodyczy wszelakich. Herbaty nie mógł pić bez cukru, chyba, że go do tego zmuszała konieczność ostateczna, jak n. p. pobyt w górach, albo brak doszczętny funduszów. Gdy tylko mógł, osładzał sobie herbatę do stopnia ulepu, a pił ją tak mocną, że inni już herbatę taką „essencją“ nazywali. Czerski utrzymywał nawet, że podobna herbata, gdyby ją pił, byłaby go o śmierć przyprawiła. Nadto miał Wroński zawsze przy sobie karmelki, albo czekoladę, jeżeli tylko na taki zbytek pozwalały okoliczności przyjazne, ale też za to z drugiej strony nie używał trunków alkoholicznych, gdyż powiadał, że „samem powietrzem po pijanemu żyje, pocóż więc te sztuczne środki podniecania organizmu“, a tych niestety zbyt często i zbyt wiele używano na Syberji podówczas. Zeznając całą szkodliwość alkoholu, Wroński był szczerym i wymownym apostołem trzeźwości w kole swoich znajomych: że słowa apostolstwa jego mało skutkowały, winić wypada w pierwszym rzędzie zwyczaje i przesądy społeczne, zaś w drugim słabość woli

pojedynczych osobników. W obec takich groźnych nieprzyjaciół bogowie sami nawet walczą bez powodzenia. Nie sukces tedy, lecz szlachetna intencja Wrońskiego, stanowi jego zasługę.

Na tle zarysu, skreślonego powyżej, rozpatrzmy teraz koleje, przez które przechodził Wroński, pędząc żywot przeważnie na Syberji.

Chwile zajęć szkolnych młodzieży w Warszawie przerwane zostały raptownie wypadkami politycznej natury. W demonstracjach brał Wroński udział czynny wespół ze swymi kolegami, aż do czasu gdy wybuchło powstanie i młodzież zaczęła tłumnie opuszczać stolicę, spiesząc po większej części do obozów, formujących się w różnych okolicach kraju. Wroński chciał dzielić losy swoich przyjaciół, ale ci odradzali mu tego stanowczo, bacząc na krótkość wzroku i słabość jego organizmu. Zrazu usłuchał rady kolegów, lecz po pewnym czasie nie mógł, jak powiadał, wytrzymać dłużej w mieście i pomimo całego uroku, jaki miała dla niego Warszawa opuścił ją, pojechał w Lubelskie i tam zaciągnął się do oddziału powstańczego, do piechoty narodowej. Przekonawszy się jednak wprędce, że z oddalenia takiego, w jakiem potykała się zwykle ruchawka nasza z wojskiem regularnem najazdu nieprzyjacielskiego, nie zdoła nigdy widzieć celu swoich wystrzałów, postanowił przejść do kawalerji. Wyekwipował się kosztem własnym, wybrał i kupił klacz bojową „ognistą, inteligentną i niezmiernie odważną“, odbył ćwiczenia kawaleryjskie pod kierownictwem instruktora wojskowego i przeszedł na linję bojową. O jego pierwszej, a zarazem i ostatniej szarży na kozaków opowia-

dał nam kolega Wrońskiego, który razem z nim służył w oddziale, obok tego sam Wroński potwierdził prawdę słów kolegi, a nadto opisał ze szczerością sobie właściwą, wszystkie szczegóły, oraz wrażenia, jakie odebrał, i uczucia, jakie nim miotały w dniu tym, tak pamiętnym dla niego. Opowiadanie, o którem mowa, streszczam w niewielu wyrazach następujących.

Odebrano rozkaz, ażeby kawalerzyści danego oddziału, w którym służył Wroński, gotowi byli w dniu naznaczonym do ataku na sotnię kozaków, konwojujących partję powstańców rekonwalescentów, wziętych rannymi do niewoli w trakcie rozmaitych utarczek uprzednich. W dzień naznaczony przybył oddział kawalerji na miejsce wskazane i w milczeniu głębokiem zajął stanowisko. Wroński wytężył wzrok ku drodze, po której mieli nadciągać kozacy i zdawało mu się ciągle, że widzi ich przed sobą. Stan podniecenia wywoływał w nim zawsze halucynację wzroku, a w dniu tym, podniecenie dochodziło do swego zenitu: „szumiało mu w uszach, ćmiło mu się w oczach“, jak powiadał. Gdy usłyszano nareszcie turkot wozów, tętęt koni, głosy ludzkie, „serce w piersi jak młotem bić zaczęło Wrońskiemu, oddychać nie mógł“. Aż tu nagle rozległ się głos dowódcy „Naprzód“ „marsz“.

Na tę komendę Wroński wydobył pałasz, wzniósł go do góry, spiął ostrogami rumaka i z krzykiem gwałtownym, wołając: „a pójdziesz a pójdziesz, za Don, za Ural!“, rzucił się na wroga. Klacz ognista zerwała się do biegu, „jak strzała spuszczona z cięciwy“, pobudzana ostrogą, krzykiem jeźdca, wystrzałami nieprzy-

jaciela mknęła przed siebie, „sadząc przez rowy i zawały, gdyby sarna syberyjska“. Wrońskiemu zdawało się wciąż, że widzi przed sobą tłum pierzchających kozaków, starał się choć jednego z nich dognać, lecz wszelkie wysiłki były bezskuteczne. Złudzenia rozwiewały się niedoścignione, ażeby znowu w innem miejscu wystąpić w formie obrazu fantastycznego pierzchających kozaków. Taka pogoń trwałaby do nieskończoności, gdyby klacz nie zwolniła biegu, a jeździec nie oprzytomniał nareszcie: znalazł się on wśród pól nieznanych, nie umiał sobie na razie zdać sprawy z tego, co się stało i gdzie się znajdował. Zaledwie w kilka dni po ataku potrafił, przy pomocy najętego przewodnika, wrócić do „swoich“ i tam oświadczył otwarcie, że służbie w kawalerji podołać nie zdoła, bo podniecenie bojowe wywołuje w nim halucynacje wzroku, których pokonać nie jest w mocy. Tego rodzaju ekstazę bojową uplastycznił mistrz Matejko w swoim obrazie „Bitwa pod Grunwaldem“. Wroński odczuł myśl artysty i pojmował dobrze stan duszy Witolda, pędzącego przed siebie bez pamięci, bo go sam na sobie doświadczył. To też gdy jeden ze znajomych mu malarzy zrobił w jego obecności zarzut kompozycji, twierdząc, że Witold na obrazie jest nienaturalny, oburzył się Wroński gwałtownie, utrzymując, że jest najnaturalniej w świecie oddany, jest on bowiem przejęty uczuciem „tej nieskończonej radości“, która owłada wodzem po szczęśliwem zwycięstwie, „a czyż radość taka nie jest w stanie doprowadzić do chwilowego obłędu, albo przynajmniej do utraty równowagi umysłowej“. „Czyż

byś ty“, mówił Wroński do przyjaciela malarza, „nie puścił z rąk cugli i nie straciłbyś przytomności z nadmiaru szczęścia, gdyby ci przyszło obwieścić przed światem i narodem, że wróg nasz już nigdy nie wróci do kraju“. „Co do mnie“, dodał, „to czuję, że mógłbym zwarjować, a nawet padłbym może martwy, wołając: „zwyciężyliśmy!“

Po rozwadze nad wypadkami zaszłymi, musiał Wroński, aczkolwiek ze smutkiem głębokim, złożyć rynsztunek wojenny. Oddał klacz ulubioną na własność oddziałowi, w którym pełnił służbę kawaleryjską i zapisał się „do kurjerów wojskowych“. Woził odtąd depesze, rozkazy, biuletyny, co trwało przez parę miesięcy. Złowiony nareszcie z depeszami, których zniszczyć nie mógł, „bo zaszyte były w kapeluszu“ — zesłany został do kopalń syberyjskich.

O więzieniu i indagacjach nie lubił wspominać Wroński, na pytania, dotyczące tych chwil bolesnych, odpowiadał lakonicznie: „nikogo nie wydałem, nie mam nikogo na sumieniu“.

Drogę do Tobolska odbył Wroński pospiesznie, będąc ekspedjowany pocztą z żandarmami. Przywilej taki był rezerwowany prawie wyłącznie dla sądzonych w obrębie „Królestwa Polskiego“ (Carstwa polskawo). Sądzeni w innych dzielnicach, odbywali drogę do Tobolska pieszo. Z tego ostatniego miasta odsyłano znowu przez czas pewien tych, którzy mieli własne fundusze na opłacenie żandarmów i koni, również pocztą na miejsce, wyznaczone przez władze; do tej kategorji należał i Wroński, który „kapitały“ swoje ostatnie poświęcił na drogę i w ten sposób, pod skrzydłem opiekuńczem żandarmów,

dostał się do zakładu karnego w kraju Zabajkalskim, do „hut piotrowskich“ („żelezno-pławitielnyj Piotrowskij zawod“). Miejsce to jest sławne w kronikach syberyjskich, bo tam byli więzieni ostatni z pokolenia szlachetnych Rosjan, przyjaciół Polaków i osobistych przyjaciół Adama Mickiewicza. Znani byli oni na Syberji pod nazwą „Diekabrystów“. W Piotrowsku zbudowano kazamaty, przeznaczone specjalnie dla tych więźniów stanu, według planu, przysłanego umyślnie z Petersburga i aprobowanego przez samego cesarza Mikołaja I. Podanie głosi, że rozmieszczenie skazanych po celach więziennych, również wyznaczenie miejsca, gdzie stać powinna straż wewnątrz i na zewnątrz gmachu, były najmiłościwiej obmyślane i dysponowane przez samego cesarza. W terminach stale określonych, przesyłano przez specjalnych kurjerów raporty szczegółowe do Petersburga o wszystkiem, co się dotyczyło więźniów, których się bano nawet wtedy, gdy zakuci w kajdany, strzeżeni pod okiem wypróbowanych dozorców, odosobnieni najszczelniej od świata całego, marli powoli wśród mąk moralnych, najcięższych, bo mających swe źródło w bezczynności zabójczej więzienia celkowego.

Wroński dopiero w Piotrowsku, wśród otoczenia rodaków, wspólnie z nim tam więzionych, przyszedł do stanu normalnego, bo podczas całej, długiej drogi od Warszawy aż do Piotrowska był w ciągłej gorączce, nadto chorował po drodze na reumatyzm stawów, którego się nabawił po więzieniach rozmaitych; cierpienia te powtarzały się w późniejszych czasach do-

syć często i powodowały nieraz przerwy, nawet całomiesięczne, w jego zajęciach.

Poprawiwszy się chwilowo na zdrowiu, dzięki staraniom i opiece Franciszka Wozniackiego, operatora i praktyka szczęśliwego, rodem z Warszawy, a później głośnego chirurga w Irkucku*), Wroński ochłonął z wrażeń nieprzyjemnych podróży i zabrał się z zapałem do rysowania, lecz że nie miał przy sobie na

*) Czynność leczniczą Woźniackiego w Irkucku nazwać można jednem pasmem prac dla dobra ludzkiego podjętych, a prace te znamionowały uczucia wysokiego altruizmu, jakie posiadał ten człowiek, co umiał trudem własnym z chirurga, jakim był przy szpitalu w Królestwie polskiem, wykształcić się na dobrego operatora i lekarza niepospolitego, a nadto na prawdziwego koiciela cierpień ludzkich. Z pomiędzy wielu faktów, jakie mógłbym tu przytoczyć na udowodnienie zdań wyżej wypowiedzianych, wybieram jeden tylko, ale taki, który potrafił opromienić sympatyczną osobistość Woźniackiego prawdziwą aureolą poświęcenia bezinteresownego, rzec nawet można — nadludzkiego. Fakt, o którym mowa, był taki:

Dr. Birfrejnd, polak, skazany podczas powstania na deportację do wschodniej Syberji, praktykował w miescie i cieszył się ogromną wziętością w Irkucku, jako lekarz biegły, sumienny i jako człowiek wykształcony i uczynny. Ożenił się on następnie z młodą, sympatyczną i ładną panienką, z pochodzenia Sybiraczką, z domu kupieckiego „Zimych". Młoda osoba, poślubiona polakowi, stała się wprędce polką prawdziwą, nauczyła się poprawnie czytać i pisać po polsku, a myśli swoje i uczucia zespoliła z uczuciami i myślami na wskroś polskiemi swego małżonka; ukochała całem sercem naród nieszczęśliwy, którego odtąd cząstką wierną pozostała. Po paru latach pożycia małżeńskiego Dr. B. zachorował na gruźlicę i umarł, szczerze żałowany, na rękach przyjaciół i młodej małżonki. Ta ostatnia w chwili zgonu ukochanego męża i przyjaciela zemdlała i tak nieszczęśliwie upadła na krawędź łóżka, że

razie nic więcej nad ołówki i farby wodne, więc tworzył tymczasowo pejzaże ołówkowe i akwarelowe. W taki sposób powstało kilka serji kompozycji wielce udatnych, wykonanych częściowo na tle krajobrazów rodzinnych, częściowo na podstawie studjów nowych, uskutecznionych w najbliższych okolicach Piotrowska. Akwarele, przedstawiające cztery pory roku,

---

gdy ją z omdlenia ocucono, okazała się zupełnie bezwładną, pozbawioną mowy i możności połykania nawet płynnych pokarmów. Lekarze, koledzy zmarłego, zajęli się początkowo bardzo gorliwie chorą, ale widząc próżne starania swoje, zwątpili w skuteczność leczenia, a nie robiąc żadnej nadziei na przyszłość, zdali pacjentkę na łaskę Pana Boga. Woźniacki sam jeden tylko nie zwątpił: nie opuścił chorej, całe dwa lata nią się opiekował z gorliwością i troskliwością siostry miłosierdzia, karmił ją sztucznymi sposobami, przyrządzał pokarmy etc. i tylko ci, co wiedzą z doświadczenia własnego, jakiego stopnia pieczołowitości wymaga traktowanie człowieka zgoła bezwładnego i niemownego i to w ciągu dwóch lat całych — ci tylko, powiadam, ocenić potrafią niezmierny zasób cierpliwości i umiejętności leczniczej, jakie w tym wypadku wykazał Woźniacki, a miał on tę jedyną, ale prawdziwie godną swej pracy nagrodę, że powołał do nowego życia osobę, której działalność cicha i skromna przynosi zaszczyt płci niewieściej i społeczeństwu, na łonie którego się wykształciła. Rzadko widziałem w życiu mojem kobietę bardziej sympatyczną skromną i wykształconą, jak pani Birfrejnd. Gdy powróciła do zdrowia, zajęła się dalszem kształceniem siebie i swego otoczenia, a nadto pracą specjalną, teoretyczną, mającą na celu przysposobienie się do zawodu buchalterki i telegrafistki; zdała następnie egzamin z obu przedmiotów, zajęła później posadę odpowiednią i ciężką, sumienną, samodzielną pracą zdołała się utrzymać sama i nieść ciągłą, cichą i skuteczną pomoc swym, w duchu przybranym ziomkom, zespoliwszy się z nimi w myślach, dążnościach, uczuciach i nadziejach.

były odesłane na wystawę do Warszawy. Cedry syberyjskie, modrzewie, pichty i inne drzewa kraju Daurskiego oddawał Wroński na swych obrazach z prawdą nieporównaną. Rysunki swoje ołówkowe, te najmniej wdzięczne utwory artystyczne, doprowadził do doskonałości możebnej tak, że wszyscy jednogłośnie przyznawali im wartość wysoką. Wiele z tych rysunków dostało się później do Petersburga, niektóre przesłano do Sztokholmu, do Bukowskiego, mała ich część pozostała w Irkucku, a jeszcze mniejsza w kraju. Pomimo pochwał, jakich nie szczędzono Wrońskiemu, tak dobrze na Syberji, jak i po za jej granicami, sprzedaż rysunków jego była nie łatwą, stąd też niedomagania finansowe ciągle go prześladowały i tylko mocą opieki, prawdziwie ojcowskiej, jaką otoczył Wrońskiego współtowarzysz więzienia Konstanty Siciński, bardzo zdolny amator rzeźbiarz i malarz minjatur, własnym sposobem i pomysłem wykonywanych, był „malarz“ w stanie oddawać się bez przerwy zawodowi artystycznemu.

Wskutek rozporządzenia władzy Irkuckiej, więźniowie stanu, internowani w Piotrowsku, zostali przewiezieni do Siwakowej nad Ingodą, a następnie pewną ich część przesiedlono do Darasunia, czyli do wsi i zakładu leczniczego i kąpielowego, położonych nad rzeczką Turą, wpadającą do Jngody. W liczbie wysłanych do Darasunia był także i Wroński. Tutaj, wśród pięknej, górskiej okolicy, przerzynanej malowniczemi rzeczkami i potokami, urozmaiconej szerokiemi, kwiecistemi łąkami, mógł Wroński w spokoju oddawać się studjom, by czerpać

z nich później tematy do obrazów olejnych i do rysunków ołówkowych, tutaj także nadarzyła mu się sposobność znaczniejszego zarobku, bo gdy z okazji przejazdu generał-gubernatora Korsakowa, mieszkańcy miasta Czyty postanowili urządzić wspaniałe przyjęcie dla wielkorządcy, ogólnie lubianego przez ludność tamtejszą, to Wrońskiego wezwano do miasta, gdzie wykonał szereg malowideł dekoracyjnych, ściennych, freskowych, kurtynowych, a także parę obrazów olejnych, odtwarzając na nich przeważnie widoki okolic zabajkalskich, które się wielce podobały publiczności Czytyńskiej i nawet bardziej od niej wymagającym znawcom pochodzenia europejskiego. Wtedy to po raz pierwszy zarobił Wroński tyle, że mógł już pomyśleć o wypisaniu z Warszawy farb olejnych, płócien i innych dla siebie potrzebnych przyrządów, przyczem nie zapomniał, wracając do Darasunia, zaopatrzyć się w porządny zasób cukru i czekolady.

Pomyślny stan interesów pieniężnych nie trwał jednak zbyt długo, gdyż już w następnym roku rozkazano przewieźć wszystkich prawie skazanych, z kraju Zabajkalskiego do Irkucka, musieli więc oni opuścić miejsce dotychczasowego pobytu, pozbyć się wszystkiego, co sobie dotąd pracą ciężką zdobyli, by nowe rozpocząć życie, wśród warunków znacznie gorszych, bo o wiele nieprzyjaźniejszych od poprzednich.

W Irkucku pozostawiono tylko rzemieślników, do nich zaliczono także i Wrońskiego. Zdawało się też na chwilę, że pobyt w stolicy Syberji wschodniej przysporzyć może i powinien malarzowi środków potrzebnych do egzy-

stencji znośnej i koniecznej dla prac samodzielnych, artystycznych, sądzono bowiem, że się znaleźć w takiem mieście przecie musi pewna ilość amatorów sztuk pięknych, którzy zakupywać będą malowidła ku ozdobie swoich salonów, z drugiej strony miano nadzieję na obstalunki obrazów świętych, nowych; na restaurację starych, a również i na lekcje prywatne rysunków, dawanych po domach mieszkańców bogatszych, jakich nie brak w Irkucku. Atoli rachuby wszelkie i nadzieje zawiodły. I tak: malowidła, a szczególniej pejzaże, z małymi wyjątkami, nie znalazły odbytu w mieście. Sybiracy zamożni i Rosjanie, czasowo zamieszkali, jeżeli zdobią swoje salony, to albo obrazami świętych, lśniących od złota i srebra, albo portretami osób panujących i członków ich rodzin; drzewa, lasy, góry, skały, ruczaje i rzeki nie mają żadnej dla nich wartości. Co do obrazów świętych, to te muszą być koniecznie malowane podług szablonu prawosławnego, a nie modelowane na wzór istot ludzkich. Im mniej na obrazie takim jest cech życia człowieczego, tem łatwiej uznawany on bywa za święty: u świętych palce powinny być proste „jak świeczki", bez żadnych zgięć w stawach, twarze bez wszelkiego wyrazu, czoła gładkie, bezmyślne. Cały układ ciała świętych i ukrzyżowanego Zbawiciela jest z góry ściśle oznaczony, rozmieszczenie osób uskutecznia się podług rangi i płci, zarysy ubrania, fałdy sukien, zawiązanie przepasek na węzeł „święty", mają swoje kanony; nawet kolor krwi „malinowy" i barwa krzyża „ceglasta" (kirpicznawo cwieta), są obowiązującemi dla malarza.

Wszystko na takich obrazach musi być wykonane, jak powiadają znawcy, według nakazu władzy duchownej („pa duchownomu prykazu“). Wierzenia rdzennego prawosławnego, upostaciowanie świętych, którym się kłania, zresztą całe życie jego odbywa się „pa prykazu“. To też dobrze określa taką machinę społeczną czterowiersz następujący:

Nam prykażut, my staim,
Nam prykażut, my idiom,
Nam prykażut, my leżym,
I do prykaza w grobie spim.

Jeżeli ma być znalezione dowodne i dotykalne potwierdzenie prawdy słów tego orzeczenia, że nie ludzie zostali uformowani na podobieństwo Bogów, lecz, że przeciwnie, Bogowie byli każdorazowie tworzeni na modłę ducha danego narodu i społeczeństwa i z nim razem odbywali stopniowe i kolejne przeobrażenia swoje — to go nie gdzie indziej szukać mamy, jak na parnasie, o którym była mowa uprzednio, tam bowiem odzwierciedla się tak potężnie skostniałość i zrutynizowanie ducha ludzkiego w dobie obecnej, że śmiało powiedzieć można: „jakimi jesteście sami, takimi są też i wasi Bogowie“.

Wroński zawiódł się strasznie, gdy za namową swoich przyjaciół podjął się przemalować dla bogatej mieszczki w Irkucku jakiś duży obraz wytarty, przedstawiający ukrzyżowanego Zbawiciela w asystencji dwóch grup, jednej, złożonej z kobiet, drugiej z mężów świętych.

Znawczyni prawideł i przepisów malowania cerkiewnego, właścicielka owego obrazu

świętego, znalazła w malowidle, wykonanem przez Wrońskiego tyle herezji barwnych i postaciowych, tyle nieprawidłowości grzesznych w ugrupowaniu świętych, że nie chciała przyjąć obrazu nawet i za darmo, co więcej, posądziła malarza o chęć pozbawienia jej wiecznej szczęśliwości w raju, gdy ją namawiał do przyjęcia malowidła heretycznego. Tyle narobiła hałasu, tyle z nią miał kłopotu Wroński, gdy musiał przerabiać obraz cały według jej wskazówek, że odtąd zarzekł się malować świętych dla mieszczan syberyjskich.

O ile mieszczanie, a szczególniej mieszczanki i kupcowe zamożniejsze, a zwykle wielce ubogiego ducha, są skrupulatne pod względem upostaciowania swoich świętych, o tyle znowu włościanie nie mają żadnego pojęcia o jakichś prawidłach malarskich, to też nie są wybredni w dobieraniu „bohomazów“ dla swoich ołtarzów domowych. Byleby był blachą kryty, a wszelki obraz znajduje pierwsze miejsce w kącie „świętym„; obok niego mieszczą się inne, mniej cenne, bo bez blachy, przyczem dostają się tutaj i święci różnych wyznań, a nawet i potwory niekiedy. Tak np. widziałem we wsi Ili, w kraju Zabajkalskim, zawieszony u ołtarza w izbie paradnej włościanina, obraz kolorowany, przedstawiający „Mis Julja Pastrana“, naiwnie umieszczony obok św. Jana Cudotwórcy. Gdym zapytał gospodyni, jaki to święty, odpowiedziała, że to jest „Boh“, tylko nie wie, jak się nazywa, bo podpis nie jest rosyjski. Dla tej kategorji mieszkańców Syberji Wroński malował często, ale robił to bezinteresownie, odnawiał on zczerniałe obrazy,

a szczególnie te części ciała świętych, które są jedynie widzialne z pod blachy, jaką pokrywają obrazy, dla nadania im większej wartości i znaczenia, a także dla pewniejszej skuteczności próźb i modłów. Co do świętych kościoła katolickiego, to malował Wroński jeden obraz tylko do wielkiego ołtarza w kościele Irkuckim. Wziął on za model patrjarchalną postać Gerwazego Gzowskiego, dwukrotnie zsyłanego do kopalń syberyjskich. Nie portretował rzeczonego wygnańca, lecz umiał oddać energję woli przy łagodności oblicza, czyli przymioty, jakimi się odznaczał Gzowski, ten typ, „sybiraka“ z czasów Piotra Wysockiego, Erenberga, Boprego, Krajewskich, Antoniego Wałeckiego, Agatona Gillera, Dalewskich etc., o których pamięć trwa dotąd wśród mieszkańców porzecza Arguni i Onona, jak o tem nieraz przekonać się mogłem osobiście.

Wroński przedstawiał na swoich pejzażach krajobrazy wyłącznie miejscowe, zwykle dobrze pomyślane, przestudjowane należycie i wykończone starannie. Malował on widoki „daurskie“, czyli zabajkalskie; widoki z okolic „Tunki“ w dolinie Irkuta; z okolic Bajkała; z „Ussola“ w dolinie Angary etc. Krajobrazów „stepowych, o rozległym widnokręgu, obszarów wielkich, wodnych, n. p. Bajkału nie lubił. Tematami najczętszymi w jego obrazach były: doliny cieniste z ruczajem, lub rzeczką górską, albo też z niewielkiem jeziorkiem w planach dalszych; skały umajone roślinnością drzewną, jak n. p. skała, zwana „Jerozolimską“, położona w pobliżu wsi „Balzyny“ w Daurji; góra „Ałchanaj“, widziana z doliny rzeki „Ili“, wpadającej

do Onona; góra „Chamar-daban“, wynurzająca się z głębi doliny rzeki „Sliudianki“ nad Bajkałem; góra, którą nazwaliśmy „Czekanowskiego“, widziana z drogi „Chamardabańskiej“, wiodącej w głąb gór Bajkalskich; a następnie partje dzikie, lecz właśnie dla tej dzikości swojej urocze, z dolin rzek „Bystrych“, wpadających do Irkuta i rzek: „Pachabichy“, „Tałej“, „Kułtusznej“, „Śnieżnej“, „Utulika“, wpadających do Bajkału.

Koloryty drzew i łąk oddawał Wroński zwykle tak, jak je widział przy świetle słonecznem, nadto celował w odtwarzaniu głębi perspektywy powietrznej, tę ostatnią w obrazach Wrońskiego nazywali znawcy, jak np. hr. Ed. Czapski, współtowarzysz malarza w więzieniu piotrowskiem i siwakowskiem — bardzo trafnie „nieocenioną“, i rzeczywiście wybór przymiotnika dla charakterystyki perspektywy rzeczonej był szczęśliwy, bo ani jej samej, t. j. perspektywy, ani obrazów Wrońskiego w ogólności, ocenić na Syberji nie umiano, to też ze sprzedażą pejzażów, szczególniej olejnych, miał artysta zawsze wielki kłopot, trzeba je było wysyłać do Europy i czekać lata całe, aż je spieniężono nareszcie, a i to dzięki niezmordowanym staraniom przyjaciół Wrońskiego: ś. p. Stanisława Kietlińskiego i Henryka Nowakowskiego.

Gdy praca nad ulubionym przedmiotem pejzażów artystycznych nie była w stanie zapewnić utrzymania Wrońskiemu, musiał chcąc nie chcąc, brać się do innych zajęć, nie wychodzących jednak nigdy po za obręb jego zawodu, malował więc dekoracje do teatru w Irkucku,

a z pomiędzy nich odznaczała się wykończeniem starannem piękna kurtyna główna, odtwarzająca widok wspaniały na Amurze, w miejscu zwanem „Wrotami Chinganu“: następnie przemalowywał Wroński tła pejzażowe do portretów, tak n. p. do portretu wielkich rozmiarów, przedstawiającego głośnego poetę rosyjskiego „Dierżawina“, z galerji obrazów w pałacu generał-gubernatora, a ostatecznie był zmuszony czerpać środki konieczne do egzystencji, także i z lekcyj prywatnych, udzielanych dzieciom zamożniejszych mieszkańców Irkucka: lekcje te były w ogólności skąpo płatne, a do tego wielce niewdzięczne z powodu miernych, a najczęściej żadnych zdolności rysowniczych ze strony uczniów: wyjątek stanowiły pod tym względem dzieci pp. Popławskich, zdolne, pracowite, oddające się z zamiłowaniem rysunkom i malowaniu.

Ogólnie biorąc wszystko w Irkucku składało się dla Wrońskiego w ten sposób, że z biedą nigdy się rozstać nie mógł, doskwierała ona jemu szczególniej wtedy, gdy zasłabł na oczy, albo gdy go reumatyzm powalił na łoże cierpienia. Dla poratowania zdrowia wyjeżdżał parę razy na wieś, a w chwilach swobodniejszych od zajęć bawił podczas wakacji letnich w Kułtuku nad Bajkałem i wtedy to rysował z natury ryby syberyjskie i zwiedzał wspólnie z nami pieszo góry Bajkalskie.

Z chwilą, gdy ogłoszono, długo wyczekiwane, manifesty i łaski „więźniowie polityczni“ *)

---

*) Na Syberji dzielono zesłanych politycznych na dwie kategorje. Polaków zaliczano do tak zwanych

otrzymali po większej części pozwolenie na wyjazd z Syberji, ażeby odbywać kary czyścowe w Rosji europejskiej, zanim zasłużyć zdołają na niebo ojczyste. Wielu tedy ze znajomych i przyjaciół Wrońskiego pożegnało go na zawsze, pozostał więc osamotniony z myślą stale zwróconą ku Warszawie: zbierał grosz do grosza, odmawiając sobie wszelkich zbytków, ażeby tylko mieć możność opuścić Syberję z tą chwilą, gdy koleją stopniowych ułaskawień pozwolono mu będzie bez stacji pośrednich wyruszyć wprost do kraju. Nie prędko jednak spełniły się życzenia i pragnienia Wrońskiego, cały jeszcze szereg lat przemęczył się w Irkucku, aż nareszcie wrócił do Warszawy, lecz przybył on tam nie z siłami młodości i ze zdrowiem, niezbędnem do pracy, ale schorowany i z niezmiernie osłabionym wzrokiem.

Walkę nową o byt, podwójnie ciężką z powodu cierpień fizycznych, wiódł bez szemrania na losy, ze spokojem i rezygnacją człowieka, przywykłego do niepowodzeń. Szczęścia nie zaznał i w kraju, bo go nie było w ojczyźnie. Przebywał chwilowo to w Warszawie, to w Lubelskiem, czas jakiś bawił w Petersburgu i rozstał się z życiem nagle, wyjechawszy na wieś. O zgonie jego otrzymaliśmy wiadomość spóźnioną: zeszedł ze świata cicho i niepostrzeżenie, jak był cichy żywot jego, poświęcony pracy ulubionej, a opromieniany tylko miłością kraju i nadzieją lepszej dla niego przyszłości, w imię tej przyszłości cierpiał i pracował

„Paliticzeskich zsylnych“, rosjan do „Gasudarstwiennych prestupnikow“.

i z wiarą, że po ciężkich próbach udręczenia nastać musi świetlana zorza swobody, zeszedł do grobu.

Dr. Józef Łagowski.

Dr. Józef Łagowski urodził się w r. 1820 w Stepaniu powiatu Rówieńskiego na Wołyniu. Do szkół uczęszczał w Równem i Żytomierzu*), Uniwersytet ukończył w Kijowie, gdzie studjował medycynę, a jednocześnie oddawał się z zamiłowaniem botanice.

Łagowski był wzrostu średniego, silnej i krzepkiej budowy ciała. Głowę miał stosunkowo dużą, krótką i szeroką, czoło wysokie, policzki silnie wystające, co mu nadawało wygląd niezwykły, zdający się wskazywać na pewną domieszkę krwi wschodniej. Mięsnie twarzy były bardzo ruchliwe, szczególniej wtedy, gdy prowadził rozmowę ożywioną. Oczy nader żywe, „wesołe“ i „przenikliwe“, miały kolor bury, brew szeroka i gęsta, rzęsy długie, włosy na głowie i obfity zarost na twarzy, były ciemne, prawie czarne.

Temperamentu bardzo żywego, odznaczał się Łagowski prawością charakteru, siłą woli i energją, odwagą cywilną i prawdomównością, której się bano zazwyczaj, wypowiadał bowiem w oczy każdemu to, co uważał za słuszne, nie

*) Wiadomość tę zawdzięczam ś. p. Zygmuntowi Kaczkowskiemu, synowi Dr. Karola.

krępując się przytem żadnymi względami pobocznymi. Miał dar orjentowania się prędkiego w sytuacjach rozmaitych, w kwestjach traktowanych, a także i przy łóżku chorego. Umiał zachować krew zimną i potrafił zapanować nad porywczością swego temperamentu. Trafny był w sądach, ale najczęściej lakoniczny w słowach.

Po ukończeniu uniwersytetu służył od roku 1846 jako lekarz wojskowy na Kaukazie. Wyniósłszy ze szkoły zamiłowanie do botaniki i upodobanie do zawodu chirurga, uprawiał obie gałęzie wiedzy w ciągu całego swego życia z równą zawsze energją i z powodzeniem szczęśliwem.

Podczas służby Łagowskiego na Kaukazie wojska miejscowe stały na stopie wojennej i nie zaznawały nigdy spoczynku. Marsze i wędrówki, utarczki i boje były na rękę operatorowi i botanikowi, miał on albowiem sposobność poznawania kraju, zbierania olbrzymiego materjału botanicznego i nabywania, praktyką częstą i obszerną, biegłości w zawodzie operatora. Świadek naoczny, Kazimierz Łapczyński, obecny w owych czasach na Kaukazie, opowiada o historji tworzenia się zielnika Łagowskiego w sposób następujący: „Włóczęga“ za wojskiem po Kaukazie i Turcji azjatyckiej miała urok dla Łagowskiego, bo jako zamiłowany botanik spotykał coraz nowe rośliny, a zielnik rósł jak na drożdżach. Pamiętam, że były trudności z przewożeniem, ale miłość wszystko przezwycięża, a Łagowski miał głęboką miłość nauki. Zebrane rośliny zostawiał po drodze, gdzie się dało, potem z różnych stron spływały do wspól-

nego łożyska" *). Z zielnikiem bardzo bogatym, z biegłością, nabytą w zakresie chirurgji praktycznej i już z rodziną wrócił Łagowski do kraju, osiadł w Żytomierzu jako członek zarządu lekarskiego, gubenjalnego. Odnośnie do zielnika, przywiezionego z Kaukazu, to go uporządkował i wszedłszy w stosunki z botanikami, a w pierwszym rzędzie ze znakomitym uczonym, prof. i akademikiem Trautvetter'em, poruczył temu ostatniemu opisanie nowych gatunków w czasopismach naukowych. „Dwie rośliny otrzymały nazwy na cześć znalazcy: Łagowskia physocarpa Traut., z rodziny Krzyżowych, znaleziona w Turcji azjatyckiej, i Astragalus Łagowskii Traut. z rodziny Motylkowych, znaleziona pomiędzy Tabią i Erzerumem"**). Zielnik cały roślin kaukaskich Łagowskiego przeszedł, o ile wiem w posiadanie Trautvetter'a, zaś później dostał się po części do zbiorów uniwersytetu Kijowskiego, po części do zbiorów ogrodu botanicznego w Petersburgu. Na podstawie zielnika Łagowskiego opracował prawdopodobnie prof. uniwersytetu Kijowskiego Dr. Jan Schmalhausen florę zachodniej części Kaukazu, uczynił to mianowicie w drugiem wydaniu swojej pracy, noszącej tytuł „Flora południowo-zachodniej Rosji".

Gdy na wiosnę 1863, w przejeździe przez Żytomierz, poznałem ś. p. Józefa, był on wtedy już ojcem pięciorga drobnych dziatek, z któ-

*) Kazimierz Łapczyński. Wiadomości o zielniku Nadbajkalskim Józefa Łagowskiego. Wszechświat T. V. Str. 359.

**) Bulletin de l'Academie imperiale de St. Petersbourg, T. XVI. p, 321. Łapczyński l. c.

rych synek najstarszy Michaś, przyszły zbieracz roślin we wschodniej Syberji i pomocnik ojca przy układaniu zielnika „Nadbajkalskiego", miał zaledwie lat siedem. Warunki materjalne na urzędzie operatora przy tak zwanej „Wraczebnoj uprawie" w Zytomierzu, nie mogły zapewnić Łagowskiemu bytu niezależnego, przeciwnie zmuszały one jego do poświęcenia całego czasu, wolnego od zajęć urzędowych, praktyce prywatnej, stąd też rzadko miał możność oddawania się pracom naukowym i kolektorskim, a pomimo to jednak zebrał już był wtedy materjał obfity do flory okolic Żytomierza.

Przy wieczornej pogadance, gdym bawił u Łagowskiego w powrocie z Kijowa, pokazywał mi on część zielnika kaukaskiego i część nowego zielnika żytomirskiego, następnie zebrawszy całe grono swego „drobiazgu" kazał mu choralnie odśpiewać pieśń „Boże coś Polskę". Chór malutkich dzieciaków wykonał spiew z takiem uczuciem głębokiem, że wszystkim obecnym łzy mimowoli cisnęły się do oczu, a u małej, podówczas pięcioletniej Kostusi, łezki perliły się na powiekach przy każdem powtórzeniu zwrotki „Przed Twe ołtarze zanosim błagania". Jakkolwiek już wtedy smutek ciężki napełniał serce każdego z nas i kamieniem grobowym przygniatał wątłe przebłyski nadziei, ale nieprzewidywaliśmy jeszcze, że po latach paru spotkamy się na wschodzie dalekim. Za opatrunek rannych z oddziału Różyckiego po potyczce nieszczęśliwej, Łagowski sądzony został do kopalń Syberyjskich. Odbył tę podróż daleką z żoną i dziećmi, idąc po

większej części pieszo. Ile w tej podróży, trwającej rok przeszło, wycierpieć musieli skazani, jakiej energji i zapobiegliwości potrzeba było ze strony Łagowskiego, ażeby ochronić liczną rodzinę od nieprzyjemności wszelakich i ustrzedz ją od głodu, zarazy i wyczerpania sił, ten tylko może mieć wyobrażenie, kto taką podróż sam osobiście odbywać był zmuszony w owych nieszczęsnych czasach, mianowicie w czasach rozzwierzęcenia wojennego i zemsty nad pokonanymi.

Dopiero na wiosnę 1865 przybył Łagowski z rodziną do Ussola, czyli do zakładu karnego, położonego nad rzeką Angarą o 60 wiorst poniżej Irkucka. Troska o zapewnienie egzystencji licznej rodzinie była pierwszym i koniecznym zadaniem zesłanego do robót ciężkich Łagowskiego, lecz nie mniejszą, a również konieczną była znów troska o kształcenie dzieci. Tu los szczęśliwy dopomógł Łagowskiemu, bo znalazł w osobie Feliksa Zieńkowicza, sądzonego i zesłanego do kopalń syberyjskich, człowieka zdolnego do poświęceń, obdarzonego rzadkimi przymiotami wzorowego pedagoga, posiadającego takt niezrównany w obcowaniu z ludźmi, łagodność charakteru, delikatność w obejściu przy energji i stanowczości, a nadto wszechstronne wykształcenie, biegłość w językach nowożytnych i niepospolite zdolności rysownicze. Uczucia szczerej i głębokiej przyjaźni, jakie połączyły Zieńkowicza z Łagowskim, pozwoliły temu ostatniemu spokojniej już patrzeć w przyszłość, powierzył on wychowanie swoich zdolnych dziatek przyjacielowi, a sam dzielił teraz czas pomiędzy pracą na chleb

powszedni i zajęciem nad badaniem naukowem flory okolic Ussola i porzecza Angary.



Dr. JÓZEF ŁAGOWSKI z synem.

Łapczyński rozpatrując zielnik Łagowskiego już w Warszawie, słuszne wypowiedział zdanie. że nadzwyczajna tylko żywość temperamentu, a skutkiem tego każda czynność z niesłychaną szybkością wykonywana, sprawić to mogła, że

nasz botanik w ciągu pięciu lat, przy krótkiem nadbajkalskiem lecie i przy warunkach niesprzyjających wycieczkom — zebrał tak znakomity zielnik. Rzeczywiście tylko posiadacz takiego charakteru, jaki miał Łagowski, mógł dokazać tego co on dokonał: zdołał bowiem zadosyć uczynić obowiązkom ciężkim ojca licznej rodziny, pracującego w pocie czoła na jej utrzymanie wśród nieprzyjaznych warunków ówczesnych, a zarazem potrafił znaleść czas i wydobyć z siebie energję, potrzebną do zajęć kollektorskich i naukowych. Wprawdzie synek Łagowskiego Michaś, Feliks Zienkiewicz, przyjaciele i znajomi, pobudzeni przykładem niezmordowanego pracownika, brali czynny udział w gromadzeniu materjału surowego, florystycznego, ale głównie on sam go zebrał i uporządkował. Z tej doby datuje fotografja Łagowskiego, zdjęta przez amatora w Ussolu; na niej widzimy botanika wśród powodzi roślin, dostarczanych mu zewsząd, myślą zatopionego w pracy, którą osładzał sobie godziny ciężkiego żywota, jakie wieść musiał w Ussolu.

Rodzina Łagowskiego znalazła w Ussolu towarzystwo liczne, doborowe, rodzime: władze bowiem irkuckie zgromadziły w tym zakładzie karnym całą kolonję zesłanych polaków, przybyłych do ciężkich robót z żonami, a niekiedy z całemi rodzinami, gdyż te nie mogąc przenieść rozłąki z ukochanymi swoimi wolały porzucić ojczyznę i wędrować za pędzonymi na Sybir, dzieląc ich niedolę i kojąc ich cierpienia.

Pod owe czasy bawiły w Ussolu następujące panie nasze:

P. Bartoszewiczowa, Hr. Buińska, P. Gruszecka, P. Jeleńska Sabina, P. Hofmejstrowa, P. Lipomanowa, P. Lasocka, P. Łagowska, P. Łozińska (córka J. Kraszewskiego), P. Rolkowa, P. Smoleńska, Hr. Wielhorska, P. Wolska i inne. Następnie P. Oskierkowa (Oskierczyna) z domu Grabowska, przybyła jako narzeczona, do Ussola, a nadto w zakładzie karnym pomieszczone były panie, sądzone do robót ciężkich, mianowicie: P. Kirkorowa, P. Gudowska, Panny Guzowskie etc.

Sąd o polkach ówczesnych, bawiących przy mężach, zesłanych na Syberję wypowiedział Michajłów, głośny pisarz Rosyjski, a jeszcze głośniejszy męczennik za przekonania liberalne swoje, były profesor historji na uniwersytecie Rosyjskim, sądzony do kopalń, zmarły na wygnaniu w więzieniu zakładu karnego nad rzeczką „Kadają", w okręgu górniczym Nerczyńskim i tam pochowany przez ziomków naszych, współtowarzyszy jego więzienia. Sąd tego człowieka szlachetnego i znakomitego uważam za słuszny i streszczam go w następujących wyrazach:

„Uczucie zazdrości staram się zawsze po-
„konać w sobie, powiadał Michajłow, ale tru-
„dno mi to uskutecznić, gdy patrzę na wasze
„niewiasty. Stąd też, gdy uwielbiam ich ciche
„męczeństwa, znoszone przez nie bez słowa
„skargi na ustach, gdy widzę ich miłość szcze-
„rą i gorącą, jaką was otaczają, was wyzutych
„ze wszystkiego, coście posiadali kiedykolwiek,
„rzuconych dziś na pastwę bezprawia — to
„szczerze wyznaję, że zazdrościć wam muszę

„kobiet waszych. My Rosjanie takich niewiast „nie mamy dzisiaj, mieliśmy ich uprzednio „bardzo nie wiele (żony „Dekabrystów“) i nie są-„dzę ażeby w przyszłości bliskiej miało być ina-„czej, również nie przypuszczam, ażeby inne na-„rody były pod tym względem szczęśliwszymi „od nas. Dla wytworzenia takich kobiet, jak wa-„sze, trzeba było wielkich, wiekowych nieszczęść „narodu waszego i cały szereg ludzi poświęce-„nia, którzy zdolni byli ukochać ideę wolności, „swobody i sprawiedliwości stokroć silniej i go-„ręcej niż dobrobyt własny, niż tytuły, za-„szczyty, potęgę.“

Pobyt Łagowskiego w Ussolu zbogacił wiedzę botaniczną, dla niego zaś samego miał to doniosłe znaczenie, że utorował drogę do ogromnej praktyki, jaką się cieszył następnie w Irkucku. Wszystkie ważniejsze operacje chirurgiczne z owych czasów były przez niego wykonane w Ussolu, dokąd lekarze, praktykujący w Irkucku wysyłali swoich chorych, potrzebujących operacji, tak, że już opromieniony sławą biegłego w swym zawodzie chirurga, stanął śp. Józef na widowni przyszłej działalności swojej, w stolicy wschodniej Syberji w roku 1867.

Jeszcze przed przybyciem Łagowskiego do Irkucka praktykowali tam polacy zesłani, umieli oni pozyskać w prędkim czasie nie tylko zaufanie u miejscowej ludności, ale zarazem i jej miłość. Ze względu na ten przymiot dodatniej natury, mianowicie na zdolność pozyskiwania serca swego otoczenia, mieli lekarze polacy niezaprzeczone pierwszeństwo i znaczną przewagę nad rosjanami, swoimi kolega-

mi w zawodzie lekarskim, stąd też cała praktyka prywatna spoczęła na razie, i spoczywawała przez czas długi w rękach polaków. Do najbardziej lubionych lekarzy należał Dr. Wiszniewski*), który umiał posiąść miłość powszechną, i to w tak wysokim stopniu, że gdy wypadek tragiczny spowodował śmierć jego, to mieszkańcy Irkucka urządzili wspaniałą, imponującą swoim ogromem, ostentacyjną demonstrację przy pogrzebie, a przez długie lata po jego śmierci zdobiono skromną mogiłę wygnańca — kwiatami, dając tem dowód, że sybiracy umieją cenić i czcić zasługi i poświęcenie, i że potrafią zachować je w swojej pamięci.

Wielu z naszych lekarzy zesłanych zajmowało się praktyką przez czas dłuższy w Irku-

---

*) Wiszniewski, człowiek i lekarz młody, bardzo lubiony i ceniony, został ukąszony w palec przez małego pieska pokojowego w mieszkaniu jednego ze swoich pacjentów. Piesek zbiegł tegoż samego dnia z domu od swego pana, ale ten nie zawiadomił z umysłu lekarza, ażeby, jak powiadał, nie wywołać niepokoju. Po pewnym czasie zasłabł Wiszniewski nagle, a jednocześnie z silną gorączką i dreszczami, objawiające się ponowne doleganie ukąszonego przedtem palca, kazało się domyślać związku przyczynowego pomiędzy jednym symptomatem a drugim. Jakoż badania dokładne przekonały, że ukąszenie pieska jest przyczyną choroby Wiszniewskiego, ale niestety już było za późno, ażeby zaradzić złemu, wprędce potem wystąpiły groźne oznaki wodowstrętu i chory wśród najokropniejszych męczarni życie zakończył.

Z pomiędzy lekarzy polaków zesłanych, którzy w Irkucku padli ofiarą swego zawodu, wymienię następujących: Birfrejnd, Jarocki, Paszkowski, Trzaskowski, Mackiewicz, Woźniacki, ten ostatni zaraził się przy operacji, chorował długo i już odtąd nie wrócił do zupełnego zdrowia.

cku i każdy z nich zostawił po sobie pamięć najlepszą, a wywiózł przytem, oprócz uczuć przyjaznych dla ludności miejscowej, jeszcze i środki materjalne, tyle potrzebne dla póżniejszej, nie mniej skutecznej i pożytecznej działalności swojej na nowych miejscach, dokąd go losy zagnały.

Nazwiska bardziej znanych lekarzy polaków, współtowarzyszy Łagowskiego, praktykujących w Irkucku wymieniam po kolei:

Birfrejnd, Czekatowski, Jarocki, Jaworowski, Krasicki, Lasocki, Mackiewicz, Paszkowski, Piekarski, Samojło, Sypniewski, Swida Jan, Trzaskowski, Woźniacki.

Sympatje i współczucie ze strony ludności, jakiemi się cieszyli polacy na całej Syberji, zawdzięczyć trzeba w znacznej mierze działalności umiejętnej, szlachetnej i pożytecznej naszych lekarzy, a na czele tej działalności w Irkucku stał w pierwszym rzędzie Łagowski. Ale oprócz tej czynności jego, mamy jeszcze inną do zaznaczenia, mianowicie czynność mającą na celu niesienie pomocy rodakom. Otóż wszędzie, gdzie szło o uzyskanie jakiejś ulgi dla zesłanych, ułatwienie zmiany miejsca ich pobytu, pozwolenie przyjazdu do miasta, wystaranie się o zajęcie lub posady prywatne*) etc. — tam był zawsze czynny śp. Józef. W celu niesienia skutecznej pomocy wszedł w bliższe stosunki ze światem urzędniczym

*) Posady rządowe były niedostępne dla polaków, nawet uczenie dzieci abecadła rosyjskiego było najsurowiej, oficjalnie wzbronione.

i kupieckim Irkucka i umiał stanowisko swoje i wziętość wyzyskać na korzyść wygnańców, każdy też z nich w potrzebie udawał się do Łagowskiego i nie znam wypadku, ażeby komukolwiek odmówił swojej pomocy, to też śmiało powiedzieć można, że on jeden więcej zdziałał dobrego dla swoich, niż reszta ludzi wpływowych razem wziętych. a to nie tylko z racji, że był bardziej chętny i więcej skory do pomocy, lecz że umiał wziąść się do rzeczy, że miał rozleglejsze stosunki, znał lepiej naturę rosyjskich urzędników, poznał dokładniej charakter miejscowej ludności i posiadał ten dar szczęśliwy prędkiego orjentowania się w sytuacji, a nadto, że śmiało i odważnie szedł zawsze do celu, dla tego też potrafił uzyskać wszędzie to, czego się domagał, albo o co prosił, a czego inni, wpływem swoim uzyskać nie byli w stanie. Już w kilka lat po śmierci Łagowskiego, gdy zaszła mowa o śp. Józefie, oświadczył mi jeden z wyższych urzędników, że się go bano formalnie. Łagowski, powiadał urzędnik rzeczony, nigdy nie prosił o coś dla siebie, ale gdy się wstawiał za innych, to w taki sposób, że raczej myśleć można było, iż rozkazuje, nie prosi, a wszakże, dodał narator, jego prośbom nigdy odmówić nie mogłem. Dom gościnny Łagowskiego stał dla wszystkich otworem, tak dobrze jak jego serce i kieszeń, pomimo tedy ogromnej praktyki i dochodów z niej znacznych, nie zebrał żadnych prawie funduszów.

Dla wszystkich naturalistów i obcych i swoich, był zawsze Łagowski z wylaniem uczuć najserdeczniejszych. w potrzebie każdej stawał

się ich patronem, orędownikiem i opiekunem; wyrobił np. pozwolenie na pobyt w mieście dla Konstantego Żebrowskiego (ornitologa) *), dla Hartunga (chemika i entomologa), dla Ekerta (chemika i technologa), Herbsta (aptekarza i botanika) etc.: zajął się także z gorliwością sobie właściwą, losami pierwszej ekspedycji Mikołaja Przewalskiego, podówczas jeszcze tylko kapitana, a nadto człowieka w chwili danej nie bardzo dobrze widzianego w sferach wojskowych petersburskich. Trzeba bowiem wiedzieć, że owa straszna zawziętość na polaków, nienawiść do nich, ziejąca z organów publicystyki patrjotycznej moskiewskiej, a także po części i petersburskiej, jakie się w latach sześćdziesiątych objawiły powszechnie wśród warstw rządzących i urzędniczych, odbiły się także niekorzystnie na osobie Przewalskiego, który miał to nieszczęście, że brzmienie i pisownia nazwiska jego nie były rdzennie rosyjskie. „Gdyby się był pisał Pszewalskij, albo Pierewalskoj zamiast Przewalskij“, powiadał eskard-major i generał-adjutant Skołków, „nikt by go o jakęś polskość nie był posądził, ale gdy się afiszuje nazwą, mającą brzmienie i pisownię polską, to łatwo powstać może podejrzenie, że jest i że chce uchodzić za

*) Konstantemu Żebrowskiemu ułatwił wstęp do gabinetu Towarzystwa geograficznego i wyrobił mu miejsce kustosza działu ornitologicznego. Żebrowski uporządkował zbiór cały, wypychał ptaki, zebrane np. podczas ekspedycji barona Majdla i Karola Neumanna do krajów Czukczów etc. Zmarł w Irkucku na gruźlicę. Hartung i Ekert wrócili do kraju, obaj zmarli w Warszawie na gruźlicę.

osobę pochodzenia polskiego" — (lico polskawo proischodzienja). A takie osoby jak wiadomo, zostały pozbawione mocą ukazów najwyższych, wielu praw obywatelskich, zaś wskutek gorliwości patrjotycznej władz niższych bywały one odsądzane nawet od praw człowieka, bo wiedziano wtedy dobrze o tem, że się nikt za pokrzywdzonymi nie ujmie i nie skarci krzywdzicieli, przeciwnie w sferach urzędniczych miano przekonanie, że taka czynność prześladowcza uznaną będzie za dowód wysokiego patrjotyzmu z ich strony i za działalność niezmiernie pożyteczną, w interesie państwa podjętą, a tem samem godną pochwał i nagrody. Że łatwo było wtedy nabrać takiego przekonania świadczą fakty rozmaite, z pomiędzy nich wybierając dosyć tu wspomnieć o historji majątków i zbiorów Walickiego, hr. Edw. Czapskiego i o losach Romera.

Prześladowanie ze strony władzy wykonawczej, szczucie mas ciemnych na wszystko, co polskie, zohydzanie i wypaczanie celów i dążności najszlachetniejszych, przy pomocy prasy niesumiennej, etc., wymagały od ludzi pochodzenia polskiego, żyjących wśród towarzystw rosyjskich, a szczególniej od osób, pragnących znaczenia na świecie, marzących o karjerze lub dobrobycie, silnej odporności, ażeby one ze swych nazw, swego sumienia z całej swej duszy nie wymazały doszczętnie i w nich nie zatarły ostatnich śladów, a nawet cienia śladów „ducha polskiego" — (polskawo ducha). To też podziwiać trzeba stałość Przewalskiego, że potrafił wytrwać przy pisowni polskiej swojego nazwiska. Stałość taka jest tembardziej

podziwienia godną, że go do niej nie zniewalało żadne uczucie patrjotyzmu polskiego, gdyż nigdy siebie za polaka nie podawał jakkolwiek przyznawał możność, a nawet prawdopodobieństwo pochodzenia z rodu polskiego: sympatyzował z polakami, nie stronił od nich, miał nawet przyjaciół pomiędzy nimi, rozumiał i czytał po polsku, miał przy sobie ornitologję Tyzenhauza, dzieła Taczanowskiego etc., lecz idea odrębności polskiej była dlań tyle niesympatyczną, o ile nią była naprzykład idea odrębności Rusinów, Czechów, Serbów, Chorwatów, Czarnogórców, a nawet Węgrów, Turków etc. On pragnął wielkiej, potężnej Rossji, jednej wschodniej monarchji, z absolutnym pasterzem na czele, a to dla tego tylko, ażeby państwo tak pomyślane, mogło działać skutecznie w myśl jego pragnień, ażeby zawsze wychodziło zwycięzko z walki, według jego zdania, koniecznej i nieuniknionej, ze znienawidzonymi przez niego: Niemcami, Anglikami, a po części i Francuzami. Złamać potęgę „nikczemnej“ polityki Zachodu, nieść pochodnię oświaty na wschód, wraz z wiarą prawosławną i językiem urzędowym, pochłaniać wszystko, przetrawiać, niszczyć nawet, byleby się utworzył potrzebny amalgamat bierny, podatny dla wszelkich zakusów, słusznych, czy nie słusznych państwa potężnego. Takie były mgliste rojenia ówczesnego Przewalskiego, kiedy był tylko kapitanem i młodszym adjutantem przy gubernatorze kraju nadmorskiego (Primorskaja Obłast'). Rojenia te jego nazywano wtedy na Amurze „systemem owraniania“ *) (awranitielnaja si-

*) Nienawiść jakaś żywiołowa do Niemców i Anglików, która wypełniała po brzegi serce kapitana

stiema) i żartowano z nich, nie przewidując wcale, że już nadciąga owa złowroga chmura, z której wypadną gromy „abrusienja“, „abjedi-

Przewalskiego, była jedynym motorem dla jego pragnień potwornych. Sam on widział dobrze i rozumiał zepsucie i zwyrodnienie moralne sfer rządzących i urzędniczych, ich przedajność, łajdactwa, opowiadał o nich najbardziej ohydne i wstrętne historje; następnie potępiał w czambuł całe duchowieństwo, mienił je pogardliwie wyrazem „mierzost'“, świadczył całym szeregiem faktów jak misjonarze, wysłani w celu nawracania Korejczyków, Chińczyków, Burjatów etc. otaczali się haremem, jak sami pili i rozpajali ludność, demoralizowali ją, a nie kształcili; uznawał stan zbydlęcenia armji, z pomocą której wojował, mienił cały świat kobiecy swego narodu nierządniczym, a lud ciemny, przesądny i ogłupiony barbarzyńczym. Pomimo to wszystko jednak pragnął zwycięstwa dla takiego społeczeństwa, a to tylko z racji tej, że pałał nienawiścią prawie fanatyczną ku Niemcom i Anglikom.

Nazwa „owraniania“ pochodzi ztąd, że jeden z uczestników sporu, gdy rzecz zaszła w tej materji, biorąc przykład z ornitologji, zapytał Przewalskiego: czyby on, jako zapalony myśliwy i namiętny ornitolog zamiast lubować się różnorodnością form ptasich, chciał je sprowadzić wszystkie do jednego rodzaju, np. wroniego i wszystkie piękne, melodyjne i urozmaicone ich głosy i śpiewy zlać w jedno monotonne krakanie; oczywista rzecz, że na taki gwałt nie przystał by nigdy ornitolog. Otóż jeżeli naturalista i myśliwy nie znalazłby żadnej satysfakcji w tak pomyślanym stanie rzeczy, to czyż nie jest szaleństwem żądać i pragnąć czegoś podobnego dla ludzkości? Poglądy swoje wypowiadał w owe czasy Przewalski często, udzielając np. rady komisji, wysłanej wtedy na Amur i Ussuri pod kierownictwem generał-adjutanta Skołkowa, a szczególnie gdy przedstawił jej swój projekt, dotyczący rusyfikacji Korejczyków, osiedlonych w obrębie państwa rosyjskiego, tuż u granicy Korei, w wioskach Tyzen-che, Janczy-che i Sidemi. Zapatrywania swoje ogłosił następnie w pracy odnoszącej się do kraju nadamurskiego. Niestety rady

nienja", tak wstrętne dla wszystkich ludzi myślących, a tak zabójcze dla samego państwa, bo w ten sposób kopie ono sobie dół mogilny.

Marzenia Przewalskiego, ażeby Indje wschodnie stały się generał-gubernatorstwem, ażeby Mongolja, Mandżurja, Chiny całe wraz z Koreją i Japonją przyjęły alfabet i mowę rossyjską i uznały Śtego Mikołaja za swego patrona — przyswoili sobie w późniejszym czasie rozmaici działacze polityczni na wschodzie, ale u niego samego zeszły one na plan drugi, a może nawet znikły zupełnie z horyzontu myśli jego, tonąc w coraz bardziej wzbierającej fali namiętności do wypraw myśliwsko-wojennych, których urok polegał na coraz to nowych odkryciach w dziedzinie geografji, etnologji, zoologji i botaniki.

Jeszcze podczas bytności w akademji wojennej robiono Przewalskiemu pewne trudności:

Przewalskiego przyjęte zostały, przesiedlono Korejczyków gwałtem z nad granicy korejskiej na Amur, ażeby jak się wyrażał Przewalski „nie widząc gór rodzinnych, łatwiej zapomnieć mogli o swej ojczyźnie". Większa część tych nieszczęśliwych ofiar wymarła w drodze, nie doczekawszy się błogich skutków „owraniania", zaś reszta zamieniła się w proletarjat i niemoralnością swoją, nabytą, wraz z prawosławjem, na nowem miejscu osiedlenia, we wsi „Pucyłówce", już w kilka lat potem w niczem nie ustępowała swoim sąsiadom, nauczycielom, rdzennym obywatelom kraju, wtedy, kiedy na dawnych swoich siedzibach ci sami Korejczycy, a do tego „bałwochwalcy" odznaczali się według świadectwa Przewalskiego moralnością, pracowitością i trzeźwością. Tak więc mamy dowód, że i na wschodzie dalekim gwałt dokonany nie przynosi żadnego pożytku dla państwa, a tylko sprzyja jego rozkładowi i że największym nieprzyjacielem ludzkości jest szowinizm.

musiał się dokładnie wylegitymować ze swego pochodzenia, ażeby mu pozwolono było ukończyć studja w zakładzie. Wszakże pomimo legitymacji, nie miano na razie do niego wielkiego zaufania, „coś nieuchwytnego zdradza w nim polaka“ — oświadczał generał Simonow (jedyny generał sybirak), zaś inni sybiracy powiadali, że „od niego wieje duch polski*). Otóż

*) Charakter polskości „utajony“ w osobie Przew. odczuwali, słusznie, czy nie słusznie, wszyscy sybiracy, a że oni są niezmiernie czuli na różnice plemienne, na to mieliśmy dowodów pełno. Sybiracy nazywają wszystkich polaków „panami“, sądząc, że miano „Pan“ jest równoznaczące z nazwą „Polak“, tylko że jest mniej obraźliwe, niż to ostatnie. Tą też nazwą „Pan“ tytułowali i Przewalskiego, pomimo akselbantów jego i munduru wojskowego. Tytułowanie rzeczone gniewało często Przewalskiego, bo nie chciał nawet w oczach sybiraków uchodzić za polaka. Czy mieli słuszność sybiracy uważać Przewalskiego „z postawy“, za polaka? trudno dać na ta odpowiedź stanowczą. Że miał on coś w sobie nie rossyjskiego, to pewna, że różnił się znacznie od oficerów rossyjskich, i to nie ulega wątpliwości, ale po za tem ocena narodowości „z wyglądu“ jest rzeczą nader trudną, a niekiedy wprost niemożliwą. Niechże ktokolwiek na ulicach Lwowa odszukać zechce postać typową polską, a przecie wszyscy mienią się być polakami; nawet i sybiraka wąsy „a la Mefistofeles“ i bródki „kozie“ wprawiłyby w kłopot niezmierny. Co się zaś dotyczy cech osobistości Przewalskiego, to streszczam je w następujących wyrazach.

Przewalski był wzrostu wysokiego, silnej budowy ciała, miał barki szerokie i pierś wydatną. Głowę proporcjonalną, krótką, foremną, na krótkiej szyi osadzoną trzymał zwykle wzniesioną. Czoło nie wysokie, policzki nie wystające, podbródek zaokrąglony, nos rzymski, czyli orli, ale nie hakowaty, kształtny, usta pełne, nieco wydęte, z arystokratycznem, niby pogardliwem, lekce ważącem niezadowoleniem zaciśnięte, oczy duże, otwarte, niebieskie, łagodne, gdy świeciły z pod rozpogodzonego

z racji rzeczonych prawdopodobnie wahano się przez pewien czas udzielić mu prawa do noszenia oznak oficera sztabu generalnego, dopiero gdy przebył lat parę na Syberji, gdy się dał poznać jako człowiek bardzo zdolny, pracownik niezmordowany, dowódca odważny w wojnie ówczesnej z „Manzami", jako kollektor wyśmienity, podróżnik wytrwały i przedsiębierczy, a nadto jako patrjota, działający w kierunku urzeczywistnienia „panazjatyckiego cesarstwa", gdy następnie na mocy tych wszystkich dodatnich przymiotów swoich został Przewalski przedstawiony w bardzo pochlebnem świetle

---

czoła, natomiast harde, wyzywające, gdy nad niemi ściągnął brwi marsowe i zmarszczył czoło. Włosy na głowie miał gęste, ciemno-szatynowe, nieco pukliste, w tył zaczesane. Zarost na twarzy był obfity, starannie golony, gdyż brody „patrjotycznej", podówczas już w modę wchodzącej, nie znosił. Wąs sumiasty, światlejszy od włosów na głowie, stanowił ozdobę jego twarzy marsowej, wyrazistej, sympatycznej.

Tytoniu nie używał, trunków gorących nie cierpiał, kobiet apatycznie nie lubił, ich towarzystwa unikał. Od towarzystw miejskich stronił. Elegantami mężczyznami pogardzał, nazywał ich „Mon — cher'ami". W gronie naturalistów był mowny, wesoły, przyjacielski, ujmujący, przeciwnie w towarzystwie oficerów, urzędników etc. był nieraz szorstki, wyniosły, kpiący. Z podwładnymi swoimi był ludzki, ale wymagał od nich subordynacji militarnej. Wszyscy przyznawali mu przymioty dobrego kierownika i dowódcy. Umiał utrzymać rygor wojskowy, wzbudzić poszanowanie dla woli swojej, a jednocześnie potrafił ująć i przywiązać do siebie podwładnych. Strzelał doskonale, miał wzrok niezmiernie bystry, do pieszych podróży był przyzwyczajony, nie znosił długiej jazdy na koniu, często zsiadał z niego, szedł pieszo i mniej odczuwał zmęczenia, niż inni, jadący cały czas konno.

w raportach, składanych i przesyłanych do Petersburga przez naczelnika sztabu wojsk wschodnio-syberyjskich, ś. p. generał-majora Kukiela, wtedy dopiero nastąpiły i następowały jeden za drugim tytuły i awanse.



MIKOŁAJ PRZEWALSKI.
(Fotografja z roku 1870).

O epoce nieufności wspominał żartobliwie Przewalski, ale już miał wtedy wszystkie lody niepowodzenia za sobą i pędził z pomyślnym wiatrem, pod pełnymi żaglami ku celom swoich marzeń, podówczas już daleko skromniejszych, niż przedtem, bo ograniczających się tylko do podróży eksploracyjnej po Azji centralnej.

Gdy wracał Przewalski do Irkucka ze swojej pierwszej ekspedycji, odbytej po kraju Ussuryjskim, rozporządzał już wtedy kapitałem

stosunkowo znacznym (25 tysięcy r. s.), zdobytym „ciężką pracą“, jak powiadał, przy zielonym stole, grając w karty. Do gry zmuszony był zasiadać zwykle, mając rewolwer przy sobie, ażeby przy jego pomocy zniewalać partnerów „do trzymania rąk pod stołem“. Takie było ówczesne towarzystwo piękne w owej krainie dalekiej*).

Oprócz kapitału posiadał wzorową i pokaźną kollekcję ptaków, składającą się z 300 okazów, dalej kollekcję jaj ptasich, zbiór owadów etc. nadto herbarjum, mieszczące w sobie 2.000 egzemplarzy roślin zasuszonych, a przytem wszystkiem posiadał już renomę, której mu zazdrościli koledzy wojskowi.

---

*) Przewalski nie był namiętnym graczem, ale postanowił zużytkować pobyt swój pomiędzy graczami i szulerami dla celów zdobycia kapitału, potrzebnego „na smarowidło“, jak się wyrażał. Grał tedy z wyrachowaniem, a przytem niezmiernie „szczęśliwie“ i z taką krwią zimną, jakiej nie zdarzyło mi się widzieć, ani przedtem ani potem. Szczęście jego przy kartach stało się przysłowiowem na Amurze. Podczas naszej wspólnej podróży w przeciągu przeszło dwóch miesięcy, gdzie grano prawie codziennie po godzin kilkanaście na dobę, nie widziałem ani razu, ażeby przegrał w karty. Wygrywał jako „poniter“, jako bankier“, wygrywał w grach komersyjnych i hazardowych, a ludzie przesądni przypisywali mu jakąś tajemniczą moc i siłę nadprzyrodzoną.

Raz w oczach moich wygrał u kupca Olberts'a. w magazynie kupieckim tego ostatniego, na poczekaniu dwie skóry wydry morskiej wartości 800 r. s. i dwadzieścia soboli wartości około 400 r. s., stawiac karty z pamięci, gdyż talij poniterowej nie było w magazynie, a sam kupiec bank trzymał. Drugim razem bawiąc w Stanicy „Kamień rybołow“, nad jeziorem „Chanka“, potrzebował Przewalski 200 r. s. ażeby zapłacić dług oficerowi „Obutkcwowi“. Wiedząc, że w mieszkaniu pół-

Inaczej się jednak rzecz miała w owej dobie, gdy przybył Przewalski po raz pierwszy do Irkucka, jadąc na Amur; był on wtedy tylko kapitanem, zgoła nieznanym, nie posiadał środków pieniężnych, nie miał żadnych protekcji, a nadto nazwisko jego zdradzało pochodzenie polskie.

Projekt podróży na wschód zrodził się był w umyśle Przewalskiego jeszcze za czasu jego pobytu w Akademji wojennej, a prawdopodobnie pod wpływem warunków wyżej wspomnia-

---

kownika Zykowa grają w sztosa, zaproponował mnie pójść z nim razem, ażebym widział, jak on po chwili przyjdzie do posiadania sumy potrzebnej. Przewalski i tutaj wygłaszał karty z pamięci, bo mu talij poniterowej nie dano. Wygrał w dwóch ciągnieniach 200 rs. i zaraz pożegnał towarzystwo, bo na razie wygrywać więcej nie miał potrzeby.

Jadąc z Błahowieszczeńska do Stretieńska na parostatku w towarzystwie kupców zabajkalskich: Samsonowicza i Safonowa, wygrywał od nich tyle, ile mu każdorazowo potrzeba było na opędzenie kosztów podróży. Wygrawszy sumę, jaką na razie uważał za konieczną, usuwał się natychmiast z towarzystwa graczów, pomimo ich próśb i nalegań, ażeby grał dalej. Przyjechawszy do Irkucka postanowił nie grać więcej i nikt go odtąd już do gry w karty namówić nigdy nie potrafił. O graczach i szulerach Ussuryjskich opowiadał Przewalski niezmiernie ciekawe historje, jak oni przegrywali „bataljony“, sotnie, żony i narzeczone; tak np. pułkownik Fiksen wygrał żonę za 50.000 r. s. gdy ta przyjechała z jakimś inżynierem w roli przyjaciółki. Miljony rządowe, przeznaczone na fortece, jak np. forteca „Czynarach“ u ujścia Amura, na cerkwie np. w Sofijsku, na „sady wzorowe“, płynęły, jak opowiadał Przewalski, tajnemi, podziemnemi drogami do rąk szulerów, a fortece, cerkwie i sady znaczyły się tylko na papierze. Brano nawet sumy na remonta zabudowań, które nigdy nie egzystowały w rzeczywistości.

nych. Widział on dobrze, że rozum ludzki, zamglony fanatyzmem religijnym i szowinizmem narodowym, stał się ciężarem zbytecznym dla sfer rozmaitych. Postanowił więc szukać szczęścia dalej od nich i w tym celu wybrał za temat dla swojej pracy pismiennej przy egzaminie opis wschodniego pomorza państwa rosyjskiego. Opracował temat sumiennie i wyczerpująco i wskazał na ogrom braków w relacjach, jakie miano dotąd o tych posiadłościach dalekich *). Projekt zwiedzenia osobiście Amuru i Ussuri dojrzał dopiero w Warszawie, gdzie przebywał Przewalski czas pewien, pełniąc obowiązki nauczyciela w szkole junkrów. Bawiąc w tem mieście, wszedł w bliższe stosunki z Władysławem Taczanowskim, kustoszem gabinetu zoologicznego, odbył pod jego kierownictwem studja nad fauną ornitologiczną Mandżurji, nauczył się preparowania i wypychania ptaków. a także zwierząt ssących i w ten sposób przygotowy-

*) Wypracowanie, o ktorem mowa, doręczył Przewalski komisji egzaminacyjnej Akademji wojennej, zaś bruljon jego miał ze sobą na Amurze. Dr. Plaksin, naczelny lekarz w Mikołajewsku, ówczesnej stolicy „kraju nadmorskiego“, figura licha, znany jako skąpiec, wyzyskiwacz i szuler, pożyczył ów bruljon do przeczytania, kazał go następnie przepisać i przesłał do władz zarządu lekarskiego w Petersburgu, jako swój własny elaborat. Część tego wypracowania dostała się do pism perjodycznych rosyjskich. Przewalski, dowiedziawszy się o tem, wytoczył proces Płaksinowi, wygrał go i zmusił plagiatora do zapłacenia odszkodowania na rzecz nędzarzy, kozaków usuryjskich, znanych pod nazwą „goltipaków“, a nadto wymógł na dr. Płaksinie, że się przyznał publicznie do czynu niehonorowego.

wal się do podróży eksploracyjnej. Taczanowski ze swej strony, będąc myśliwym namiętnym i ornitologiem zamiłowanym, podniecał w Przewalskim zapał do wypraw, tyle obiecujących pod względem ornitologji. Działał on tu zupełnie tak samo, jak to czynił swego czasu z innymi podróżnikami, np. z Konstantym Jelskim, Konstantym Branickim etc. Z chwilą zaś, gdy projekt przeniesienia się Przewalskiego na Amur był już bliski urzeczywistnienia, wystarał się dla niego o pomocnika preparatora, w osobie niejakiego Roberta „Niemca-Warszawiaka“, jak on siebie sam nazywał. Ów Robert podjął się towarzyszyć nieodstępnie Przewalskiemu, przez ciąg dwóch lat, pod tym tylko warunkiem, że połowa zebranych kollekcji stanowić będzie własność jego, przyczem spieniężeniem kollekcji miał się zająć Taczanowski.

Zaopatrzony we wszystko, co było potrzebne i konieczne do życia na wpół koczowniczego, jakie wieść mieli podróżnicy na Amurze i Ussuri, wyruszył Przewalski z pomocnikiem, ażeby wczesną wiosną stanąć w Irkucku na czas przelotów ptactwa.

Preparator zawiódł wszakże oczekiwania Taczanowskiego i nadzieje Przewalskiego, zgotował temu ostatniemu kłopotów niemało, a co najwięcej naraził go na znaczne wydatki pieniężne. Już w drodze do Irkucka zatęsknił do narzeczonej, do swojej, jak ją nazywał w rozmowach z Przewalskim: „schönes und liebes Amalchen“ do „istoty o jedwabistem ciele“, jak ją mienił później Przewalski, gdy opowiadał nam o swoich niepowodzeniach z Rober-

tem. Zawód taki, zgoła nieoczekiwany i nieprzewidywany, mógł w niwecz obrócić wszystkie plany Przewalskiego, gdyby go z tej biedy podwójnej nie był wybawił Łagowski. Wziął on zaraz na siebie załatwienie tej całej sprawy i gdy nie mógł namówić preparatora, ażaby zaniechał powrotu do Warszawy, potrafił go przynajmniej wysłać tanim kosztem, przy jadących na zachód znajomych swoich, a następnie wystarał się o nowego pomocnika dla Przewalskiego.

Był nim Jagunow, młody chłopak, sybirak, nieskończony gimnazista, kandydat na topografa, zdolny, chętny, łatwy w pożyciu, wesoły, a do tego namiętny myśliwy i od dziecka marzący o wyprawach awanturniczych, chociażby nawet „na koniec świata“, jak powiadał. Już przed przyjazdem Przewalskiego sposobił się on do zawodu kollektora i podróżnika, ucząc się u Konstantego Żebrowskiego wypychania ptaków i czytając pilnie dzieła podróżnicze, odrazu też przystał na propozycję Łagowskiego i podczas dwuletniego pobytu Przewalskiego na Amurze, był jego nieocenionym pomocnikiem. Z nim też miał zamiar Przewalski odbywać i dalsze swoje podróże, wziął go w tym celu ze sobą do Warszawy, gdzie się doskonalił pod okiem Taczanowskiego w zawodzie preparatora i kollektora i już był gotów do nowej ekspedycji, gdy nieszczęśliwym wypadkiem utonął, kąpiąc się w Wiśle. Z nim stracił Przewalski najlepszego przyjaciela, a zarazem najzdolniejszego pomocnika i towarzysza najwierniejszego. Zastąpił go na razie młody oficer, czy też junkier, Kazłow,

dzisiaj już generał i naczelny dowódca nowych ekspedycji do Azji centralnej, ale drugiego Jagunowa nie znalazł już Przewalski nigdy.

Łagowski po załatwieniu tak pomyślnem sprawy pomocnika dla Przewalskiego, zaopatrzył wyprawę we wszystko, co było niezbędne dla zbierania roślin, a przytem obznajomił podróżników z florą amurską, na podstawie zbiorów botanicznych towarzystwa geograficznego. W dalszym zaś ciągu śledził pilnie za biegiem wypadków pomyślnych dla ekspedycji. Wiadomości odbierane komunikował Kukielowi i głosił wszystkim w mieście sławę, podówczas jeszcze nieznanych w szerszym świecie, eksploratorów Amuru.

Dzięki względom Kukiela, uprzejmości wyrozumiałej gubernatora kraju nadmorskiego, admirała Furuhelma, a także życzliwości przyjacielskiej kolegów starszych w urzędzie: Baranowa i Tichmienjewa, późniejszych generałów i gubernatorów kraju rzeczonego, mógł Przewalski oddać się całkowicie badaniom nad fauną i florą okolic zwiedzanych.

Niemniej szczerze, jak wyprawą Przewalskiego, zajmował się Łagowski i wszystkiemi innemi wyprawami naukowemi, ekspedjowanemi wtedy z Irkucka, tak np. wyprawami Czekanowskiego, Palakow'a etc.

Dla nas osobiście, tj. dla mnie, dla Godlewskiego Wiktora i Księżopolskiego Władysława wyrobił, za pośrednictwem p. Ryszarda Maacka, podówczas wielce wpływowej osobistości w Irkucku, ministra oświaty wschodniej Syberji, jak go nazywano — niezmiernie tru-

dne do uzyskania pozwolenie na pobyt w Kułtuku nad Bajkałem. Trudność w dostaniu się do Kułtuka dla zesłanych, polegała na tem, że miejscowość rzeczona leży na drodze do Tunki, w niedalekiej od niej odległości; zaś do Tunki byli zwiezieni i tam internowani księża katoliccy zesłani. Ci znowu uznani byli przez władze petersburskie za najzawziętszych wrogów państwa i za najniebezpieczniejszych ludzi z pomiędzy wygnańców. Wszelkie więc możebne z nimi stosunki były surowo wzbronione, a chcąc uniemożliwić internowanym znoszenia się ze światem, postanowiły władze miejscowe niedopuszczać nikogo z Polaków do bliskich okolic Tunki. Widząc takie przeszkody, byliśmy już zdecydowani wyruszyć na północ do Gołoustnej, a nawet jeszcze dalej, do Goremyki, gdy ostatecznie udało się Łagowskiemu pokonać wszystkie zapory i uzyskać to, tak ważne dla nas pozwolenie, co świadczy znowu o tem, jak Łagowski umiał brać się do rzeczy i jaką posiadał wziętość u władz miejscowych.

Na pamiątkę serdecznych stosunków naszych ze śp. Józefem, nazwaliśmy w cześć jego jeden z nowych gatunków ryb porzecza Ingody i Onona nazwą Łagowski, mianowicie Strzeblę tamtejszą: Phoxinus; a pierwszemu z kolei gatunkowi skorupiaków, wydobytych z głębi 1.300 metrów wód Bajkału, nadaliśmy miano: Gammarus (czyli Pallasea) Łagowskii.

Pomimo niezmiernie obszernej praktyki w mieście i okolicach i pomimo ciągłego załatwiania spraw i interesów obcych, któremi był literalnie zarzucany, umiał Łagowski zna-

leść czas na ekskursje i badania botaniczne. Zwiedzał okolice miasta Irkucka, doliny rzek Irkuta, Kai, Uszakówki, Zyłkiny etc., docierał do wybrzeża jeziora Bajkalskiego we wsiach Listwiennicznej i Kułtuku, urządzał wycieczki na wyżyny górskie (Chamardaban), nadto wysyłał Michasia, syna swego, w dalsze okolice, i w głąb gór Bajkalskich. Zbiory nagromadzone porządkował, determinował, pieścił się nimi, marząc o opracowaniu flory nadbajkalskiej, gdy wróci do kraju, albo gdy Michaś zastąpić już go potrafi w praktyce chirurgicznej.

Stanowisko, jakie zajął Łagowski w Irkucku, znaczenie jego i wziętość jako lekarza i operatora, pozwalały cieszyć się nadzieją, że będzie miał możność pokierowania dzieci wedle myśli i pragnień swoich. Ale, niestety, inaczej się stało. Już pod koniec roku 1869 zaczął zapadać na zdrowiu i odtąd szło coraz gorzej, tak, że już w roku 1870 przyszedł sam do przekonania, iż dni jego życia są policzone. Rak żołądka rozwijał się szybko, sprawiał cierpienia nieopisane i zgotował śmierć przedwczesną, w chwili, gdy życie jego było dla rodziny najbardziej potrzebne, albowiem wychowanie podrastających dzieci wymagało czujności ciągłej i dozoru kierowniczego wytężonego, ażeby módz skutecznie przeciwdziałać wpływom niepożądanym, które już w owych czasach objawiać się zaczęły, grożąc obrócić w niwecz wszystkie dotychczasowe starania, łożone z jego strony i ze strony Feliksa Zienkowicza, ażeby dzieci pomimo prawosławia, pozostały polskiemi i ażeby owa „Kocia“

z Żytomierza i jej rodzeństwo zamiast błagać niebiosa o przywrócenie wolnej ojczyzny, nie byli zmuszeni powtarzać za swymi kapłanami przekleństwa (Anatemy), ciskanego ze stopni ołtarza na wszystko, co polskie.

Gdy wyjeżdżając do Daurji latem 1870 r., przyszedłem pożegnać Łagowskiego, był on już przekonany, że do jesieni nie „dociągnie“. Uskarżał się na brak chirurga odważnego, któryby się chciał podjąć operacji nad nim, ale z drugiej strony zeznawał, że i operacja nie wróci mu zdrowia.

W dobie boleści i cierpienia najbardziej go obchodził los dzieci. Trwożnie zapytywał, co się z niemi stanie; myśl o dzieciach odbierała mu spokój i zatruwała ostatnie chwile życia. „Prawosławne one“ — powiadał — „zginą, wróciwszy do kraju, tam fanatyzm panuje taki, a jednak rady innej nie ma, wrócić muszą, bo tutaj środków do egzystencji nie mają żadnych“. Przewidywania śp. Józefa ziściły się w całości. Dzieci Łagowskiego stracone zostały dla społeczeństwa naszego. Syn najstarszy, wychowując się w środowisku wrogiem nawet dla imienia polskiego, w zakładzie Gałagana, skończył uniwersytet w Kijowie i odstąpił od dążności i przekonań ojca swojego. Niedługo wszakże cieszył się życiem. Będąc asystentem przy klinice uniwersyteckiej w Kijowie, zmarł tam na tyfus. Córki Łagowskiego wyszły za mąż za prawosławnych Rosjan, syn średni zakończył dni swoje samobójstwem. Wszystko w życiu rodziny Łagowskiego byłoby się inaczej ułożyło, gdyby go śmierć nie wydarła przedwcześnie, gdyby rodzina sama

nie była rzucona w wir namiętności religijnych, narodowych i społecznych.

O śmierci Łagowskiego odebraliśmy wiadomość, bawiąc nad Arguniem. Mieszkańcy Irkucka oddali hołd należny pamięci zmarłego i stale zdobili, a może i teraz jeszcze zdobią mogiłę jego kwiatami. Tyle też o nim pozostało w pamięci społeczeństwa wschodniej Syberji.

Na zakończenie niniejszego zarysu o działalności ś. p. Józefa Łagowskiego, przytoczyć jeszcze muszę kilka szczegółów, odnoszących się do zielnika roślin nadbalkajskich, będących obecnie własnością gabinetu botanicznego Uniwersytetu we Lwowie. Szczegóły, o których mowa, czerpię przeważnie z prac ś. p. Kazimierza Łapczyńskiego, mianowicie: z artykułu jego, umieszczonego we Wszechświecie, noszącego tytuł „Wiadomość o zielniku nadbajkalskim Józefa Łagowskiego 1886, str. 359 i 374", i z obszerniejszego opracowania tego samego tematu w Pamiętniku fizyograficznym T. VI. 1886, str. 219 pod tytułem: „Wspólne stosunki roślin jawno-kwiatowych nasze i nadbajkalskie".

Zielnik Łagowskiego obejmuje 992 gatunków i odmian roślin jawnokwiatowych, dokładnie oznaczonych przez ś. p. Józefa, nadto zawiera 500 gatunków i odmian nieokreślonych. Wszystkich tedy N. N. razem wziętych mamy 1492. Stanowisk, na których były zbierane rośliny zielnika, naliczył K. Ł. 107. Najczęściej okazy gatunków, w zielniku zawartych, pochodzą z kilku miejscowości, a nie rzadko z każdego stanowiska bywa po kilkanaście okazów. Ogólnie biorąc, egzemplarzy jest bardzo dużo.

8

„Wszystkie rośliny“, powiada K. Ł. „są wybornie suszone“ i jak dotąd poniosły nie zbyt wielkie szkody od owadów i pajęczaków molikowatych, niszczących zwykle zbiory wszelakie.“

Roślin uważanych przez Łagowskiego za nowe gatunki jest pięć, ponazywał on je, ale dokładnych opisów nie podał, tylko przy każdym z nich umieścił krótką notatkę łacińską, ręką własną kreśloną, wskazującą czem się nowy gatunek różni od najbliższych. Nazwy tych gatunków są następujące: *Dontostomum acaulis* Łag., *Stellaria Dybowski* i Łag., *Stellaria Zieńkowiczii*, *Crepis Trautvetterii* Łag. i *Mulgedium Ussolense* Łag.

Form takich, jakie Łagowski uważa za nowe odmiany gatunków znanych, w zielniku jest kilkadziesiąt, niekiedy podaje nazwę dla danej odmiany, innym razem wskazuje tylko w krótkich wyrazach cechy znamienne, ale najczęściej po nazwie gatunkowej pisze wprost „varietas“, bez żadnych uwag. Ile nowych gatunków lub odmian znajdzie się pomiędzy roślinami niedeterminowanemi, których ilość całkowita wynosi 500, o tem dopiero dowiemy się w przyszłości, mianowicie od tego, co nad zielnikiem Łagowskiego zabierze się do pracy, wprawdzie bardzo wdzięcznej, powiada K. Ł., ale wymagającej niezbędnie dobrze zaopatrzonej bibljoteki botanicznej, a do tego zielników roślin azjatyckich. W Warszawie „przy jej ubóstwie środków naukowych“, praca taka była dla Łapczyńskiego niemożliwą, to też nie było nadziei, aby ktokolwiek mógł tam dokończyć — „co śmierć uzupełnić nie pozwoliła Łagowskiemu“.

Czy Lwów będzie miejscem szczęśliwszem pod tym względem? czy zielnik Łagowskiego doczeka się opracowania należytego? trudno dzisiaj powiedzieć, wszelako mogę się obecnie podzielić wiadomością pomyślną, że jeden z naszych botaników przyrzekł zająć się zbiorami Łagowskiego i obiecał opracować florę okolic Irkucka.

Myśl, że pomiędzy roślinami nieoznaczonemi w zbiorze Łagowskiego, dużo być musi nowych rzeczy, nasuwa się sama przez się, powiada K. Ł., szczególniej po zapoznaniu się z florą Turczaninowa *(Flora baicalensidahurica seu descriptio plantarum in regionibus cis et transbaicale usibus atque in Dahuria sponte nascentium. Auctore Nicolao Turczaninow. Mosquae 1856 Vol. III.)* i po rozpatrzeniu się w stanowiskach zanotowanych w zielniku Łagowskiego.

Od roku 1886, w którym kreślił ś. p. Kazimierz Łapczyński swoje uwagi nad zielnikiem Łagowskiego, kawał czasu upłynął. W dobie ostatniej wielu eksploratorów florystów pracowało kolejno na terenie badań ś. p. Józefa, więc może część nowych gatunków i odmian przez niego zebranych, dotąd już opisaną została. Ale nie ta strona zielnika rzeczonego stanowi jego wartość wysoką, ta ostatnia polega na tem głównie, że jest zdeterminowany przez znawcę pierwszorzędnego i najskrupulatniej porównany ze zbiorami Turczaninowa, deponowanymi w gabinecie towarzystwa geograficznego w Irkucku, stąd też wszystkie oznaczenia roślin Łagowskiego, jak słusznie to podnosi K. Ł., trzeba uważać za niewątpliwe, tak, że we wszelkich kwestjach spornych słu-

żyć może jako źródło wiadomości najautentyczniejszych, dotyczących flory nadbajkalskiej. Tem większej atoli ów zielnik nabiera wartości w obecnej chwili, że w czasie wielkiego pożaru Irkucka w r. 1879 zgorzało muzeum towarzystwa geograficznego wraz ze zbiorami Turczaninowa.

Ze względu na ważność zielnika, starałem się najusilniej o to, ażeby zbiory ś. p. Józefa dostały się do naszych gabinetów botanicznych, tego celu dopiąłem nareszcie i prof. Ciesielski nabył cały zielnik za sumę 250 zł. r.*) dla muzeum botanicznego we Lwowie. Pomieszczono go w szafach ochronnych, zabezpieczonych od zniszczenia, a w sali muzealnej zawieszono portret Łagowskiego większych rozmiarów, wykonany z fotografji, zdjętej w Irkucku w r. 1869. Przypominać on będzie przyszłym pokoleniom botaników — tego energicznego, wytrwałego, zamiłowanego w swoim zawodzie i niezmordowanego pracownika.

Aleksander Czekanowski.

Aleksander Czekanowski urodził się w Krzemieńcu, prawdopodobnie po roku 1830**) pomię-

*) Sumę otrzymaną (200 r. sr.) odesłałem wdowie po ś. p. Józefie.

**) Pewniejszej nad tę datę, podać nie można. Według świadectwa Mikołaja Hartunga, przyjaciela i towarzysza Aleksandra na Syberji, miał się on urodzić w roku 1830; od innych znowu słyszałem, że przyszedł na świat dopiero w r. 1833.

dzy 1830 a 1833), z ojca Laurentego, czyli Wawrzyńca*), rodem z Galicji wschodniej, i z matki pochodzenia francuskiego. **)



ALEKSANDER CZEKANOWSKI.

Podług fotografji, zdjętej w Kijowie r. 1863.

Ojciec Aleksandra miał w Krzemieńcu pensjonat, w nim kształcił się książę Stefan Lubo-

*) O ile sobie dzisiaj przypominam opowiadania księcia Stefana Lubomirskiego, to ojciec Aleksandra pisał się Laurentym, a nie Wawrzyńcem. W Syberji zwano Aleksandra „Pa batiuszkie", „Ławrentjewiczem". Od niego samego nie słyszałem nigdy imienia ojca.

**) Nazwisko matki Aleksandra podał mi książę Stefan Lubomirski, ale dzisiaj nie mogę stanowczo za-

mirski, który pamiętał dobrze owe czasy i komunikował mi wiele szczegółów, dotyczących ojca i matki Aleksandra, z tych szczegółów, ważniejsze powtarzam poniżej:

Naczelnik poczt w Krzemieńcu, imiennik, lecz nie krewny ojca Aleksandra, umierając bezdzietnie, zapisał całą swoją fortunę Laurentemu Czekanowskiemu, bawiącemu podówczas we wschodniej Galicji, a ten, dopiero po oddziedziczeniu spadku rzeczonego, przeniósł się do Krzemieńca, naturalizował się tutaj i założył pensjonat męski, dla dzieci szlachty okolicznej, — dla szlachty, powiadam wyraźnie, bo w zabranym kraju w owe czasy pozwalano wyjątkowo tylko włościanom i mieszczanom oddawać dzieci swoje do gimnazjum, lub do zakładów prywatnych.

W pensjonacie, sam Laurenty Czekanowski wykładał język niemiecki, którym władać miał po mistrzowsku, gdy innych przedmiotów uczyli profesorowie z liceum krzemienieckiego; w ogóle szkoła Czekanowskiego była wzorową i służyła jako przygotowawczy zakład dla kandydatów, mających zamiar wstąpić do liceum krzemienieckiego. Po zwinięciu atoli, przez rząd rosyjski wyższej szkoły w Krzemieńcu, pensjonat Czekanowskiego funkcjonował jeszcze czas pewien, jako zakład samoistny. *)

---

pewnic, czy to nazwisko dokładnie zapamiętałem, to też przytaczam je tutaj ze znakiem zapytania: „Giustyn“?

*) Z relacją powyższą nie zgadzają się szczegóły niektóre, podane przez Marjana Dubieckiego w życiorysie Aleksandra. (Tygodnik illustrowany T. III., Serja III. 1877 N.N. 59 i 60). Szczegóły rzeczone wypisuję dosłownie, nie mogąc na razie rozstrzygnąć, po której

Osiadłszy na stałe w granicach państwa rossyjskiego, Laurenty Czekanowski ożenił się z Polką, noszącą jednak, jak wyżej powiedziano, nazwisko francuskie. Matka Aleksandra była zdrowia wątłego, chorowała często, umarła wcześnie i osierociła syna w wieku, gdy ten potrzebował jeszcze opieki matczynej, to też wpływu na wychowanie Aleksandra nie mogła mieć żadnego, kierował niem ojciec, czasami jego przyjaciel, prof. Besser.

Według opowiadania ks. S. L. ojciec Aleksandra był to pedagog zamiłowany w swoim zawodzie, zwolennik wychowania klassycznego i rygoru szkolnego. Będąc jednak ludzkim, sprawiedliwym, a do tego znając dobrze naturę człowieka, nie dowierzał jej i chcąc uprzedzić smutne wypadki, w rodzaju tych, jakie się trafiają nawet i w obecnej dobie, szczególnie często w państwie „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów“ — obmyślił i wykonał maszynę dyscyplinarną, gdzie ręka karzącego pedagoga zastąpiona była przez przyrząd bijący, gdyż ten, według zdania Laurentego Czekanowskiego, dawał większą rękojmię, że nie skaleczy, nie zabije, a nawet nie zbezcześci oblicza osobników karanych, niż tego oczekiwać było można od rozzłoszczonych fanatyków lub szowinistów pedagogów. Maszyna wynalazcy, jak powiadał ks. S. L. była dowcipnie pomyślana i miała

---

stronie jest słuszność: „Zaledwie wyszedłszy z lat niemowlęcych“, powiada M. D. „Młody Czekanowski pożegnał na zawsze pełną uroku krzemieniecką dolinę i udał się w roku 1834 z rodzicami do Kijowa, gdzie po zwinięciu liceum, zakładano nowy uniwersytet“. (l. c. str. 104).

to doniosłe znaczenie dla pedagogji, że powierzając czynność katowską przyrządowi mechanicznemu, zwalniała tem samem nauczycieli, inspektorów i dyrektorów od smutnego a niecnego obowiązku maszyn karzących.

Myśl uszlachetniania adeptów zawodu pedagogicznego, zajmowała ciągle umysł ojca Aleksandra, nosił się on nawet z projektem urządzenia maszyny, którąby wyręczała nauczycieli przy łajaniu i wymyślaniu, przyczem te ostatnie odbywać się miały w języku klasycznym, którym przemawiali bogowie parnasu rzymskiego. Wogóle mówiąc, Laurenty Czekanowski był pedagogiem pomysłowym, o dążnościach szlachetnych i moralnych, szczerze oddany zawodowi swojemu, marzący o tem, ażeby nauka stała się przyjemnością dla młodzieży, a nie męczarnią, jaką była wówczas.

Jako polityk ojciec Aleksandra był gorącym patrjotą austryjackim i święcił skrupulatnie uroczystości dworskie domu Habsburgów. W dnie takie solenne zapraszał do siebie członków kolonji niemieckiej w Krzemieńcu, wznosił toasty na cześć panującego podówczas monarchy w Austrji, spokrewnionego, jak utrzymywał z domem Jagiellonów i wygłaszał przy tej okazji mowy piękne i krasomówcze w języku niemieckim.

Aleksander wychowując się wśród warunków rzeczonych, odniósł tę korzyść mianowicie, że się w domu nauczył gruntownie języka niemieckiego, władał nim w piśmie i w mowie z całą swobodą człowieka, mówiącego tym językiem od dziecka, zadziwiał zaś zwykle wszystkich potoczystością mowy Germanów i nawet

pewnego rodzaju stylem krasomówczym. Tych faktów nie umiano sobie w Dorpacie inaczej objaśnić, jak stawiac hipotezę, niczem zgoła nie uzasadnioną, że matka Aleksandra musiała być niemką, skoro nazwisko jego własne nie pozwalało podejrzewać pochodzenia niemieckiego ze strony ojca.

Laurentego Czekanowskiego łączyły węzły głębokiej, przyjacielskiej zażyłości z prof. liceum krzemienieckiego, a później prof. w Kijowie, Wilibaldem Besserem, znanym botanikiem i entomologiem. Besser był ojcem chrzestnym Aleksandra, lubił go jak własne dziecko i umiał przelać w duszę swego pupila w Kijowie, całą głębię zamiłowania do nauk przyrodniczych. Że często z nim obcował, że go zaprawiał od dziecka do pracy kollektorskiej, że go nauczył nomenklatury botanicznej i zoologicznej, o tem wspominał Aleksander często, a szczególniej wtedy, gdyśmy podziwiali biegłość jego w nazywaniu roślin i owadów: nieraz recytował całe djagnozy Linneuszowskie z taką precyzją, jak gdyby czytał z książki, a to nietylko w zakresie botaniki. lecz i całej zoologji. Odnośnie do umiejętności kollektorskiej, Aleksander przewyższał pod tym względem znanych mi entomologów i botaników, wszystko to jednak zawdzięczał Besserowi. przyjacielowi ojca i opiekunowi swojemu.

Jak długo pozostawał Laurenty Czekanowski w Krzemieńcu, po zwinięciu liceum, tego dowiedzieć się nie mogłem, to tylko pewna, że nie przeniósł się do Kijowa, lecz wziąwszy w dzierżawę folwark, osiadł na wsi. Syna swego oddał do szkół w Kijowie, gdzie pozostawał

pod opieką Besser'a. Aleksander skończywszy szkoły, wstąpił do uniwersytetu i zapisał się na wydział medyczny. Nie mając jednak do sztuki lekarskiej żadnego zamiłowania, mało się zajmował studjami medycznemi, lecz ciągle i stale pracował w dziedzinie nauk przyrodniczych; był on ulubieńcem trzech naraz profesorów, wykładających w Uniwersytecie kijowskim, mianowicie Karola Kesslera, Fieofiłaktowa i Rogowicza, czyli prof. zoologji, botaniki i geologji. Przedmiotami tych trzech gałęzi historji naturalnej zajmował się równorzędnie, z jednakiem zamiłowaniem i gorliwością; uczęszczał na wykłady, odbywał wycieczki botaniczne i geologiczne, przesiadywał po całych dniach w gabinetach, determinował, porządkował, dopełniał kollekcje i był goraczkowo czynnym przez cały czas swoich studjów w Kijowie.

Aleksander miał powierzchowność ujmującą, przy niezmiernie grzecznem i dystyngowanem obejściu się z ludźmi. Twarz jego była wyrazista, ożywiona, a gdy przemawiał podczas odczytów, przykuwał wprost uwagę słuchaczy wyrazem niezwykłym swej fizjognomji, zdradzającej głębokie przejęcie się traktowanym przedmiotem. Głowę miał stosunkowo dużą, krótką, czoło wysokie, policzki mało wystające, podbródek zaokrąglony z bardzo wyraźnym dołkiem „wdziękowym“, bródkowym, nos prosty, mierny, nieco zgrubiały na końcu, usta pełne. Oczy niebieskie, żywe i bystre. Wzrok jego był doskonały. Włosy na głowie gęste, ciemno-szatynowe i światlejszy od nich obfity zarost na twarzy, zwykle starannie pielęgnowany, były w stałej harmonji z całą jego

postawą, męską, energiczną, sprawiającą dodatnie wrażenie na widzach.

Łączył on w sobie wszystkie zalety i przymioty dobrego naturalisty, był niezmiernie żywego temperamentu, zahartowany od dziecka do wycieczek długich i dalekich, nawykły do obserwacji, obdarzony pamięcią fenomenalną i rzadkim darem orjentowania się wśród okolic, po raz pierwszy zwiedzanych.

Takim go poznałem, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali w Dorpacie, dokąd przyjechał na studja geologji, po ukończeniu kursów medycyny w uniwersytecie św. Włodzimierza.

W koleżeńskiem pożyciu w Kijowie był towarzyski i lubiał od czasu do czasu „pohulać“ z kolegami, często po cało-miesięcznej ciężkiej i usilnej pracy, rzucał na raz wszystkie zajęcia, zamykał zbiory i kollekcje na klucz i oddawał się „hulance“ z tym gorączkowym porywem, jaki charakteryzował całą jego istotę. W Kijowie żył w bliższych, koleżeńskich stosunkach z Marjanem Dubieckim, Władysławem Kozłowskim, Zygmuntem i Grzegorzem Kaczkowskimi, z Konstantym Jelskim, Janem Wańkowiczem, Kamińskim, Konstantym Malewskim, Mikołajem Hartungiem etc. Udziału w sporach i debatach politycznych i socjalnych brać nie lubił, natomiast żywo go obchodziły w owych czasach nowe prądy, wytworzone w dziedzinie wiedzy przyrodniczej, stanął zaraz po ich stronie i był wymownym szermierzem, walczącym przeciwko tym, którzy te nowe przebłyski prawdy pragnęli pogrzebać co najprędzej, a to nie z innej racji, jak tylko z obawy przed koniecznością samodzielnego myślenia.

Słabe oddźwięki teorji, które w kilka lat później miały wywołać stanowczy, a tak ożywczy przewrót w poglądach ogółu przyrodników na najważniejsze zagadnienia, dotyczące historji naturalnej i z nią nierozłącznie związanych dziedzin wiedzy ludzkiej, teorje, które dzisiaj stanowią bezsprzecznie, wobec trybunału zdrowej i swobodnej myśli, najbardziej pożyteczny, a zarazem najwspanialszy dorobek umysłowy wieku niniejszego, dobiegającego do swego kresu, a które nakoniec rozświetliły ciemnie dotychczasowe i wskazały drogę jasną i pewną, prowadzącą ludzkość ku prawdzie — pojawiły się już były wtedy na horyzoncie umysłowym w Dorpacie, gdy Czekanowski przybył do tych „Aten nad Embachem“, do tego raju Estońskiego, gdzie według mitologji Czuchońskiej mieli być stworzeni prarodzice ludów europejskich.

Pierwszy, który przemawiał z katedry w Dorpacie, w duchu nowych idei, był prof. Herman Asmuss.*) Zwolennik teorji Lamarck'a, nadał on jej formę własnego pomysłu i wygłaszał na wykładach, traktujących o historji nauk przyrodniczych. Władze uniwersyteckie i minister-

*) Prof. Asmuss był to człowiek przekonań niezłomnych, idealnej prawości charakteru, zahartowanego wśród niepowodzeń, gorący patrjota estoński i szermierz o wolność ludów i ludu. Kroczył on dumnie przez całe swe życie, nigdy nie ugiął hardej głowy przed bóstwem zysków i karjery. Dowcipny, ironiczny, mówny występował zawsze śmiało przeciwko obskurantom, fanatykom, szowinistom baltyckim, których moc wielka roiła się wtedy wśród małego świata Dorpatu, noszącego na sobie cechy klerykalizmu protestanckiego, występującego w najbardziej obmierzłej formie bigoterji

jalne zsunęły Asmussa w owe czasy na poziom docenta etatowego (Etatmassiger Privat-docent), pomimo jego tytułu „radcy stanu“ (Statsrath); ale i z tego miejsca umiał wywierać wpływ swój na młodzież, kształcącą się w zakresie historji naturalnej.



ALEKSANDER CZEKANOWSKI.
Z fotografii, zdjętej w Irkucku 1870 r.

Obok Asmuss'a wykładał zoologję Prof. zwyczajny Edward Grube, zaś geologję Prof. Grewingh, botanikę Prof. Bunge, chemję

obłudnej, albo bezmyślnej, a nadto symulującego lojalność serwilistyczną do władzy, dla celów dogodzenia egoistycznym dążnościom swoim. Asmuss był biczem

Prof. K. Schmidt, fizjologję Prof. Bidder, fizykę Prof. Kamtz, astronomję Prof. Madler, anatomję Prof. Ernest Reissner etc. Prawie z całym, dopiero wymienionem gronem prof. uniwersytetu dorpackiego, poznał się bliżej i zaprzyjaźnił Czekanowski, albowiem należeli oni do koła naturalistów, w skład którego wchodzili uczniowie, zajmujący się historją naturalną.

Na zebraniach towarzyskich koła, mających charakter pogadanek naukowych, miewał Aleksander odczyty: dwa z nich wraziły mi

---

Bożym, smagającym długopołych obłudników, jak ich nazywał i filozofów „a la Strimpel“, ale nie szczędził przytem głów, zdobnych w mitry i piersi obwieszonych gwiazdkami. Siebie samego określił za pomocą szarady następującej:

Mein Erstes macht den Konig todt,
Mein Zweites ist des Bauers Noth,
Mein Ganzes lebt in Kummer fort.

Pomimo nędzy materjalnej, jaką znosić musiał Asmuss w Dorpacie, nie przyjął jednak wezwania na Prof. do Moskwy. Na zaproszenie odpowiedział lakonicznie, że woli ginąć fizycznie w Dorpacie, niż moralnie w stolicy państwa. Miał własny słownik wyrazów dla oddania swoich myśli wobec profanów, wyrazy te były zrozumiałe tylko dla stałych słuchaczów. Inni, nie wtajemniczeni, nie pojmowali zgoła tego co wypowiadał, stąd też kurator v. Bradke, który przychodził na wykłady profesorów znienacka, w celu kontroli nad ich prawomyślnością, nie rozumiał Asmuss'a i odchodził niezadowolony, że go ująć nie mógł i nie potrafił, a on tymczasem wobec audytorjum chłostał szpiegującego w najbardziej ironiczny i dosadny sposób. Gdy rząd wydalił z Dorpatu kilku wielce lubianych profesorów (Osenbrügen a, Senf'a etc.), za ich wolnomyślne tendencje, wtedy Asmuss ogłosił wykłady pod tytułem: „Ueber die jagdbare Thiere in Russland“ i rozpoczął je

się głęboko w pamięć, były to monografje bardzo starannie opracowane: o skałach krystalicznych Wołynia i o otwornicach podolskich. Prof. Grube, obecny na zebraniach, radził Czekanowskiemu, ażeby te wypracowania ogłosił drukiem, przyrzekł on to uczynić, ale o ile wiem, przyrzeczenia nie mógł wykonać, z po-

temi słowy: „In Russland werden Haasen, Füchse, Bären, Wölfe und Professoren gejagt“, za te słowa wstępne zabroniono mu dalszych wykładów o zwierzynie, na którą się poluje w Rossji. Gdy znowu innym razem ogłosił wykłady „Ueber Thierseele“ zjawili się na pierwszą zaraz lekcję gremjalnie wszyscy duszpasterze, wraz z kuratorem Kraftströmem na czele, ale już po pierwszej lekcji przerwano dalsze wykłady. Nic nie pomogły protesty Asmussa, w których dowodził, że pismo święte najwyraźniej zaznacza wysoką inteligencję u bydła, bo przecież osły i woły w Betleemie pierwsze uznały dziedziątko tam urodzone za syna Bożego, gdy ludzie, zatwardziali w grzechu, uczynić tego nie chcieli i nie potrafili. Odwoływał się następnie do oślicy Balaama, która rozsądniej przemawiała językiem ludzkim, niż to czynić może wiele istot człowieczych. Pomimo to wszystko nie zdołał jednak Asmuss przekonać wyrokujących o szkodliwości wykładów, dotyczących duszy zwierzęcej. Wykreślono je na zawsze z programu, a dozwolono tylko „privatissime“ traktować o tym przedmiocie. Na sekatury i prześladowania, których nie szczędzono Asmussowi, miał on jedną broń — ironję, lecz też jej używał z powodzeniem, tak np. dla sławnego kuratora dorpackiego uniwersytetu, Kraftströma, który z „Tambur-mażora“ dzięki swemu olbrzymiemu wzrostowi i męzkiemu „virtus“ został zaszczycony tytułem generała od kawalerji i artylerji i mianowany kuratorem uniwersyteckim, gdy ten sobie kazał wznieść mauzoleum wspaniałe na cmentarzu w Dorpacie — napisał Asmuss epitafję krótką „I h m g u t u n d u n s b e s s e r“.

Przyjaciołom swoim i uczniom, gdy ci go żegnali, wyjeżdżając z Dorpatu, dawał zwykle upominki ze skamielin sylurycznych, lub dewonicznych, dodając do tego czasami wierszyk na prędce skreślony. Jedną z ta-

wodu, że losy nim samym inaczej pokierowały, aniżeli się spodziewał.

Podczas prawie dwuletniego pobytu w Dorpacie, Aleksander poświęcał cały swój czas pracom naukowym, przesiadywał niezmiernie pilnie w gabinecie mineralogicznym, i był jako pracownik, wysoko ceniony, przez Prof. Grewingh'a. Z Frydrykiem Schmidtem odbywał wycieczki geologiczne; badali oni pokłady syluryczne i zebrali nader obfite kollekcje skamielin, szczególniej z działu Trójliczek (Trilobitae), które posłużyły następnie Nieszkowskiemu Janowi do jego monografji o skorupiakach syluryjskich.

Z młodą generacją naturalistów dorpackich łączyły Czekanowskiego szczere, przyjacielskie węzły koleżeństwa, które przetrwały rozłąkę

kich improwizacji pożegnalnych przypominam sobie, zdaje mi się, że brzmi ona jak następuje:

Und werd ich einst auch todt und ganz begraben [sein,
So denke nur mein Herz in diesen Stein hinein,
Regt sich in dir, nach Jahren noch, der Freund- [schaft süsses Wort,
Dann sage dreist: „sein liebend Herz lebt im Steine fort".

Pamięć o tym szlachetnym i prawym człowieku zapadała głęboko w serca jego uczniów i przyjaciół i po latach wielu, gdyśmy się z kolegami spotykali w różnych świata stronach i wspomnieniem zabiegali w czasy studjów w Dorpacie, pierwszą postacią świetlaną, wynurzającą się z cieni przeszłości, była zawsze postać Asmussa. Nieraz z Czekanowskim, podczas naszego pobytu na Syberji, odświeżaliśmy w pamięci szczegóły z życia jego i zawsze z jednakim pjetyzmem mówiliśmy o nim.

i towarzyszyły mu przez ciąg jego żywota całego. Tych przyjaciół Aleksandra był cały zastęp w Dorpacie, z nich wymienię tylko następujących:

Fryderyk Schmidt. Podówczas był docentem w Dorpacie. Botanik, geolog, paleontolog i podróżnik po Syberji i Amurze, dzisiaj akademik w Petersburgu, najszczerszy przyjaciel Czekanowskiego.

Aleksander Strauch. Dr. medycyny, herpetolog, akademik, dyrektor zbiorów zoologicznych w Akademji petersburskiej, zmarł przed kilkoma laty.

Ferdynand Morawitz. Hymenopterolog, akademik, kustosz działu entomologicznego w akademji petersburgskiej, zmarł niedawno.

Edward v. Wahl. Zoolog, Dr. medycyny, Prof. chirurgji i operator w Dorpacie.

Gustaw Flor Zoolog, hemipterolog, Dr. medycyny, Prof. zoologji w Dorpacie, objął katedrę po śmierci Prof. Asmussa, umarł w Dorpacie.

Jan Nieszkowski. Urodzony w Królestwie kongresowem, przeniósł się z rodziną na Litwę, wychowywał się w gimnazjum słuckiem, ukończył uniwersytet w Dorpacie, kształcił się na zoologa i medyka. Dwie prace jego, dokonane w Dorpacie, zjednały mu rozgłos zasłużony, opracował on monografię Trilobitów Liflandskich i wydał monografję „Olbrzymio-raka“, Eurypterus ramipes. Dek. pochodzącego z formacji sylurycznej. Praktykował jakiś czas w Bobrujsku, wywieziony do Orenburga bez żadnego sądu, przebywał tam w towarzystwie Tadeusza Korzona, najsławniejszego dzisiaj,

a w obecnej chwili najzasłużeńszego historyka naszego. Zmarł tam na tyfus. Był to człowiek zdolności niepospolitych, ujmującej powierzchowności, rokujący wielkie nadzieje.

Gustaw Rupniewski. Bardzo zdolny człowiek. Magister geologji w Dorpacie, nauczyciel geografji w gimnazjum kijowskiem. Wywieziony został do Rosji i tam życie zakończył.

Stanisław Wirion. Z grodzieńskiego. Zoolog, entomolog; pochodził z rodziny, której protoplastą był murzyn. Krew afrykańska, połączona z krwią europejską, wydaje, jak tego mamy przykład na Puszkinie, zdolnych i utalentowanych ludzi. Z faktu rzeczonego, jak i z wielu innych, do niego podobnych, wyciągnąć musimy wniosek, że każde plemię, każda narodowość, powinna być jak najżyczliwiej i najpieczołowiciej traktowana, wszystkie one w pochodzie ludzkości ku ideałom, obecnie już uświadomionym, mają prawo i obowiązek do życia samodzielnego. Każde więc pogwałcenie praw narodowościowych i plemiennych — jest zbrodnią.

Tałtyrzewski Władysław. Medyk, chemik, matematyk, astronom, człowiek niepospolitych przymiotów umysłowych. Przybył do Dorpatu z uniwersytetu, jeżeli się nie mylę, moskiewskiego. Urządził na poddaszu, obok swego mieszkania, obserwatorjum astronomiczne, bardzo prymitywne, ale wielce pomysłowe, tam wspólnie z Czekanowskim uczyli nas poznawać gwiazdozbiory na niebie i wykładali tutaj dla ciaśniejszego kółka naturalistów astronomję. Poezją niezrównaną tchnęły te odczyty wieczorne, wygłaszane pociemku na poddaszu

domu, zwanego w Dorpacie „Fryczarnią“. Późniejsze lata złamały umysł Władysława, przeniósł się do Warszawy, służył w biurze obrachunkowem, odstrychnął się całkowicie od towarzystwa ludzi i kolegów, zamknął się w sobie, żył w nędzy i zmarł z wycieńczenia.

Zygmunt Kaczkowski. Syn sławnego doktora Karola. Medyk, przeniósł się z Kijowa do Dorpatu wraz z Czekanowskim i bratem swoim stryjecznym Grzegorzem. Żył w najściślejszych stosunkach z Aleksandrem, umarł w roku 1863 w Warszawie, po długiej, ciężkiej, nieuleczalnej chorobie.

Ukończywszy studja geologiczne w Dorpacie, Aleksander Czekanowski zamierzał, po wakacjach letnich 1857 r., przystąpić do egzaminu na kandydata geologji i mineralogji. Wyjechał na Wołyń, w celu dopełnienia obserwacji swoich nad skałami krystalicznemi i opracowania rozprawy, wymaganej przy egzaminie; nadto prosił go Zygmunt Kaczkowski o załatwienie jakiejś sprawy pojedynkowej w jego imieniu. W tym to czasie zaszły wypadki, bliżej nam nie znane, które spowodowały przełom w trybie i warunkach życia Aleksandra.

W roku 1863, gdym go spotkał w Kijowie, dowiedziałem się od niego samego tylko tyle, że brak funduszów stał głównie na przeszkodzie powrotowi do Dorpatu. Musiał pracą ciężką zarabiać odtąd na utrzymanie. Zajął posadę w zarządzie prywatnym budowy telegrafów, nauczył się gruntownie języka angielskiego i miał zamiar przeniesienia się do posiadłości angielskich w Indjach wschodnich. Wypadki najbliższe położyły jednak tamę wszelkim projektom.

Aresztowany, więziony był w Kijowie, a gdy ucieczka z fortecy przez podkop, wykonany w cytadeli kijowskiej, się nie udała, (tym podkopem tylko Jurjewicz jeden, o ile wiem, zdołał dostać się na swobodę), zasądzony został do kopalń syberyjskich.

Drogę do Tobolska odbył Aleksander pieszo w towarzystwie Mikołaja Hartunga, chemika, ucznia i asystenta prof. Fonberga; w ciągu tej drogi zebrał bogatą kollekcję owadów, przeważnie tęgopokrywowych. Jego zdrowie, prawdziwie „kamienne“, jak je nazywali koledzy, pozwoliło mu przenieść niewczasy, głód częsty i inne ciężkie warunki podróży; dopiero w Tobolsku zaczął zapadać na zdrowiu, a w drodze do Tomska zachorował na tyfus. Koledzy wieźli go chorego aż do miasta, o którem mowa, lecz tam, prawie nieprzytomnego pozostawić musieli w szpitalu. O tym smutnym wypadku dowiedzieliśmy się w więzieniu Irkuckiem. Silny jednak organizm Czekanowskiego pokonał chorobę i już w czerwcu 1865 stanął w Siwakowej nad Ingodą, gdzieśmy go oczekiwali z upragnieniem. Tu koledzy jego, uprzednio przybyli, przygotowali osobny dla niego lokalik w ziemiance, gdzie powoli, odpocząwszy po długiej chorobie i po dłuższych jeszcze podróżach, zaczął przychodzić do siebie. Wszyscyśmy jednak, cośmy znali uprzednio Aleksandra, zauważyli znaczne w nim zmiany, smutek jakiś głęboki był na jego twarzy, dawniej tak ożywionej. W gorączkowej pracy kollektorskiej, której się oddawał z zapałem w miarę możności, nie znajdował ukojenia w cierpieniach dotkliwych, nurtujących jego duszę. Gdy nas

przeniesiono do Darasunia, sądziliśmy, że pobyt w tej górskiej okolicy, wśród lepszych warunków bytu, dodatnio wpływać będzie na niego. Bawił jednak tutaj zbyt krótko, bo już przed jesienią 1866 r. kazano mu wrócić do Irkucka i z tamtąd wysłano wprost do Padunia nad Angarą. Były to chwile w jego życiu najcięższe, to też słusznie powiada Marjan Dubiecki, że śmierć głodowa zazierała często do jego smutnej lepianki pod tę dobę. Rzucony był do nędznej wioszczyny, bez wszelkich środków, w chwili, gdy nienawiść ludności ciemnej ku zesłanym polakom, podniecana i wytwarzana sztucznie przez władze — dosięgła swego zenitu. Miało to właśnie miejsce wprędce po niefortunnem powstaniu zwanem „Dokołabajkalskiem". Tubylcom wmówiono, że polacy powzięli zamiar rznąć wszystkich i palić wszystko — suggestjonowano konieczność wywzajemnienia się odpowiedniego. Obawa przed tymi, rzekomymi barbarzyńcami polakami była tak wielka wśród ludności, że nawet w miejscowościach, odległych o 500 wiorst od Bajkału tarasowano na noc wejście do domów, w oczekiwaniu na całe zastępy „dzikich ludzi", jakimi nazywano w owej chwili polaków.

Jeżeli zważymy okoliczności wyżej przytoczone, to łatwo będziemy mogli zrozumieć przyczyny, z racji których władze wioskowe przyjęły tak nieżyczliwie i niechętnie naszych zesłanych, żadnej pomocy udzielić nie chciały, odmówiły im nawet prawa na mieszkanie w izbach włościańskich, lecz natomiast odesłały do łaźni

dymnych („Czornyja bani“), gdzie zwykle zamykają trędowatych na Syberji.*)

Żyjąc w pośród warunków niepomyślnych, otoczeni ludnością, podniecaną do wrogich wystąpień przeciwko nim, zbudowali skazani nasi ziemiankę bez okien i w niej przy świetle łuczywa, lub ogniska, podsycanego drzewem, przyniesionem na własnych barkach z okolic dalekich, pędzili żywot najczęściej o głodzie, bo gdy zapracować na chleb powszedni nie mieli możności żadnej, karmić się musieli rybą, złowioną na wędkę, albo zwierzyną, upolowaną bez broni palnej, gdyż tej posiadać nie mieli prawa, a i kupić nie mieli za co. Żaden „Robinson“ z opowieści fantastycznych, rzucony na wyspę bezludną, nie znosił tak często głodu, nie cierpiał od zimna i od dzikiego zwierza, które tu niestety miały oblicze ludzkie — ile

*) Nie robimy tu wcale zarzutu ludności całej w Paduniu, bo ona była, jak i ludność w wielu innych miejscowościach Syberji, tylko narzędziem bezwiednem w rękach nikczemników, agitatorów, rekrutowanych jak wszędzie, tak i tam zwykle z najbardziej wstrętnych żywiołów społecznych, tyjących krzywdą bliźnich, oddanych pijaństwu i rozpuście, amatorów łapówek i płac gadzinowych. Dobra, ludzka, miękka ludność tubylcza w wypadkach, gdy jeszcze „nie obrusiała“, bez sztucznych podniet zewnętrznych nigdy nie była nam wrogą, owszem jej życzliwości zawdzięczać mamy wiele jasnych chwil, spędzonych na wygnaniu. Ręczę, że życie ludzi wolnomyślnych byłoby stokroć cięższe, niż w Paduniu, gdyby ich losy zagnały np. w okolice, pozostające pod wpływem „abrazcowych Haliczan“, bo raz tylko niech kto da przystęp do serca swego podszeptom fanatyzmu i szowinizmu, mających swe źródło w nizkim egoizmie, czy to osobistym, czy też plemiennym, a istota jego ludzka zamieni się niezawodnie w bydlęcą, najnikczemniejszą.

tego wszystkiego doznał Aleksander w Paduniu. A jednak nie słyszałem nigdy z ust jego wychodzącej skargi, albo wypowiadanego narzekania, tylko smutkiem jakimś głębokim powlokła się twarz jego. dawniej tak jasna i zdawała się przemawiać do nas wyrazem cierpienia tajonego, nawet i wtedy, gdy nastały lepsze czasy, że dusza zbolała tak zwanego szczęścia odczuć już nie potrafi, jego nie pragnie a nawet przenieść nie zdoła.

W Paduniu odszukał Czekanowskiego przyjaciel jego Fryderyk Schmidt, podówczas już akademik, dawny towarzysz Aleksandra z Dorpatu. Dowiedziawszy się w przejeździe przez Irkuck, od znajomych Czekanowskiego, o rozpaczliwem jego położeniu, przybył natychmiast do Padunia, pod pretekstem, że musi zbadać olbrzymie tamtejsze porohy na Angarze. Znalazł on Aleksandra, zmienionego bardzo i osłabionego fizycznie. Na razie zrobił co mógł, zakupił od niego, na rzecz zbiorów akademji w Petersburgu kollekcje entomologiczne i botaniczne, by chociaż w ten sposób módz dopomódz materjalnie, gdyż wiedział, że innego wsparcia nie przyjmie Czekanowski, nawet i od przyjaciela; następnie zostawił mu te z dzieł naukowo-geologicznych, jakie miał przy sobie po odbytej podróży na północ, dokąd był wysłany z łona Akademji, w celu uratowania resztek mammuta, znalezionego przez tubylców Ale obok tego wszystkiego co zdziałał osobiście dla Aleksandra, przemówił on jeszcze gorąco do władz miejscowych i do serc ludności, ażeby ulżyć chciano doli innych zesłanych.

Pobyt Akademika Schmidt'a w Paduniu miał skutki cudowne. Wprędce rozniosła się wieść po okolicy, że sam „Car“ z Petersburga przysłał najzaufańszego ze swych sług, „Imperatorskiego Akademika“, ażeby się naocznie przekonał na miejscu o tem, jak się powodzi Aleksandrowi, synowi Laurentego. Taka rzekoma dbałość ze strony „Cara“ o los Aleksandra otoczyć go musiała w oczach ludności niezwykłą aureolą, a rozgłos o samym wypadku wybiegł daleko po za granice wioski paduńskiej. Już w kilka lat po tem zdarzeniu, na jednej ze stacji, gdym jechał po trakcie „dokoła Bajkału“, pytał mię pisarz pocztowy „czy to prawda, że Czekanowski pochodzi z rodziny królewskiej“, bo że należy on do „znatnych wielmoż“ rzeczą jest niewątpliwą, dodał. „On nigdy, powiedział pisarz, do szklanki mu podanej przy herbacie, nie naleje essencji, jak to zwykle czynią inni, zanim serwetą własną i czystą jej nie wytrze, a przecież tego prosty człowiek nie zrobi, albo, gdy przyjedzie np. na stację, zaraz się umyje, uczesze, a nie tak jak inni, co to po kilka dni z rzędu się nie myją nawet i z „czynem generała“. Innym razem przewodnik, ulubieniec Czekanowskiego, towarzyszący nam podczas ekspedycji, przedsiębranej w celu zbadania jeziora Kossogoła i góry Munku-Sardyk, położonych w ziemi Urjanchów i Darchatów, poza granicami państwa Rossyjskiego, chcąc dogodzić skruputalnej czystości Aleksandra, nawet i w podróży, zamiast wytrzeć połą od swego ubrania miseczkę drewnianą zwaną „agaja“, jak to czynił, gdy nam, spragnionym po długim, męczącym pochodzie przez step, podawał mleko

kwaśne do picia, umyślił ją wyczyścić własnym swoim językiem, przed nalaniem mleka dla Czekanowskiego. Sądził on, że w ten sposób osiągnięty przezeń zostanie w danym wypadku szczyt możebnej czystości, godny osoby, którą tak szanował i poważał, ku wielkiemu jednak zmartwieniu „Gawryły“ (tak zwano przewodnika), Czekanowski pomimo pragnienia, podanej sobie agaji nie przyjął. Uskarżał się nam później Gawryło w Kultuku temi słowy; „Prawda, Aleksander Ławrentjewicz jest osobą „znatnego“ rodu, ale przecież i mój język nie pahany“.

Grzeczność Czekanowskiego, jakaś arystokratyczna dystynkcja, która go znamionowała, były powodem, że wszyscy Sybiracy uznawali go za istotę wyższą od zwykłych, i za „pana“, znakomitszego od reszty Polaków. Raz, gdy Aleksander przybył do nas do Kułtuka, zawiadomił mię o tym wypadku spotkany na wycieczce włościanin, mówiąc „wasz balszoj pan pryjechał“. Tę wyższość Czekanowskiego, po nad zwykłą miarę ludzi przeciętnych, odczuwali wszyscy. Wroński np., uwielbiając go, stawił jako ideał niedoścignięty dla innych, ale przytem miał lęk nieśmiałości w obec niego, często mi powiadał, że boi się go znudzić swojemi opowiadaniami, nie nazywał go nigdy po imieniu, uprzedzał wszystkie jego życzenia, każde powodzenie Aleksandra cieszyło go więcej, niż własne, a gdy się dowiedział, że wielki książe Konstanty, prezes i opiekun Towarzystwa geograficznego w Petersburgu, rozmawiał długo z Czekanowskim po jego odczycie, że go zaprosił do siebie, i że następnie Towarzystwo

geograficzne w Paryżu ofiarowało Czekanowskiemu medal złoty za jego prace geograficzne, wtedy radość Wrońskiego nie znała granic.

Pop miejscowy w Paduniu, pisarz włościański i inni dygnitarze wiejscy dopiero od daty odwiedzin Schmidt'a uczuli wielki respekt przed osobą Czekanowskiego, a szczególniej od chwili, gdy spostrzegli w rękach jego namacalne dowody domniemanej opieki carskiej w formie monety brzęczącej; żałowali oni szczerze, że już przedtem nie poznali się na tym człowieku, a jednak było to tak łatwo, powiadali, „bo choć mieszkał w nędznej ziemiance, a wszakże umywał się co dnia, jak to osobie wysokiego znaczenia przystało, przytem mył on nie tylko twarz swoją na rzece, ale ręce i szyję“; „kto kiedy z naszych“, mówił nam pop Andrzej „pomyślałby o umywaniu się przy takiej biedzie“. „Zresztą wszyscy panowie paduńscy“, dodał pop, „są to ludzie „znatni“, nie wymyślają sobie nigdy pa matuszkie, myją się codzień zimną wodą i czeszą porządnie, wtedy, gdy nasz brat, mieszkający nawet wystawnie, łaje nieprzyzwoicie, byle za co, raz na tydzień idzie do bani, „a zresztą tylko wodą z ust splunięta wilży sobie twarz co rana“. Gdyśmy pytali popa, dla czego ludność nie przyszła w pomoc „panom“, co było powodem. że z nimi tak nie po ludzku się obchodzono? odpowiedział pop naiwnie: „nam powiadano, że panowie mieli zamiar spalić Irkuck i wyrznąć wszystkich mieszkańców, dzisiaj wprawdzie przekonaliśmy się, że to kłamstwo, ale uprzednio wierzyliśmy opowiadaniom“. Za późno, niestety, dla internowanych w Paduniu nastąpiła chwila rozwagi

i opamiętania w umyśle mieszkańców, bo złe, przyczynione ich nieludzkiem obejściem się, naprawić się już nie dało.

Marjan Dubiecki, kreśląc życiorys Czekanowskiego, przyrównał Fr. Schmidta do Beatryczy Dante'go, gdyż wywiódł on Aleksandra „z otchłani niedoli“. Jabym sądził, że rola akademika petersburskiego była o wiele szlachetniejszą od roli owej niebianki, bo gdy tamta nie przyniosła żadnej ulgi udręczonym, to Schmidt potargał więzy niedoli i rozwarł szeroko bramy piekielne, ale co więcej, przemienił on sługi Lucyperowe w istoty, czujące po ludzku. Wróciwszy do Petersburga wymógł Schmidt na Akademji, że się postarano drogami ubocznemi o to, ażeby przenieść Czekanowskiego i jego towarzyszy do Irkucka i że polecono Aleksandra opiece Towarzystwa geograficznego.

Czekanowski podczas swego pobytu w Paduniu przy warunkach najniepomyślniejszych, zdołał opracować parę traktatów treści meteorologicznej. W jednym z nich wyłożył nową teorję wiatrów, w drugiej wykazał sposób robienia spostrzeżeń bez użycia instrumentów, gdy się ich niema przy sobie. Obie prace rzeczone, napisane po rosyjsku, spoczęły w aktach Akademji; komisja bowiem, której poruczono ich ocenę, orzekła, że jakkolwiek są one napisane dobrze, jakkolwiek noszą na sobie cechy wysokiego stopnia wykształcenia meteorologicznego, a szczególniej przyrodniczego, ze strony ich autora i zdradzają niepospolity talent jego obserwacyjny, lecz z powodu braku w nich materjału ściśle „instrumentalnego“, nie mogą mieć doniosłości naukowej.

Jak trudno było Schmidtowi, a zarazem Akademji w Petersburgu, pokonać złe usposobienie ministrów stolicy odnośnie do zesłanych na Syberję, a stąd płynącej nieżyczliwości władz Irkuckich, może służyć przykład następujący:

W chwili, gdy Czekanowskiego przeniesiono z Padunia do Irkucka, wysyłano stamtąd ekspedycję na daleką północ, do krainy Czukczów pod kierownictwem barona Karola v. Maydell'a i przy asystencji astronoma Karola Neumann'a, obu dawnych kolegów Aleksandra z Dorpatu. Ekspedycja rzeczona miała za cel główny przyjęcie w poddaństwo „cara“ Czukczów „Erina“, wraz z całym jego ludem, ale obok tego jednak były jeszcze i poboczne zadania, wielce doniosłego znaczenia, mianowicie robienie obserwacji astronomicznych, magnetycznych, meteorologicznych i geologicznych, a zarazem postanowiono zbierać kollekcje geologiczne, zoologiczne i botaniczne. Otóż Akademja petersburska, wobec tak ważnych zadań ekspedycji, poleciła ze swej strony na geologa, botanika i zoologa Aleksandra Czekanowskiego, jako jedynego podówczas człowieka, który takim wszechstronnym obowiązkom sprostać byłby potrafił. Pomimo najpochlebniejszego świadectwa ze strony Akademji, pomimo oświadczenia barona Maydell'a, że ręczy za Czekanowskiego swoją osobą, minister jednak odmówił sankcji, a z tej racji generał-gubernator nie pozwolił Aleksandrowi jechać na północ. Wolał tedy pan minister, ażeby wyprawa, tak kosztowna, nie dała żadnych rezultatów naukowych, aniżeli zmienić w czem-

kolwiekbądź raz powzięte postanowienia odnośnie do zesłanych na Syberję.

W chęci umotywowania ucisku ówczesnego, powoływano się ciągle na wolę monarszą, mocą której wyszły i rozporządzenia najrozmaitsze, a pomiędzy innemi zakaz przebywania Polakom na Amurze, na Ussuri, albo na północy Syberji wschodniej. Miano wtedy jeszcze świeżo w pamięci ucieczkę Bakunina *) i obawiano

*) O ucieczce tego znakomitego więźnia stanu i o nim samym słyszałem opowiadania z ust świadków naocznych i towarzyszy jego w podróży po Amurze. Dawano mi nawet do czytania spisane przemówienia, jakie miewał do publiczności przy okazjach rozmaitych, zresztą płynąłem na tym samym statku i z tym samym kapitanem, na którym i z którym podróżował Bakunin. W czasach, gdy ta ucieczka miała miejsce, prąd wolnomyślny z zachodu wiał przeważnie po Syberji. Uwielbiano Bakunina, przyjmowano ostentacyjnie Michajłowa etc., ale wprędce potem nastały czasy inne; gdyż tych, co uprzednio wynoszono pod niebiosa, potępiono bez apelacji. A ostatecznie zawładnęła krajem wschodnim reakcja zupełna, która jakoby trwa po dobę niniejszą. Sądzę, że nie będzie może rzeczą zbyteczną, jeżeli dla charakterystyki chwili liberalizmu na Syberji, przytoczę tutaj niektóre szczegóły, dotyczące Bakunina samego, jego ucieczki i tych słów i myśli, jakie trafiały podówczas do przekonania większości Sybiraków a także i większości urzędników na Syberji.

Co do ucieczki samej, to rzecz miała się tak: Okręt angielski zawinął do portu „De-Castri“, czyli zatoki morskiej, położonej na wybrzeżach posiadłości rosyjskich w Mandżurji i tam stanął na kotwicy; w tym samym akurat czasie przybył Bakunin na statku rzecznym do Mikołajewska, t. j. do miasta, zbudowanego nieopodal od ujścia Amuru, a ztamtąd wyruszył na statku wojennym, rosyjskim, płynącym do Possietu portu południowego, położonego na granicy pomiędzy posiadłościami rosyjskiemi a Koreą. Podróż, którą odbywał Bakunin po Amurze i wzdłuż wybrzeży Mandżurskich, miała jakoby dwa cele. 1. poratowanie zdrowia

się widocznie, ażeby i inni więźniowie nie poszli za jego przykładem.

---

schorowanego więźnia, 2. opisanie dokładne miejscowości zasiedlonych wzdłuż Amuru i po zatokach morskich. Sporządzenia takich opisów podjął się był Bakunin. Ten ostatni, gdy przybył do portu „De-Castri“ uprosił kapitana, ażeby mu pozwolił zwiedzić okręt angielski, o którym była mowa uprzednio. Uzyskawszy pozwolenie, udał się tam w assystencji dwóch oficerów marynarki rosyjskiej, zabawił jakiś czas, przyjmowany bardzo uprzejmie przez Anglików, a następnie oświadczył towarzyszom swoim, oficerom, że raz stanąwszy na pokładzie okrętu angielskiego, oddaje się pod opiekę Wielkiej Brytanji. Oficerowie wrócili sami, zaś Bakunin popłynął szczęśliwie, pod lwią banderą, bo kapitan statku oznajmił stanowczo, że gościnności angielskiej gwałtu zadać sam nie może, a innym nie pozwoli.

Czy ta ucieczka była już z góry uplonowaną? czy tylko wypadek zdarzył szczęśliwy, że równocześnie z przybyciem Bakunina do „De-Castri“ zawitał tu i okręt angielski? tego nikt wiedzieć nie może na pewno. Ucieczka cała, zdaniem mojem, pozostanie na zawsze tajemnicą, ale za to plotkom, domysłom i insynuacjom posłużyła za wdzięczne pole. Władze rządowe pociągnęły do odpowiedzialności z jednej strony wielu rzekomo podejrzanych o uczestnictwo, z drugiej zaś tych, których obwiniano tylko o grzech niedozoru i opieszałości. Tak np. usunięto z posady zarządzającego krajem Zabajkalskim, pułkownika Kukiela; wdrożono śledztwo przeciwko kapitanowi i oficerom, etc. etc., atoli żadnych dalszych bardziej energicznych środków karnych nie przedsiębrano wcale; okoliczność ta była powodem, że wielu gorliwych patrjotów, w czasie późniejszej reakcji obwiniało wszystkich „liberałów“ na Syberji i w Petersburgu, że brali oni czynny udział w tej sprawie. O Bakuninie krążyły wśród publiczności, w czasach, gdym bawił na Amurze, wieści rozmaite i sprzeczne. To, co słyszałem od osób wiary godnych, streszczam w krótkim zarysie następującym:

Bakunin miał być mężczyzną, silnej budowy ciała, otyły i o wyrazie twarzy dobrodusznym, inteligentnym i

Czekanowski, nie potrafiwszy uzyskać pozwolenia na podróż do krainy Czukczów, pozo-

sympatycznym. Podczas podróży był cierpiący; najczęściej leżał, a nawet przemawiał leżący. Lubił towarzystwo i kieliszek, jednak nigdy się nie upijał; pijaństwa i pijaków nie znosił. Miał dar krasomówczy i zdolności niepospolite, a do tego pamięć wyborną; nie cierpiał opozycji w dyskusjach, ta rozdrażniała go i doprowadzała do występów gwałtownych. Gdy był w dobrem usposobieniu, wtedy żartował i chętnie opowiadał rozmaite wypadki ze swego życia, nadto lubiał pouczać i przemawiać na temat swoich doktryn, które wtedy jeszcze nie miały charakteru anarchistycznego. Otwarcie i bez wszelkich ogródek wypowiadał swoje poglądy, łajał despotów przy każdej sposobności i wymyślał na ich służalców, w doborze epitetów dla nich nie był wybredny, uważał politykę zaborczą rządu za straszny błąd, a gnębienie narodowości obcych za zbrodnię; tych, którzy politykę taką uznawali za słuszną nazywał „Kainami". Parę ustępów z przemówień Bakunina, mianych na Amurze powtórzę tutaj:

„Po co my leziemy do Azji? powiadał, po co gnębimy, dręczymy i zabijamy sąsiadów naszych w Europie? po to, ażeby samym umierać z głodu, w nędzy i upodleniu? Siła państwa nie zależy od obszarów, lecz od wartości osobników, wchodzących w skład jego. U nas co? „stiepi nieprachadimyja", a obywatele tych stepów — to ludzie o głowach i sercach pustych, jak pęcherze i o woli tak zdeptanej, jak znoszony „baszmak" tj. jak pantofel. „Wstyd i hańba takiemu państwu", „U nas każdego czynownika, biorąc od góry do dołu, kupisz, bylebyś miał pieniądze, każdy z nich sprzeda ci matkę własną, bylebyś dobrze zapłacił. Co? może to kłamstwo? wołał, uderzcie się każdy z was w piersi, a jeżeli w duszy waszej pozostała chociażby iskierka jaka uczciwości jeszcze, to powiecie razem ze mną: Tak, my wszyscy jesteśmy złodzieje, bo jeżeli gdzie, który z was sam nie kradnie, to żyje przecież z kradzieży i grabieży innych Każdy z naszych, tak zwanych patrjotów, to kupiony towar za pieniądze, za „czyn" (tj. za rangę), za order, za gwiazdę. Wy łajecie anglików i niemców, wymyślacie na zgniły zachód, na brak tam

stać musiał w Irkucku. Na szczęście rozporządzał jeszcze wtedy nie wielkim fundu-

wiary, a od Was czuć, jak od zgniłego śledzia. Wy wierzycie w co? w stokopiejkowe bóstwa? bo, że nie w Boga sprawiedliwości, miłosierdzia i litości, to pewna. Wy, niesprawiedliwością obrzękli, tonący w krzywdach, przyczynionych bliźnim i braciom, krwią i łzami ich opici, możecie wierzyć we wszystko, tylko nie w tego Boga, którego mienicie Waszym, a który cierpiał za innych. Wasi kapłani opoje i zdziercy, chamy i sługi Lucypera, mienią się być przedstawicielami Boga, zastępcami jego na ziemi; o większem świętokradztwie chyba trudno pomyśleć. Zaiste, zwarjować trzeba, myśląc o takim stanie rzeczy, jaki widzimy w naszej ojczyźnie. Rwijcie mię na szmaty, krajcie w kawały, wydrzyjcie mi serce z łona, jeżeli mówię nieprawdę."

O polakach i Polsce Bakunin odzywał się zawsze z wielką sympatją, poznał się z Weberem na Amurze i z innymi zesłanymi naszymi żył w przyjaźni. Żona jego z domu Kwiatkowska była polką. Opowiadano, że po ucieczce męża prześladowano ją, ale szczegółów dokładnych podać nie mogę, wiem tylko tyle, że w późniejszych czasach pozwolono jej na czas jakiś przyjechać do krewnych na Syberję, skąd była rodem, gdyż tam się urodziła. Bakunin nazywał panslawistów „rekinami", bo tak, jak ci ostatni radzi byliby i oni „pożreć" braci swoich, byleby samym utyć.

Utyskiwał w swoich przemówieniach Bakunin na dyplomację rządu, która sieje i pielęgnuje waśnie pomiędzy braćmi, żyjącymi po za granicą państwa, nawoływał stale do życia „w prawdzie, sprawiedliwości, szczerości i miłości wzajemnej".

W perjodzie reakcji nazywano Bakunina arcykapłanem kultu samobiczowania narodowego i zamieniono wprędce ten kult na inny, mianowicie na kult samochwalenia i samouwielbienia szowinistycznego. Przed laty niewielu Bakunin i Michajłów byli uwielbiani czczeni i fetowani, dzisiaj ich miejsce zajęli: Murawjewy, Apuchtiny i inni, im podobni działacze. Kiedy nadejdzie fala zwrotna? — niewiadomo. Że nadejść ona jednak musi, w to wierzą sybiracy, a i my wraz z nimi.

szem,*) więc nie potrzebował poświęcać się pracy wyrobniczej, jak to czynić musiała większa część zesłanych polaków w Irkucku, zajął się tedy z gorliwością przedmiotem własnych upodobań, mianowicie uporządkowaniem i określeniem zbiorów geologicznych i paleontologicznych towarzystwa geograficznego. Ład, jaki wprowadził do zbiorów, bardzo obfitych w okazy, ale pozostających w zaniedbaniu całkowitem, ułatwił w późniejszym czasie studja Czerskiemu, ten ostatni w rozmowach ze mną, często wspominał z wdzięcznością o tej pracy Czekanowskiego i mienił jego samego swoim pośrednim nauczycielem w dziedzinie petrografji i paleontologji. Po ukończeniu zajęć w gabinecie towarzystwa, Aleksander przedstawił projekt do badań systematycznych nad geologją, dotyczącą bliższych i dalszych okolic Irkucka i sam pod-

*) Strona finansowa w życiu Aleksandra była zawsze słaba. Gdy odbywał wyprawę jaką, wtedy wyznaczał sam sobie bardzo skromne djety, lecz po ukończeniu ekspedycji oddawał resztę pozostałych sum i utrzymywał się zwykle na kredyt, aż do czasu, gdy z płacy, pobieranej od arkusza za sprawozdania, lub za prace naukowe, albo też z pieniędzy, uzyskanych za dublety zbiorów swoich, mógł nareszcie wyrównać dług zaciągnięty. W częstych i trudnych kłopotach finansowych była mu zawsze pomocną gospodyni, u której najmował pomieszkanie i stołował się zwykle, ona miała dla niego zawsze otwarty kredyt, pielęgnowała go w czasie choroby i była, rzec można, prawdziwym jego aniołem stróżem. Aleksander tytułował ją „matką“ albo „siostrą“, a ta go nazywała „bratem“. Kobieta ta, rzadkiej uczciwości, nosząca po drugim mężu nazwę Zylejszczykowej, swoją bezinteresownością, swą anielską delikatnością i poświęceniem, zasłużyła na to, ażeby ją w tem miejscu uczcić wspomnieniem.

jął się ich uskutecznienia. Dzięki zarządowi towarzystwa, na którego czele stał wtedy generał Kukiel, uzyskano środki, potrzebne dla pierwszej ekspedycji Czekanowskiego, uwieńczonej, jak i wszystkie inne późniejsze jego ekspedycje, rezultatami pomyślnymi we wszelkich możebnych kierunkach.



Z fotografji, zdjętej w Irkucku, po powrocie Czekanowskiego z ekspedycji na Lenę.

O niektórych z tych rezultatów wspomnę tutaj, gdyż one posłużyły następnie za podstawę do dalszych badań Aleksandra, a obok tego dały możność połączenia dotychczasowych poszukiwań geologicznych, uskutecznionych przez Fr. Schmidta na Amurze i Middendorffa w Daurji,

w jedną organiczną całość z poszukiwaniami różnych geologów, dokonanemi w Indjach wschodnich, w Chinach, Japonji i Europie, tak, że w ten sposób wywołany naraz został poprzed oczy naturalistów świat nowy lądu olbrzymiego, datujący z czasów dawno minionej przeszłości.

Do chwili badań Czekanowskiego sądzono powszechnie, że wszystkie warstwy, wchodzące w skład pokładów gubernji Irkuckiej, a zawierające w sobie węgiel kamienny, zaliczyć należy do formacji węgla; dopiero Aleksander, opierając się na licznych skamieniałościach, odkrytych przez siebie w wielu miejscach terenu badanego *), zdołał ściśle określić wiek pokładów rzeczonych. Według niego, owe wszystkie warstwy, zawierające węgiel, należą do epoki daleko późniejszej, niż „Karbon“, bo do formacji Jurajskiej.

We wszystkich miejscowościach, badanych przez Czekanowskiego, skamieliny roślinne, mianowicie lądowe i słodkowodne okazały się

*) Miejscowości, gdzie znalazł Czekanowski skamieliny roślinne i zwierzęce, były nader liczne, a większa ich część leży w okolicach samego miasta Irkucka. Tak np. ujście rzeczki Kaï, Tapka, Góra piotrowska, okolice wsi Smoleńszczyzny, Maksimowszczyzny, okolice fabryki Talcyńskiej etc. Z dalszych okolic najważniejsze miejsca, obfitujące w skamieliny, są następujące: wieś Jełowka, wieś Bykowa, Niżesieredkina, Ust-Baleja. Czekanowski w swojem sprawozdaniu wymienił wszystkie miejscowości, gdzie znalazł skamieliny. To też rzucono się wprędce potem skwapliwie do eksploatowania tych warstw w celach tworzenia zbiorów, dobrze płatnych za granicą. Tak np. Mikołaj Hartung zebrał kollekcję bogatą dla Ryszarda Maacka, a ten wywiózł ją do Petersburga i do Londynu.

daleko obfitszemi aniżeli zwierzęce, z pomiędzy tych ostatnich zasługuje szczególniej na uwagę gatunek ryby słodkowodnej: Lycoptera Middendorffii. Gatunek ten był wprawdzie już dawniej opisany i znaleziony w wartwach zalegających okolice Turgi nad Ononem, lecz dopiero odkrycia Czekanowskiego dały możność ścisłego określenia wieku pokładów Ononskich, a zarazem i połączenia tych ostatnich z Irkuckimi. Również i skorupiaki słodkowodne potwierdziły łączność warstw wyżej wymienionych, albowiem gatunek, zwany: Estheria Middendorffii okazał się być wspólnym dla obu miejscowości *). Z innych, licznych skamielin zwierzęcych wspomnę tu tylko owady, a mianowicie siatkoskrzydłe, jak np. Perlidae (Widelnice), Ephemeridae (Jętki), Agrionidae (Łątki) etc., a następnie owady Łuskoskrzydłe, czyli Motylowate (Lepidoptera). Co do tych ostatnich, to wiadomą jest rzeczą, że skamieliny Motylowatych stanowią niezmierną rzadkość w zbiorach paleontologicznych, a do tego pochodzą one z warstw trzeciorzędowych,

*) Czekanowski i my wraz z nim szukaliśmy bardzo pilnie pomiędzy skamielinami zwierzęcemi w warstwach Jurajskich śladów Gammaridów (Kiełżowatych), obecnie tak licznych w faunie jeziora Bajkału, atoli poszukiwania nasze były dotąd bezskutecznemi; czy przyszłość nie wykaże przypadkiem jakichś form, do tego działu skorupiaków słodkowodnych należących w warstwach formacji Jurajskiej Irkucka, tego powiedzieć nie można, w każdym jednak razie, hipoteza Aleksandra, że Bajkał jest słodkowodną pozostałością z czasów formacji Jurajskiej, dotąd ani potwierdzoną, ani obaloną nie została na podstawie badań faunistycznych jeziora Bajkału.

odkrycie więc gatunków, do Motyli należących, w formacyi Jurajskiej stanowi fakt niezmiernie ważny, tak dla paleontologji, jak i zoologji w ogóle.

Z roślinnych skamieniałości znalazł Czekanowski bardzo liczne okazy, na ich podstawie zdołano określić do 60 gatunków, a z pomiędzy nich 29 gatunków roślin szpilkowatych (Coniferae). Do bardziej interesujących form należą następujące: Baiera Czekanowskiana Hr. i Czekanowskia setacea i rigida Hr.

Po tej pierwszej ekspedycji Czekanowski przedstawił szczegółowe sprawozdanie, za które otrzymał medal złoty zasługi od Towarzystwa geograficznego w Petersburgu. To uznanie ze strony geologów stolicy było mu wielce potrzebne z racji, że w poglądach nowych obalał wszystkie dotychczasowe zapatrywania poprzedników swoich.

Jako dopełnienie do badań już uskutecznionych przedsiębrał Aleksander, częściowo na swój koszt, częściowo na koszt towarzystwa geograficznego w Irkucku kilka pomniejszych wycieczek. Tak np. zwiedził góry Bajkalskie w pobliżu Kułtuka położone, badał dalsze pasma tych gór wzdłuż drogi, zwanej „Chamardabańską“, wdzierał się na szczyt samego „Chamar-dabana“, czyli „Nosala Bajkalskiego“, gdzieśmy widzieli jego podpis, wyrżnięty na deseczce, leżącej u stóp krzyża, zatkniętego w stosie odłamów skalnych, a tam umieszczonego przez jakiegoś „pobożnego chrześcjanina“, który wierzyć musiał naiwnie, że postawieniem krzyża na tym najwyższym szczycie gór Baj-

kalskich, sprawi wielką przyjemność Wszechmocnemu. Ale też i tutaj nie za darmo uczyniono tą ofiarę, bo o tym krzyżu opowiadali mieszkańcy Kułtuka, że go zaniósł o własnych siłach na szczyt „Nosala“ jakiś myśliwy, który w cudowny jakoby sposób ocalał wśród zasp śnieżnych, podczas polowania jesiennego na sobole w dolinie Sliudianki *). Podziwialiśmy, bawiąc z Godlewskim na szczycie „Chamardabana“, siłę człowieka, co potrafił przenieść krzyż na swoich barkach, pnąc się prawdopodobnie po tej samej, ostrej krawędzi, którąśmy się wdarli tutaj, a która rzucona nad przepaścią pomiędzy wierzchołkami dwóch sąsiednich gór, łączyła je ze sobą. Wypisaliśmy, obok nazwiska Czekanowskiego, nazwiska nasze i Wrońskiego Stanisława, lecz gdyśmy w lat kilka

*) Inną wersję, mniej poetyczną podał mi Burjata i słyszał ją opowiadaną Czekanowski, mianowicie krzyż ten kazał jakoby Burjatom, pracującym przy budowie drogi Chamar-dabańskiej, zanieść na szczyt góry dozorca jakiś, pilnujący tych robót. Dozorca rzeczony miał być wielkim tyranem dla robotników, spędzonych z różnych okolic kraju i męczonych bez wszelkiej zapłaty przy tych ciężkich pracach, których ślady pozostały dotąd. Obfitym potem i krwią Burjatów, jak powiadają, oblana była tu droga, dawniej jedyna, łącząca Zabajkalje z Przedbajkaljem. Może w celu przebłagania niebios za krzywdy wyrządzone pracującym Burjatom, krzyż ten postawiono na szczycie góry, oczywista rzecz, że rękami pogan, lecz pod dozorem i za inicjatywą bogobojnego chrześcjanina. Wersja ta, odnośnie do krzyża, zdaje mi się być prawdopodobniejszą od tamtej. „Dobrze to być osobą możną“, powiadał mi burjata już ochrzczony, „bo ta ma zawsze zapewnione królestwo w niebie, może grzeszyć, ile chce, a wzniesie cerkiew lub postawi krzyż na niedostępnem miejscu i rachunki z Bogiem skończone“.

potem chcieli dotrzeć tą samą drogą na szczyt góry, to przejście okazało się niemożliwe, albowiem krawędź, uprzednio już wątła, popękana i niebezpieczna, runęła częściowo w przepaść, a w ten sposób przerwaną została z tej strony komunikacja piesza pomiędzy górami sąsiedniemi.

Oprócz gór Bajkalskich, wyżej wspomnianych, zwiedzał Aleksander jeszcze kopalnie „Lapis-lazuli“, położone w dolinie wielkiej Bystrej, wpadającej do Irkuta, następnie bawił w zarzuconych kopalniach miki w dolinie Sludianki. W tej ostatniej miejscowości uzbierał liczne i piękne kryształy rzadkich minerałów: jak Kokszarowit, Bajkalit, Strogonowit etc., a nadto dziwnie szczęśliwym wypadkiem*), złowił parę okazów żywych, rzadkiego w tych miejscowościach gatunku, do Gryzoni (Glires) należącego, mianowicie Smużkę ogoniatkę, albo Smużkę długoogonową (Sminthus vagus). Obecność tego gatunku w górach Bajkalskich była podówczas po raz pierwszy stwierdzoną przez Czekanowskiego. Wszystkie wycieczki Aleksandra, wykonywane po jego pierwszej ekspedycji, miały na celu uzupełnienie wiadomości, dotyczących geologji gubernji Irkuckiej. Doprowadziwszy je szczęśliwie do końca, zebrawszy nadto obfity

*) Wracając późną nocą z wycieczki na doliny rzeczek: Sludianki, Pachabichy i Tałej, posługiwał się Czekanowski latarnią; gdy ją w czasie wypoczynku pozostawił na ziemi otwartą, wbiegły dwie smużki jedna za drugą do latarni. Zamknąwszy ją pospiesznie zdobył na raz dwa okazy, które nam żywymi dostarczył dla obserwacji w Kultuku.

materjał naukowy, wziął się Aleksander do opracowania szczegółowych map geologicznych.

Po chwilach czynności gwałtownych, jakim się oddawał zwykle z gorączkowym zapałem podczas swoich wycieczek, po momentach podniecenia niezwykłego, następowała prawie zawsze w życiu Aleksandra jakaś depressja moralna, jakieś przygnębienie duchowe, któremu zwykle towarzyszyło pogorszenie się stanu jego zdrowia**). Spokój chwilowy, bezczynność fizyczna, życie, jak je nazywał, z dnia na dzień, wywierały na nim wpływ fatalny. Stronił on wtedy od ludzi, unikał towarzystwa, zamykał się w sobie i tonął w myślach rozpaczliwych. Coś go bolało, coś go trapiło, przyczyny jednak swych cierpień moralnych nie wyjawił nigdy, nawet przed najbliższymi przyjaciółmi. W takich chwilach niemej boleści jego, staraliśmy się wszyscy, według sił i możności, rozerwać go, pocieszyć i natchnąć nadzieją lepszej przyszłości, atoli wszelkie starania nasze okazywały się zwykle bezskutecznemi.

Po gwałtownem przesileniu w roku 1869 namówiliśmy Aleksandra, ażeby zamieszkał z nami w Kułtuku, gdzieśmy bawili podówczas, zajęci badaniem nad fauną Bajkału, mając przytem na celu sprawdzenie słuszności kilku hipotez odnoszących się do starożytności samego jeziora. Chodziło nam o to, ażeby znaleźć w faunie Bajkalskiej głębinowej potwier-

**) Od czasu ciężkiej choroby, przebytej w Tomsku, cierpiał na jej następstwa, a mianowicie na katar kiszek i na fistułę (recto-perinealis), z powodu tej ostatniej znosił niekiedy męczarnie silne i wtedy leżał w łóżku po kilka tygodni z rzędu.

dzenie lub obalenie owych hipotez, które wtedy budziły mocne zajęcie wśród grona naszych znajomych naturalistów. I tak, gdy jedni, jeżeli się nie mylę z Meglickim na czele, przypuszczali, że Bajkał sięga, jako część morza starożytnego, aż do czasu epoki Sylurycznej, to drudzy znowu za przykładem Humboldt'a, Peschel'a etc. uważali to jezioro za fjcrd morza lodowatego doby obecnej, które to morze w czasach stosunkowo bardzo niedawnych rozciągać się miało daleko w głąb lądu azjatyckiego. Czekanowski w trakcie badań swoich, gdy znalazł pokłady formacji Jurajskiej na wybrzeżu zachodnio - południowym Bajkału, sięgające od ujścia rzeki Kot, aż do przylądka „Kadilnyj-mys", oświadczył nam, że obecnie jest pewna możebność uznania Bajkału za pozostałość słodko-wodną z czasów epoki Jurajskiej.

Każda z tych hipotez miała swoich zwolenników, najgoręcej obstawał za starożytnością syluryczną Bajkału ś. p. Antoni Wałecki, ten ostatni był tak dalece przejęty prawdą hipotezy, której hołdował, że wciąż przewidywał, iż w wielkich głębokościach jeziora, dochodzących do 1.300 metrów, znajdziemy najniezawodniej „Trójliczki" Syluryjskie (Trilobitae), albo przynajmniej napotkamy formy skorupiaków, pochodzących w prostej linji od Trójliczek. Taczanowski Władysław był skłonniejszy do przyjęcia hipotezy Peschla i wraz z prof. Augustem Wrześniowskim zachęcali nas ciągle do poszukiwań na dnie Bajkału, w celu odnalezienia owego hipotetycznego, a wtedy bardzo modnego prarodzica wszystkich istot żyjących, owego nieśmiertelnego, jakkolwiek w chwili obecnej

uśmierconego Bathybius'a Hackel'a. Czekanowski podał ze swojej strony myśl nową, mianowicie myśl o słodko-wodnem pochodzeniu jeziora, datującego od czasu epoki Jurajskiej. Otóż pragnąc, ażeby na podstawie badań faunistycznych głębinowych, można było wykazać, którą z tych hipotez uznać wypadnie za najbardziej prawdopodobną, postanowiliśmy użyć wszelkich sił, i poświęcić cały czas wolny od zajęć zarobkowych, na przeprowadzenie badań nad fauną Bajkału, przyczem namówiliśmy Czekanowskiego do wzięcia w tych poszukiwaniach udziału.

Jechałem tedy z Czekanowskim z Irkucka do Kułtuka, w tej nadziei, że praca fizyczna, wytężona, dokonywana na świeżem, mroźnem powietrzu, na powierzchni ściętego lodem Bajkału, potrafi wpłynąć dodatnio na zbolałą duszę Aleksandra i jego nadwątlone zdrowie. Ale niestety długo on tutaj wytrzymać nie mógł. Zajęcia na Bajkale, w znacznej odległości od brzegu prowadzone, wystawione na ciągłe, silne wiatry, okazały się dla niego zbytnio uciążliwe a nadto były one monotonne i pozbawione silniejszych wrażeń, przy tem nie mógł się Aleksander oswoić z ciągłym trzaskiem, hukiem, kanonadą pękającego lodu. Łomot taki bezustanny denerwował go, jak powiadał i rozdrażniał. To też już po kilku tygodniach, spędzonych z nami w Kułtuku, wrócił do Irkucka, ażeby ztamtąd wyruszyć na Amur, dokąd go wzywało pewne prywatne towarzystwo, eksploatujące piaski złotonośne w górnej części doliny Amuru. Lecz i tam krótko przebywał. Zawiedziony w swoich oczekiwaniach, a mając nadto

do czynienia ze spółką, znaną na Amurze pod mianem żartobliwem „Trójcy świętej amurskiej“, inaczej przezwanej „Towarzystwem Gol, Mol i Nol“, nie cieszącem się dobrą reputacją — porzucił stanowisko, na pozór wielce korzystne, i wrócił do stolicy wschodniej Syberji. Tu zajął się z nowym zapałem nowymi projektami dalekich ekspedycyj, a jednocześnie rozpoczął starania o przyprowadzenie ich do skutku, co mu się udało w zupełności i odtąd rozpoczyna się szereg wypraw na północ.

Z większych ekspedycyj Czekanowskiego wymieniam tutaj następujące: Na Tunguzkę dolną i Jeniesiej, na Lenę*) i na Olenek. Każda z tych olbrzymich wypraw przyniosła bogate plony, tak pod względem rezultatów geologicznych, jak geograficznych, paleontologicznych, botanicznych i zoologicznych, one dawały stopniowo możność do zakreślania coraz szerszego koła dla badań i wniosków, a zarazem pozwalały Aleksandrowi marzyć o tem, że z czasem uda mu się wciągnąć w zakres poszukiwań swoich całą północną Azję.

Wracającego z wielkiej ekspedycji, z doliny Leny i Oleneka**), spotkałem Aleksandra w Irkucku, po kilkuletniej naszej tam nieobecności, a to właśnie wtedy, gdyśmy sami wracali z wy-

*) O mniejszych wyprawach nie wspominam, tak np. o wycieczce na Kossogoł i Munku-Sardyk. Ta ostatnia wyprawa z powodu pośpiechu i spóźnionej już pory roku nie udała się nam wcale.

Wejście nawet na szczyt Munka-Sardyka stało się niemożebne, z powodu śnieżycy.

**) Te ekspedycje ostatnie odbywał za pożyczone pieniądze od osób prywatnych.

brzeża Morza Mandżurskiego. Czekanowski przybył z tej wyprawy stosunkowo zdrów, pozornie wesół i pełen nadziei na przyszłość. Trudy szalonej, jak ją mienili znajomi jego, podróży po lądach i wodach północy, zdawały się wywierać na niego wpływ wielce korzystny, utył bowiem nawet, zmężniał, zapuścił brodę, „okładzistą“, jak, ją żartobliwie nazywał, bo jej golić czasu nie miał, a nadto ona go chroniła od bolu zębów, na który dopiero teraz uskarżać się zaczął. W ogóle robił wrażenie, że nigdy uprzednio nie był tak silny i pełen energji, tak gotowy i zdolny do nowych, jeszcze cięższych i dłuższych ekspedycyj, jak w chwili *), o której mowa **).

Wiózł on ze sobą wtedy, wracając z Leny, około 9.000 okazów roślin zasuszonych, do 10.000 okazów skał i skamielin i przeszło 20.000 numerów kolekcji entomologicznych. Zbiory te ułożone w pakach szły z nim razem, gdyż spieszył oddać je Akademji, ażeby co najprędzej

---

*) Wizerunek Nr. 3., który tu podajemy, przedstawia Aleksandra w chwili, gdy wrócił z ekspedycji na Lenę. Przetwarzając jednakże fotografję Czekanowskiego na drzeworyt, popełniono w Warszawie kilka omyłek, mianowicie: Włosy na głowie są inaczej tu ułożone niż je nosił zwykle, nos jest nieco zdeformowany. Ogólnie biorąc, nie znam ani jednej fotografji, a już nie mówię o drzeworytach, któraby oddała należycie twarz Czekanowskiego. Z tych fotografij jakie sam posiadam, uważam za najlepszą, zdjętą w roku 1863 i reprodukowaną powyżej.

**) Niewyleczone w Tomsku cierpienie potyfusowe (Fistula „recto perinealis“), mocno mu dokuczało, ale gdy wrócił z ekspedycji zdawało się, że to cierpienie złagodniało i mniej mu dolega.

pokryć długi zaciągnięte, przyczem miał już gotowe projekta dla nowych ekspedycyj na wschód i na zachód od obecnie dokonanych. Zamierzał on badać Anabar, Chatangę, Indygirkę, Kołymę etc. Ponieważ już wtedy postanowiłem był zwiedzić Kamczatkę i miałem przyrzeczenie Czerskiego, w razie jeżeli się do tego czasu nie ożeni, że wspólnie tę podróż odbywać będziemy, więc żegnając Czekanowskiego, gdy wyjeżdżał do Petersburga, żartem naznaczyliśmy sobie miejsce spotkania u ujścia Anadyra, na północ od Kamczatki. Wkrótce po jego przyjeździe do stolicy odebraliśmy wiadomość, że już w początku 1877 r. przybędzie do Irkucka, dążąc na północ; spodziewaliśmy się więc, że go zobaczymy jeszcze na Syberji, bo uzyskanie pozwolenia na wyjazd do kraju o któreśmy się wtedy starali, wymagało dużo jeszcze czasu.

W Petersburgu zgotowano rzekomo gorące i pełne serdecznej życzliwości przyjęcie dla Aleksandra, na co on zgoła nie liczył, lecz w pełni zasługiwał, dano mu pomieszkanie w Akademji, obiecano mu pono stałą pensję dożywotnią, zapewniono jakoby środki dla dalszych ekspedycyj etc.

Odczyty Czekanowskiego i relacje o dokonanych podróżach i o rezultatach badań, wywołały powszechne i ogólne uznanie dla badacza, co sam jeden zrobił więcej niż inne ekspedycje, złożone z licznych uczonych.

Takie i tym podobne wieści dochodziły nas w Irkucku przez dłuższy czas ze stolicy państwa. Czy one były prawdziwe, czy może tylko przesadne nikt o to wówczas nie pytał,

ale każdy śledził pilnie za wiadomościami, które ciągle stwierdzały niezwykłe sukcesa Aleksandra i zaznaczyły dowody uznania, jakich mu wtedy nie szczędzono; wprawdzie zbyt późno ale najzasłużeniej w świecie.

Pamiętam dobrze ową radośną nowinę telegraficzną, przysłaną nam umyślnie z Irkucka do Kułtuka, że Aleksander wraca, że już wyjechał z Petersburga i że prawdopodobnie za dni jakich 20 stanie w Irkucku. Gdyśmy na czas spodziewanego przybycia Czekanowskiego pośpieszyli do grodu, ostatnio wymienionego, zastaliśmy tam tylko wieść nad wszelki wyraz smutną i boleśną — że Aleksander nie żyje. Co się zaś tyczy owego telegramu, to redakcja wiadomości telegraficznych, wydawanych w Irkucku zmieniła wyraz „*atrawilsia*“, podany w depeszy pierwotnej z Petersburga na „*atprawilsia*“, albowiem była najpewniejszą, że tak być powinno, bo sądziła, że prędzej świat cały ulegnie zniszczeniu, aniżeli los tak smutny stanie się udziałem człowieka, który był ulubieńcem i dumą społeczeństwa — ludzi myślących i czytających we wschodniej Syberji.

Wszyscy w Irkucku odczuli głęboko stratę niezmordowanego pracownika, i z niemą żałością czytali w gazetach krótką i nic nieobjaśniającą relację o zgonie Aleksandra, który nastąpił 30. października 1876. r.

Zbiory jego całe, albo przynajmniej większa ich część, przeszły na własność Akademji, dorobek naukowy jego stał się własnością wszechwiedzy ludzkiej, zaś sława jego imienia

opromienia blaskiem męczeńskim cierniową koronę narodu. z łona którego wyszedł.

Dopełnienie do życiorysu Aleksandra Czekanowskiego.

Szczęśliwy traf zdarzył, że podczas wakacji letnich b. r. spotkałem się we Lwowie z byłym towarzyszem podróży ś. p. A. Czekanowskiego, z Zygmuntem Węgłowskim, wracającym z kąpiel zagranicznych, dokąd wyjeżdżał w celu poratowania zdrowia.

Węgłowski Zygmunt brał udział czynny w ostatniej wyprawie Aleksandra do „tundry wielkiej“ i na rzekę Olenek, posiadał przytem, jak mi oświadczył, dziennik szczegółowy, spisany w czasie trwania ostatniej ekspedycji Czekanowskiego. Prosiłem go o streszczenie dziennika i o nadesłanie mi do Lwowa relacji krótkiej o podróży rzeczonej, co też uczynił obecnie **).

Ponieważ wyprawa A. Czekanowskiego na dolinę rzeki Olenek, we wschodnio-pólnocnej Syberji położonej, nie była jeszcze dotąd opisaną, zaś dziennik Węgłowskiego wskazuje dokładnie jej przebieg cały, i sposoby jej odbywania, ponieważ daje on następnie pewne pojęcie o trudnościach, z jakiemi walczyć musieli

**) Zygmunt (Marjan. Aleksander) Węgłowski skończył w roku 1862 gimnazjum klasyczne w Równem na Wołyniu i w tymże roku wstąpił do Uniwersytetu w Kijowie. Za udział w powstaniu sądzony został do kopalń Nerczyńskich (Balszoj Nerczyńskij zawod). Tam zajął się geologją i bawiąc w Irkucku wtedy, gdy Czekanowski powziął projekt odbycia nowej, powtórnej podróży na rzekę Olenek, chętnie przystał na propozycję Aleksandra i wyruszył z nim na północ.

nasi podróżnicy, a nareszcie wyjaśnia przy jakich warunkach i w jakich miejscowościach były zebrane owe bogate kollekcje paleontologiczne, geologiczne i zoologiczne, o których uprzednio wspomniałem — więc sądzę, że nie będzie rzeczą zbyteczną, jeżeli wobec okoliczności dopiero co przytoczonych, podam tutaj relację Zygmunta Węgłowskiego, dotyczącą wyprawy w mowie będącej; ona służyć nam będzie jako dopełnienie tymczasowe do biografji Czekanowskiego.

Wyprawa naukowa z roku 1874-go, wyekwipowana kosztem Towarzystwa geograficznego w Irkucku i wysłana w celach przeprowadzenia badań geologicznych w dolinie Oleneka, nie zadowoliła wcale A. Czekanowskiego. Wyruszywszy 15. lutego 1874 r. z Jerbochoczona, miejscowości położonej nad rzeką Tunguzką dolną, wpadającą do Jenyseju, ekspedycja rzeczona wskutek zasp śnieżnych i złych przewodników zbłądziła i zamiast dotrzeć do dopływów Oleneka, trafiła na dopływy rzeki Chatangi. (Porównać sprawozdanie Czekanowskiego o tej wyprawie, pomieszczone w „Wiadomościach Tow. Geogr.“ T. 12.). Po wyjaśnieniu omyłki, udała się ekspedycja na północ, lecz stanęła już zbyt późno na miejscu, ażeby módz pod tę porę jeszcze zająć się dokładnem zbadaniem terytorjum wskazanego. Czekanowski, wracając z tej wyprawy niepomyślnej, zastał w Jakucku wiadomość, że Towarzystwo geograficzne proponuje mu, ażeby stanął na czele nowej ekspedycji, wysyłanej z Jakucka na doliny rzek: Anabara i Chatangi, tej propozycji nie przyjął jednak Czekanowski z powodu, że nie

ukończywszy jednego zadania, nie chciał i nie mógł podjąć się zadań innych, nowych; niemniej jednak starał się o zmianę postanowień Towarzystwa geograficznego, a nie mogąc tego dokonać, pomimo przedstawień swoich, wrócił do Irkucka 5. stycznia 1875 r. zniechęcony i smutny. Tutaj wszakże otrząsł się prędko z przygnębienia chwilowego, gdy mu zabłysła nadzieja, że na innej drodze dopiąć potrafi swego celu. W imię zadań, pozostających nie rozstrzygniętemi z czasu ekspedycji ostatniej, postanowił on teraz puścić się w drogę na północ kosztem własnym; lecz że nie miał na to funduszów dostatecznych, więc zaciągnął pożyczkę, wynoszącą około 1700 r. s. i oznaczył termin wyjazdu na początek Maja (st. st.) r. 1875.

Jak wielkie znaczenie przywiązywał Czekanowski do badań geologicznych w dolinie rzeki Olenek'a, świadczy to namiętne pragnienie jego odbycia podróży powtórnie nawet na własne ryzyko i za pieniądze pożyczone. Spieszył on na północ z taką wiarą w pomyślny rezultat przedsięwzięcia, z takiem, że się wyrażę, proroczem przeczuciem powodzenia przy rozwiązaniu zagadek geologicznych, że pomimowoli przekonania jego udzielały się wszystkim znajomym, a wiarą tą natchniony pospieszył Zygmunt-Węgłowski na wezwanie Czekanowskiego, ażeby dzielić z nim trudy i niebezpieczeństwa podróży, a nadewszystko, ażeby ochraniać wielbionego przyjaciela i przewodnika swego w dziedzinie geologji, przed ogromem pracy fizycznej, na którą byłby wystawiony Aleksander niezawodnie, gdyby sam bez towarzysza puścił się był w tę drogę daleką.

Dziennik Zygmunta Węglowskiego w streszczeniu.

„Z powodu choroby A. Czekanowskiego, na którą zapadł w końcu kwietnia r. 1875, wyjazd nasz z Irkucka został opóźniony i nastąpił dopiero 15. maja (st. st.). Chociaż już ćwierć wieku upływa od owej daty, jednak w pamięci mojej zachowały się wszystkie, bo nawet najdrobniejsze szczegóły, dotyczące naszego wyjazdu. Czekanowski w ciągu dnia całego (15. maja) był gorączkowo czynny i zajęty w mieście, chodziło bowiem o załatwienie różnych formalności policyjnych i podróżnych, o uzyskanie pism polecających i o zaopatrzenie się w oficjalne rozporządzenie władzy najwyższej w Irkucku (generał-gubernatora), wystosowane do władz, pozostających w Jakucku i dalej na północy, ażeby one wzięły pod swoją opiekę ekspedycję naszą. Na mnie znowu ciężył obowiązek upakowania na brykę pocztową, zwaną tarantasem, wszystkiego tego, cośmy zabierali ze sobą w tę podróż daleką, mającą trwać rok cały, a może i dłużej jeszcze. Od samego więc rana, sprowadziłem na dziedziniec naszego mieszkania brykę z poczty i starałem się ułożyć 43 numerów pakunków rozmaitej wielkości, w taki sposób, ażebyśmy sami jeszcze znaleźć mogli pomiędzy niemi pomieszczenie, jeżeli nie wygodne, to przynajmniej znośne. Oprócz instrumentów naukowych, broni i przyrządów rozmaitych do prac stolarskich i blacharskich, oprócz bielizny, odzienia i żywności etc., musieliśmy brać ze sobą cały zapas przedmiotów, przeznaczony na podarki i na zapłatę tubylcom. Dopiero ku wieczorowi dnia naznaczonego na

wyjazd, wybory nasze zostały ukończone i o godzinie 2-giej po północy wyjechaliśmy z Irkucka, żegnani przez szczupłe grono najbliższych przyjaciół naszych i rodaków.

Droga do pierwszej stacji pocztowej po trakcie tak zwanym Leńskim, do wsi Chamutowej, wiedzie po górzystej miejscowości, z rzadka tylko porosłej lasem. Okolica cała, miała w chwili naszego wyjazdu, wygląd bardzo wczesnej wiosny, bo doliny szerokie i pola były pokryte całunem śnieżnym, a tylko wierzchołki gór i pagórków czerniały dokoła: w zagajeniach krzaki róży alpejskiej (Rhododendron dahuricum) jakkolwiek jeszcze bez liści, czerwieniały kwieciem obfitem. Na kraj zaś ten cały, dzikością swą piękny, mało zwracał uwagi Aleksander, on bo tę drogę już kilkakrotnie przedtem odbywał w różnych porach roku. Odziany teraz w burkę wołynkę, która go okrywała i podczas uprzedniej wyprawy: z kapiszonem, narzuconym na głowę, siedział wysoko na spiętrzonych pakach, tonąc w zadumie głębokiej; nie przerywałem milczenia przewidując, że myśli jego pędzą gdzieś daleko na północ, ku tajemniczym skałom w dolinie Oleneka, że chciałby on niezawodnie na skrzydłach ptaka przebyć całą przestrzeń, dzielącą nas od nich, a tymczasem trójka nasza, obarczona nielekkim pakunkiem, wlecze się powoli po drodze ciężkiej i trzęskiej, wspinając coraz dalej pod górę. Dopiero o wschodzie słońca stanęliśmy przed stacją pocztową. Gorączkowy pośpiech towarzyszył nam w ciągu całej drogi, albowiem opóźnienie groziło koniecznością prze-

zimowania na dalekiej północy bez środków koniecznych, a nadto i bez zasobów pieniężnych.

Od Chamutowej, jadąc już coraz żwawiej po lepszej drodze, posuwaliśmy się spiesznie tak, że w ciągu 20 godzin zrobiliśmy 240 wiorst i stanęliśmy we wsi „Kaczugą“ zwanej, położonej na wybrzeżu rzeki Leny.

Wieś Kaczuga jest miejscem handlowem, tu corocznie w miesiącu kwietniu odbywają



Widok rzeki Leny w jej górnym biegu
(kopia z fotografii Obruczewa.)

się wielkie jarmarki. Kupcy Jakuccy i zarządzający kopalniami złota, rozrzuconemi po dopływach rzeki Leny, Witimu, Alokmy, Ałdanu, Wiluja etc. zaopatrują się na cały rok we wszystkie konieczne do życia przedmioty, które dowożone tu bywają na kołach i saniach z Irkucka.

W owe czasy, gdyśmy odbywali naszą podróż po Lenie, nie znano tam jeszcze parostatków, pocztę i pasażerów, jadących na północ, przewożono na łodziach pocztowych, od stacji do stacji, odległych od siebie o 20 do 30 wiorst; dla pośpiechu wprzęgano często konie, za pomocą których holowano łódź w górę i w dół po rzece; zamożniejsi podróżni kupowali zwykle łódź na własność, a wtedy nie było potrzeby przeładowywać jej na każdej stacji. Do obsługi łodzi pocztowej, chcąc płynąć w dół po rzece, bierze się dwóch wioślarzy i sternika, co kosztuje od wiorsty tyle, ile się płaci za zwykłą trójkę pocztową na innych traktach w Syberji. Towary transportowano wówczas na statkach, pędzonych siłą prądu wody, jeżeli je wieziono w dół po rzece, zaś w górę po rzece holowano statki, wprzęgając konie. Z pomiędzy statków ówczesnych transportowych wyszczególniał się swoją budową statek zwany „kajakiem“: był to niekształtny czworokątny, podłużny dom pływający, ładowano na niego około 5.000 pudów; za przyrząd kierowniczy służyły olbrzymie wiosła w kształcie steru, umieszczone po jednem na przedniej i tylnej części statku, tak jak to ma miejsce na promach spławnych, czyli tratwach na Litwie; do obsługi każdego wiosła stawiano po kilkunastu ludzi. Przemysł transportowy był to interes wielce zyskowny w owych czasach; tak np. gdy pud mąki żytniej kosztował w okręgu Irkuckim 1 r. 50 kop., to na miejscach głównej dostawy płacono za pud 3 r. s. W tym samym prawie stosunku wzrastały wówczas ceny i na wszystkie inne przedmioty

w rozmaitych centrach handlowych po Lenie i jej dopływach.

Nasza podróż po rzece, odbywać się początkowo musiała przy pomocy łodzi pocztowych: koni nie najmowaliśmy, bo prąd wody na wiosnę jest silny, a do tego zalane bywają ścieżki holownicze, braliśmy więc tylko dwóch wioślarzy i sternika, zmieniając łódź i ludzi na każdej stacji. Pomimo zwłoki koniecznej przy częstych przeładowywaniach, płynęliśmy dość szybko i stosunkowo wygodnie. Karmiliśmy się zapasami żywności, wziętymi z Irkucka, albowiem na stacjach, zwykle pomieszczanych w domach ubogiej ludności, przeważnie rybackiej, prawie niczego dostać nie było można, zresztą na Lenie ceny na wszystkie produkty żywności są niezmiernie wysokie, a my oszczędzać nasze szczupłe fundusze musieliśmy, bacząc ciągle na możebną ewentualność zimowania na północy.

Dwudziestego maja przybyliśmy do miasta powiatowego Kireńska, gdzieśmy zabawili dwa dni, musieliśmy bowiem kupić łódź większą, mocno zbudowaną, która miała już nam służyć do końca podróży po Lenie, więc przypuszczalnie, aż do 70½ stopnia szerokości keograficznej. Mając teraz statek własny, większy od łodzi pocztowej, dokupiliśmy w Kireńsku pewną ilość zapasów, koniecznych dla dalszej podróży, przez co ładunek nasz cały ważył już obecnie 100 pudów. Urządziliśmy się na naszej łodzi, zwanej „Diesiatierykiem“, tak wygodnie, jak tylko przy warunkach tamtejszych było możebnem. W Kireńsku Lena jest już rzeką majestatyczną, płynie wartko,

a ponieważ spiesznie nam było, więc płynęliśmy we dnie i w nocy i po 14 dniach od daty naszego wyjazdu, mieliśmy już 2.848 wiorst za sobą.

Pierwszego czerwca stanęliśmy o godzinie 10 wieczorem w Jakucku. Pomimo późnej pory dnia, gdyśmy tam przybyli, trwały w porcie roboty, bo słońce nie było się jeszcze skryło na zachodnim horyzoncie miasta.

Jakuck leży na lewym brzegu rzeki Leny, nad jej odnogą, zwaną Chatyn-tus. Miastu, o którem mowa, a zresztą i całej prowincji jakuckiej przypadł w udziale los, może i szczęśliwy, odegrania ważnej roli w procesie podbojów kolejnych, uskuteczniaanych przez kozactwo rosyjskie w Azji północnej. W trakcie tych podbojów, trwających prawie półtora stulecia, służył Jakuck za punkt centralny dla władz, rządzących wschodnio-północną Syberją i Kamczatką. Czynność taka trwała aż do czasu, kiedy nareszcie dokonaną została aneksja krajów, położonych z lewej strony rzeki Amuru i z prawej strony rzeki Ussuri. Przez Jakuck wiódł gościniec główny, łączący metropolję z nad Angary z wybrzeżem morza Ochockiego, mianowicie z jego przystaniami w Ochocku, Giżygińsku, Tigilu, Bolszerecku, a także i w Pietropawłowsku, położonym u zatoki Awaczyńskiej morza Berynga.

Wszystkie transporty rządowe i prywatne, ekspedjowane były tą drogą. Sam prowiant, dostarczany co roku dla urzędników, dla wojska, konsystującego w Ochocku, na Kamczatce i w innych miejscowościach, bardziej jeszcze na północ wysuniętych, w Anadyrsku n. p.,

wynosił około 34.000 pudów wagi. Dla przewiezienia całego tedy ciężaru potrzeba było co najmniej 10.000 koni jucznych, dróg albowiem, bądź kołowych, bądź sannych, dogodnych dla koni, nie było tam nigdy, a i dotąd jeszcze tam ich niema wcale. Ilość przedmiotów przewożonych rok-rocznie wzmagała się znacznie w tych wypadkach, gdy w Ochocku, lub też na Kamczatce ekwipowano ekspedycje naukowe, albo wojenne, lub też kupieckie. Tak n. p. obie ekspedycje Berynga, rezultatem których było odkrycie wysp Komandorskich i Aleuckich, wymagały olbrzymich sił przewozowych. Obok transportów rządowych wyprawiano także tędy i prywatne: osławiona kompanja kupiecka, zwana rosyjsko-amerykańską, w której rękach spoczywał przez czas długi monopol handlowy w obrębie całych posiadłości rosyjsko-amerykańskich i na wyspach Aleuckich, brała pod swój towar 3.000 koni, nareszcie wyprawy naukowe i wojenne, wysyłane na północ, nie mijały prawie nigdy Jakucka; wymienię tu jedną z nich tylko, mianowicie ową wyprawę Adams'a, mającą na celu przewiezienia do Petersburga kości Mammuta, znalezionego u ujścia Leny, w stanie prawie świeżego trupa, szerścią jeszcze pokrytego, przechowanego przez całe lat tysiące w zmarzłych pokładach iłów północnych.

Wszystkie dopiero co wspomniane transporty, wszystkie ekspedycje, wysyłane przez rząd i przez ludzi prywatnych, padały całym swoim ciężarem na barki ludności jakuckiej i na nieszczęśliwe ich tabuny. Kronikarze ówcześni opowiadają, że konie ginęły setkami podczas tych wypraw, a głównie z powodu, że nie-

mogły znaleźć one po drodze paszy dostatecznej, „podnożnej“, bo o przygotowaniu dla nich karmi mowy być nie mogło. Trupy zdechłych koni wzdłuż traktu zapowietrzały niekiedy całe okolice i zatruwały wody, tak, że wysyłać musiano umyślnie oddziały kozaków i ludzi roboczych dla uprzątnięcia trupów z przystanków i miejsc noclegowych; ale i ludziom nie o wiele lepiej się działo podówczas: ospa, szkarlatyna i syphilis dziesiątkowały ich nieustannie.

Za to życie w mieście i jego okolicach, biło wtedy tętnem przyśpieszonem, zaś kraj cały przeżywał epokę działalności gorączkowej. Wśród tych okoliczności, zabójczych dla innych plemion, mężniał wszakże naród Jakutów i wyszedł z próby, prawdziwie ogniowej, silny i zwycięzki.

Od roku 1807, t. j. od daty, kiedy statek rosyjski „Djana“ zawitał do Ochocka, wiozący prowiant z Europy, drogą „do koła świata“ (Krugom świeta), słabnąć zaczęło życie w Jakucku, zaś z chwilą, gdy Amur, wcielony został do posiadłości państwa rosyjskiego i gdy na wybrzeżu morza Mandżurskiego, w nowo nabytych krajach powstały przystanie nowe, mianowicie Mikołajewsk u ujścia Amuru, De Castri, Władywastok, Possjet. etc. Jakuck utracił raptownie znaczenie pierwotne i zeszedł na stopień zwykłego, głuchego miasta prowincjonalnego, jakkolwiek rezyduje tam gubernator. Jeżeli ludność Jakutów nie zmarniała, nie wyginęła wskutek chorób zakaźnych, nie zeszła na poziom nędzarzy, jakiemi są obecnie mieszkańcy innych dzielnic Syberji północnej, jeżeli przeciwnie widzimy, że się wzmogła li-

czebnie, wykazując już dzisiaj 250.000 osób płci obojej, że się podniosła ekonomicznie i kulturalnie na wyżyny, niedoścignięte przez sąsiadów zachodnich i wschodnich, jeżeli dalej potrafiła ta ludność z pasterzy tabunów końskich, zmienić się na hodowców bydła rogatego, a następnie przekształcić się zdołała powoli w rolników i to pomimo nieprzyjaznych warunków klimatycznych północy surowej, jeżeli dzisiaj posiada 243.000 sztuk bydła, 231.000 koni, zbiera siana w ilości co najmniej 4,000.000 pudów i produkuje 256 000 pudów zboża corocznie, to zważywszy okoliczności wskazane, przyznać będziemy musieli Jakutom żywotność niezwykłą, hart ducha niepospolity, nadto zdolność wielką przystosowywania się do warunków otoczenia i wyzyskiwania stosunków, pozornie najnieprzyjaźniejszych, na swoją korzyść. Takich przymiotów niestety, nie posiadają inne plemiona Azji północnej.

Akademik Middendorff porównał Tunguzów do Gallów i nazwał ich Francuzami północy, zaś Jakuci w jego oczach podobni są do Izraelitów europejskich, przytem wszakże oświadczył natychmiast, że jakkolwiek mają Jakuci z tymi ostatnimi cechy wspólne, lecz wykazują też i znaczne różnice. W istocie rzeczy Jakuci mają z żydami jedną wspólną cechę, mianowicie namiętność kupczenia, przytem lubią wyzyskiwać niedoświadczonych i nieoględnych, reklamować swój towar i swoją bezinteresowność, a często także i oszukiwać łatwowiernych. Brak im jednak fanatyzmu religijnego i szowinizmu; nie wstydzą się oni swego pochodzenia, ale nie uważają siebie za plemię

wybrane; pracują fizycznie, nie upadają pod żadnym trudem, chociażby najcięższym; wierzą we własne siły i te cenią wyżej, niż siłę pieniężną, umieją się obyć bez cudzej pomocy, są mężni, śmiali, przedsiębiorczy, ale, niestety, są mało rachunkowi, lubią gry hazardowe i czują namiętny pociąg do napojów gorących. Przy bliższem zetknięciu się z Jakutami, Europejczyk odbiera zwykle wrażenia dodatnie, oni, gościnnością swoją, inteligencją, oddaniem się szczerem obowiązkom, których się podjęli, towarzyskością i usposobieniem wesołem budzą sympatję ogólną.

Prawie wszystkie ekspedycje naukowe, wysyłane na północ, miały za przewodników Jakutów i jeżeli się udały, to w pierwszym rzędzie pomyślny rezultat wyprawy im zawdzięczyć wypada.

Wygląd Jakutów jest o wiele przyjemniejszy, niż wygląd osób, należących do innych plemion Azji północnej, bo nawet i te typy z pomiędzy nich, które zdradzają znaczną domieszkę krwi mongolskiej, wydają się tutaj uszlachetnionymi pod wpływem działalności cech rasy jakuckiej, spokrewnionej jakoby w dalekiej przeszłości z Tatarami i Kirgizami. Wogóle biorąc. Jakuci nie przedstawiają typu jednolitego, wszakże bacząc na siłę dziedziczności rasowej, właściwej Jakutom, przypuścić wypada, że przy dłużej trwającej wsobności, zatrzeć się w nich zdołają obce charaktery fizyczne i że wytworzy się z czasem typ jeden, wspólny, wielce sympatyczny. Kilka kopji ze zdjęć fotograficznych, dołączonych do niniejszej relacji,

unaocznić potrafią ogólną postać fizyczną Jakutów.

Naród, o którym tu mowa, posiada w wysokiej mierze rozwiniętą siłę atrakcyjną i asy-



Typy Jakutek (kopja z fotografji Obruczewa.)

milacyjną, tej sile oprzeć się nie mogą nawet plemiona, stojące na wyższym stopniu kultury, tak np. Rosjanie sami „jakucieją", przyjmują po pewnym czasie pobytu wśród Jakutów,

ich język i ich zwyczaje, a nawet przyswajają sobie ich poglądy i wierzenia.



Typy Jakutów (kopja z fotografji Obruczewa).

O Jakutach pisano bardzo wiele, język ich został naukowo opracowany przez akademika Bettling'a, zwyczaje i wierzenia Jakutów, jak-

kolwiek są oni nominalnie już od dawna chrześcianami, spisane były wielokrotnie, a jednak daleką jest jeszcze nauka od dokładnego poznania tego, ze wszech miar podziwienia godnego narodu. W ostatnich czasach (1896 r.) wydał o Jakutach większą samodzielną pracę, w języku rosyjskim napisaną, rodak nasz, znany powieściopisarz W. Sieroszewski. Dzieło jego przyjęte zostało przez uczonych rosyjskich z wielkiem i słusznem uznaniem i odznaczone medalem złotym. Autor w swej pracy przedstawił umiejętnie, barwnie i zajmująco obfity materjał, własną obserwacją nagromadzony. Dar spostrzegawczy niezwykły łączy się tutaj z głębokiemi studjami, kojarząc się nadto z uczuciem sympatji ku ludności, wśród której bawił autor szereg lat niewłasnowolnie, odbywając z Jakutami dalekie i nużące podróże.

Podczas naszej wyprawy mieliśmy głównie z Jakutami do czynienia, oni byli naszymi towarzyszami i przewodnikami, obcując ciągle z nimi, wynieśliśmy przekonanie, że pochwały, których nie szczędzono Jakutom, nie są przesadnemi.

Jakuck, pomimo że nosi miano miasta gubernjalnego, że jest stolicą olbrzymiego kraju, że następnie jest siedzibą władz przeróżnych i gubernatora, wywarł na mnie jednak wrażenie małej i do tego nędznej mieściny, mającej zaledwie kilkaset domów i domków, a i to wespół z jurtami jakuckiemi. Mieszkańców liczono podówczas 6.000, trzecią ich część stanowili Jakuci. Jurty tych ostatnich, jakkolwiek budowane podług dwóch typów różnych, mianowicie według typu rosyjskiego i jaku-

ckiego*), mają, ogólnie biorąc, wygląd jednaki, są to bowiem niskie chałupki, o dachach słabopochyłych na dwie strony, pokrytych ziemią i gliną, o oknach wąskich, zasłonionych latem siatką z włosa końskiego, a na zimę bryłą lodu. Obecność takich zabudowań, stojących tuż przy innych na przedmieściach Jakucka, nadaje całości pozór oryginalny. Tu widzimy, jak się zespala miasto ze wsią, zaś kultura europejska z kulturą azjatycką, bez żadnych widocznych ogniw pośrednich. W mieście samem nie wiele co pozostało z pamiątek dawnych, widzieliśmy tylko wał ochronny ziemny i ruiny drewnianej warowni kozackiej. Z zakładów naukowych posiadał Jakuck w ową porę seminarjum duchowne prawosławne, szkołę realną, do której uczęszczały także dzieci Jakutów i szkółkę elementarną. W dziedzińcu szkoły realnej mieści się owa sławna w świecie naukowem, a dotąd jedyna na kuli ziemskiej, studnia, wykuta w przemarzłej na wskroś ziemi, na głębokość, wynoszącą 383 stopy angielskie. W roku 1832 głębokość studni rzeczonej mierzyła zaledwie 50′ ang., na dnie jej badał wtedy prof. Ermann temperaturę ziemi i znalazł ją równą —6°R. W późniejszych czasach, przy głębokości obecnej, uskutecznił akademik Middendorff szereg badań systematycznych nad ciepłotą ujemną zmarzłej ziemi Jakucka i doszedł do niezmiernie interesujących wyników.

*) Jurty typu pierwszego mają budulec ścienny, ułożony w zrąb poziomy; przeciwnie jurty typu drugiego mają budulec ścienny, ustawiony pionowo, albo nieco skośnie do podstawy budynku.

Z nich tu kilka szczegółów przytoczę, a mianowicie te, na które zwracał uwagę swoją Czekanowski, podczas bytności w Jakucku.

Studnia, o której mowa, zwana pospolicie „szachtem Szergina“ (Szerginskaja szachta) przedstawia w bocznych ścianach swoich temperaturę, zwiększającą się w głąb ziemi w stosunkach następujących: przy głębokości 7′ temperatura wynosi — 9° R.; przy głęb. 20′ — 8° R.: przy głęb. 50′ — $6^1/_2$ R.; przy głęb. 100′ — $5^1/_4$° R.; przy głęb. 200′ — 4° R.; przy głęb. 300′ — 3° R.; przy głęb. 382′ — $2^1/_2$° R. Na podstawie badań Middendorffa obliczył sławny geograf Peters punkt, położony pod powierzchnią ziemi w Jakucku, w którym termometr pokazywałby zero na skali swojej; punkt ten ma się znajdować na głębokości 600′ pod powierzchnią gleby. Taka masa ziemi, stale zmarzniętej, stanowi silny kontrast z tą roślinnością bujną, jaką tam widzimy dookoła, z tymi potężnymi lasami Jakucka, i z uprawą różnych zbóż, dokonywaną na wiecznie zmarzłem podłożu.

W Jakucku upłynęło nam dni kilka, zanim przygotowania do dalszej podróży ukończone zostały. Z racji tej, że na północ od miasta niema urządzeń pocztowych, musieliśmy nająć stałych wioslarzy i sternika, a dla celów bezpieczeństwa trzeba nam było uzyskać od władzy miejscowej przewodnika, kozaka, mającego nam towarzyszyć w ciągu całej podróży na północ od Jakucka. W taki sposób, przy obecności kozaka, wyprawa nasza nabierała w oczach tubylców znaczenia urzędowego.

Gubernator ówczesny W. P. de Witte przyjął Czekanowskiego z życzliwością szczerą i zrobił ze swej strony wszystko, co było w jego mocy, ażeby ułatwić naszą podróż dalszą. Dano nam za przewodnika kozaka „Balszowa“, pozostającego na służbie w wojsku kozackiem miejscowem; znał on doskonale język jakucki, a zarazem znał i ludność, zamieszkałą na północy; polecono nam następnie na sternika Jakuta, starego Pawła, doświadczonego żeglarza, który już przeszło lat dwadzieścia spławiał statki na ujście Leny. Obok zabiegów około wynajęcia ludzi, musieliśmy jeszcze łożyć starania celem uskutecznienia różnych przysposobień na naszej łodzi, trzeba nam było mianowicie sporządzić i ustawić stół na mocnych fundamentach, dogodny dla zajęć kartograficznych, mierniczych; wznieść nad nim daszek, chroniący od deszczu i słońca, urządzić małe obserwatorjum meteorologiczne, ulokować palenisko do suszenia bibuły i roślin, a także piecyk na kuchnię itd., zresztą licząc na to, że może się nam uda dotrzeć na łodzi daleko na północ, musieliśmy się troszczyć o to, ażeby statek nasz mógł stawić czoło niebezpiecznym. falom olbrzymiej rzeki, a nadto, by miał w zapasie wszystkie potrzebne nautyczne przyrządy

W trakcie robót na naszej łodzi, Aleksander Czekanowski miał czas wolny i zwiedzał pilnie okolice Jakucka w celach naukowych. Piątego czerwca wyruszył w towarzystwie naczelnika powiatu do wsi, „Marchą“ zwanej, oddalonej o jakie 20 wiorst od miasta i zamieszkałej przez zesłanych (przeważnie z Rosji europejskiej pochodzących sektantów) „Skop-

ców". Podczas tej wycieczki zamierzał Aleksander Czekanowski obejrzeć „wzorowe" gospodarstwa rolne okolic Jakucka, albowiem „Skopcy" i „Starowiercy", ci ostatni również zsyłani na mieszkanie do kraju jakuckiego, słynęli wówczas za wzorowych pionierów w zakresie rolnictwa, pszczelnictwa, ogrodownictwa i hodowli owiec. Czekanowski, wróciwszy z tej wycieczki oświadczył, że był zdumiony wysiłkami pracy ludzkiej, dokonanej na dalekiej północy, na terenie „wiecznie zmarzłej ziemi". W roku 1875 sama wieś „Marcha" obsiewała kilka tysięcy morgów roli, uprawianej przy pomocy najemnych Jakutów, którzy uchodzili już wtedy za zdolnych i pracowitych rolników.

Bogatsi gospodarze z pomiędzy „Skopców" zaczęli nawet już byli hodować owce, wprowadzać lepsze rasy koni, a nareszcie poczynili próby hodowania pszczół, nie zważając na zimę, trwającą 8 miesięcy. Ale rok 1875 zawiódł nadzieje pszczelarzy, gdyż dopiero 5. czerwca star. st., akurat w czasie pobytu tam na wsi Czekanowskiego, wyniesiono po raz pierwszy ule na świeże powietrze, zaś do tego czasu przechowywano je w osobnych zabudowaniach, gdzie karmiono pszczoły miodem, sprowadzanym aż z gubernji tomskiej w zachodniej Syberji. To niepowodzenie jednak nie zniechęciło mieszkańców „Marchy", uznali oni rok rzeczony za wyjątkowo chłodny, a powoływali się na to, że w innych latach przymrozki nie mają miejsca w początkach czerwca, zaś Lena oczyszcza się już z lodów przed 13. maja, gdy rzeczonego roku wyjątkowo tylko

lody puściły w Jakucku dopiero 18. maja star. st.*).

W ciągu podróży naszej do Jakucka i w czasie pobytu w tem mieście, Czekanowski odzyskał siły i zdrowie, był wesół, pełen nadziei i wiary w pomyślny rezultat naszej wyprawy, a gdy ludzie doświadczeni, do których należeli też i nasi nowi towarzysze, oświadczyli najbardziej stanowczo, że nawet przy wa unkach najgorszych powinniśmy przybyć do Bułuna nie później, jak na pierwszego lipca st. st., to radość Aleksandra była wielką, mielibyśmy bowiem w taki sposób dosyć czasu przed sobą, ażeby módz wykonać wszystko, cośmy zamierzali uczynić, tak dobrze w dolinie Leny, jak i na Oleneku. Jasne i piękne dni czerwcowe działały ze swej strony dodatnio na nasze usposobienie moralne, to też z sercem pełnem wesela opuściliśmy Jakuck 7. czerwca o godzinie 4. popołudniu. Lena na północ od miasta jest już rzeką olbrzymią, jej szerokość w miejscach, wolnych od wysp, wynosi około trzech wiorst, a przy ujściach dopływów: Ałdanu i Wiluja, szerokość jej ma nawet dosięgać 30-tu wiorst. Wody rzeki w tych okolicach są podobne do morza. Lewy brzeg, przy którym płyniemy przeważnie, jest niski i w pewnej odległości od wody pokryty lasem; prawego brzegu nie widać wcale, natomiast daleko na horyzoncie wschodnim szarzeją góry Wierchojańskie.

*) Termin puszczania lodów przy ujściu Leny oznaczają na dzień 10. czerwca. Rzeka staje około Jakucka w połowie października, a przy ujściu do morza pod koniec września.

Pasmo gór wymienionych zbliża się ku rzece, na przestrzeni pomiędzy ujściami Ałdanu i Wiluja i przyczynia się znacznie do urozmaicenia widoków kraju, zkądinąd posępnego i nużącego oko podróżnika swoją jednostajnością smutną. Parę dni pierwszych, mianowicie do 10. czerwca mieliśmy pogodę jasną i cichą, zajęcia kartograficzne na łodzi, zbiory botaniczne i zoologiczne, dokonywane po brzegu, odbywały się pomyślnie, atoli od daty wspomnianej zaczęły nas prześladować wiatry przeciwne, północno-zachodnie. W miarę posuwania się na północ, wzmagały się one potężnie, tamowały bieg rzeki, podnosiły fale wysokie, które zalewały łódź naszą i zmuszały ostatecznie do szukania schronienia przy ujściach rzeczek. Codziennie po długich wysiłkach całej naszej załogi, musieliśmy, chcąc nie chcąc, zawracać do brzegu, wyczerpani z sił i przemokli.

Minąwszy ujście Ałdanu, rzeka zwraca się na północno-zachód i dopiero przy ujściu Wiluja odzyskuje swój pierwotny kierunek. Dalej na północ dolina się rozszerza, a góry znikają zupełnie; wiatry, bujając swobodnie po tych nizinach obszernych, przybierały na sile i stanowiły, przynajmniej dla nas, przeszkodę nie do zwalczenia, wobec naszych środków ówczesnych. Próżnymi okazywały się też nasze wysiłki, a wszystkie próby bezskutecznemi; całe więc dni spędzać musieliśmy w ukryciu, zajęci co najwięcej zbiorami botanicznymi i zoologicznymi. Nadzieje nasze, że zdołamy dopłynąć do ujścia Leny, prędko się rozwiały; już teraz ma-

rzyliśmy tylko o tem, ażeby dotrzeć do Bułuna przynajmniej.

Z powodu niezmiernie silnego wiatru północno-zachodniego, musieliśmy spędzić dwa dni (24. i 25. czerwca) przy ujściu małej rzeczki Czeremej, w pobliżu góry Czeremej-Chaja, tu po raz pierwszy, licząc od daty wyjazdu z Jakucka, zebrane były okazy skamielin roślinnych; one też rozjaśniły na chwilę zachmurzone czoło Aleksandra Czekanowskiego. Dzień 26. czerwca był dla nas pomyślny, płynęliśmy bez przeszkody wśród miejscowości, już nieco górzystej, ale 27. czerwca wiatr silny zatrzymał nas ponownie przy rzeczce i skale, noszących obie jedno miano „Bachanaj“. Wprost naprzeciw skały wynurza się z łona rzeki Leny wysepka skalista o stokach poszarpanych i stromych. robi ona wrażenie takie, jak gdyby była siłą gwałtowną a potężną oderwana od Bachanaja; wysepkę tę nazywają „Agrafieną“; pomiędzy nią a skałą nadbrzeżną prąd wody jest niezmiernie silny, fale, odbite od Bachanaju pędzą, zataczając wiry koliste i głębokie ku stopom ostro kamiennym Agrafieny. Szumi rzeka w tej cieśninie, pieni się, miota i przebiega skośnie parę razy wpoprzek łożyska swego, zanim się dostanie na szersze miejsce.

Cieśnina rzeczona jest niebezpieczna nawet dla większych statków, opowiadano nam też o wielu wypadkach nieszczęśliwych, a fantazja ludności jakuckiej przybrała to miejsce w szatę poetyczną legendy następującej: „Kiedyś, przed wielu laty, żyć miała w pobliżu Leny para kochających się małżonków. Byli

nimi „szaman“ Bachanaj i niewiasta, której przy chrzcie nadano imię Agrafieny. Nowoochrzczona porzuciła męża bałwochwalcę i popłynęła w świat daleki, pozostawiając go samemu sobie. Po pewnym jednak czasie Agrafiena tęsknić zaczęła po Bachanaju, uczucia miłości przemogły w niej wszystkie inne i postanowiła wrócić do opuszczonego. Płynęła więc w łodzi po rzece i była już blizką od miejsca gdzie przebywał, gdy nagle za sprawą duchów przemienioną została w skałę potężną, stojącą wśród fali rzecznej. Przeobrażenie to niespodziewane nastąpiło w chwili, kiedy Bachanaj, spostrzegłszy wracającą, wyszedł na jej spotkanie. Stał on na brzegu, z wyciągniętemi przed siebie ramionami, chcąc pochwycić ukochaną w swoje objęcia; widząc atoli, co się stało, oniemiał z rozpaczy i z bolu wielkiego skamieniał, zamieniając się w głaz nadbrzeżny. Od tej daty kochankowie, rozdzieleni nurtami rzeki, nawet i po śmierci prowadzą nieustanną ze sobą rozmowę, wyrażając uczucia swoje wód jękiem, szumem i rykiem. Tych zwierzeń miłośnych skamieniałej pary, tych ich głosów boleści i rozpaczy nie powinni lekkomyślnie mącić podróżni, płynący po rzece, lecz przeciwnie mijać mają to miejsce niebezpieczne w skupieniu nabożnem, w cichości największej, w nastroju uroczystym, bo inaczej zemsta duchów ich nie minie“. Taką opowieść słyszeliśmy z ust naszego sternika, gdyśmy się gotowali do drogi.

Zrana 28. czerwca wiatr ucichł, pogoda była jasna i piękna, spieszyliśmy się więc z odjazdem. Łódź nasza odbiła od brzegu,

i w chwili, gdyśmy się kierowali ku cieśninie groźnej, noszącej miano Bachanaja i Agrafieny, sternik nasz Paweł, wydobył z ukrycia, w tajemnicy przed nami chowaną, miniaturową łódeczkę z masztem i z żaglem, z wiosłami i wioślarzami, ze sternikiem i sterem, wyrobioną misternie z drzewa i kory brzozowej, napełnił ją pospiesznie darami ofiarnymi, zawczasu przygotowanymi i przywiezionymi z Jakucka; dary te, duchom miłe, składały się z cukru, cukierków groszowych („kanfietki“), okruchów sucharów i ryby suszonej („Jukała“), z okrawków sukna i skóry. Przeżegnawszy to wszystko znakiem tajemniczym i szepcąc modlitwę, puścił Paweł ładunek na wodę, w miejscu, gdzie prąd pędził ku skalistej wysepce. Czółenko, porwane wirem, pognało szybko naprzód, aż się znalazło u stóp kamiennej Agrafieny, tutaj przewróciło się raptownie, składając dary wiezione, co zdaniem sternika oznaczać miało, że ofiara łaskawie przyjętą została, a więc, że nam już teraz nie grozi żadne niebezpieczeństwo; jakoż bez zwłoki zwrócono łódź naszą ku czeluści cieśniny, i wśród milczenia uroczystego, kierowani wprawną ręką sternika, przebyliśmy pędem gwałtownym i w podskokach targanej wirami łodzi, to miejsce złowrogie.

Po szczęśliwie dokonanej przeprawie przez cieśninę Bachanaju, nie długo cieszyliśmy się pogodą pomyślną, w kilka już bowiem godzin później zmuszeni byliśmy uciekać przed burzą i szukać bezpiecznego schronienia w małej zatoce u ujścia rzeczki Naszym, gdzie wiatry nas zatrzymały kilka dni z rzędu. Podczas takich

przymusowych wyczekiwań na pogodę, zajęcia nasze ograniczały się z konieczności do prac kolektorskich i meteorologicznych. Tutaj, np. w dolinie Naszymskiej, znajdywaliśmy w szczelinach skał popękanych dosyć liczne okazy owadów, mianowicie błonkoskrzydłych. Z pomiędzy nich niektóre gatunki odznaczały się pięknością swego zabarwienia metalicznego.

Niepokój o los wyprawy naszej trapił niezmiernie Czekanowskiego i wpływał bardzo niekorzystnie na stan jego zdrowia. Brak snu i apetytu, rozdrażnienie nerwowe i gorączka zdradzały silne cierpienia moralne, chwilami nawet rozpacz go ogarniała. Szukając wyjścia z tego, nad wyraz przykrego położenia, postanowił, nie zważając na grożące niebezpieczeństwo puścić się w dalszą podróż, nawet przy silnym wietrze. Zamiar ten, aczkolwiek ryzykowny, był jednak konieczny, to też zgodziliśmy się wszyscy na projekt jego bez żadnych opozycji, i 30 czerwca, pomimo bardzo silnego wiatru i fali ogromnej wystąpiliśmy do boju z żywiołami wrogimi, biorąc za hasło: „naprzód.“ Do Żygańska liczą od ujścia rzeczki, gdzieśmy się schronili przed burzą, wiorst zaledwie kilkanaście, zdecydowano tedy, ażeby nie odpoczywać, aż staniemy na miejscu. Tam zaś mieliśmy porzucić łódź i już dalszą drogę odbywać na reniferach.

W okolicach Żygańska brzegi Leny są skaliste, poszarpane i nie łatwo przystępne, stają się one wielce niebezpiecznemi wtedy, gdy wody rzeki, pędzone wiatrami wdzierają się na nie bezustannie. Rzeka Lena ma tutaj 13 wiorst szerokości i wygląda w czas niepo-

gody i wiatrów jak wzburzone morze, fale jej biją gwałtownie o skaliste, bryłami kamiennemi wysłane wybrzeże i wyrzucają do góry istne fontanny spienionej wody. Huk i łomot, do ryku grzmotów podobne, ogłuszają formalnie; a powstają one wskutek rzucania, tarzania i tarcia brył skalistych, mocą olbrzymią napierających wód.

Nie mając dostatecznych sił wioślarskich na to, ażeby módz płynąć przeciwko wiatrom i pod fale, uradzono wysłać na brzeg wioślarzy naszych, by nas holowali, wdzierając się i wspinając po urwistych skałach nadbrzeżnych; my zaś sami, przy pomocy sternika, uzbrojeni w długie drągi, okute żelazem na końcach, bierzemy na siebie obowiązek ochraniania łodzi, miotanej falami, od uderzeń o skały i kamienie podwodne, nareszcie kozak ma polecenie wyczerpywania wody ze statku, zalewanego ciągle rozbijającemi się o niego falami. Po wydanych rozporządzeniach, po krótkiej a szczerej modlitwie sternika, załoga nasza znakiem krzyża świętego zbroi pierś swoją, do walki gotową i staje do pracy, którą śmiało nazwać można nadludzką.

W chwili, gdy idący po brzegu i ciągnący za linę, uwiązaną do masztu łodzi, wparli nas gwałtownie w zamęt chaotyczny wirów nadbrzeżnych, zdawało się nam na razie, że łódź zgruchotaną zostanie: podrzucana do góry, przewalana z boku na bok, trącana o bryły kamieni, drżała, skrzypiała, gięła się cała, a my, cośmy ją mieli chronić od uderzeń, nie mogliśmy się sami utrzymać na nogach. Chwila jednak krytyczna przeszła szczęśliwie, łódź oca-

lała. Ochłonąwszy z przerażenia chwilowego, przywykamy powoli do zajęć i pracujemy przy największem możebnem natężeniu sił, bez wytchnienia, bez przerwy. Po dziewięciu godzinach wysiłków niezwykłych ze strony wszystkich członków naszej wyprawy, mając poranione ręce, nogi, przemokli wszyscy do nitki, wyczerpani kompletnie i prawie mdlejący, dostajemy się nareszcie o trzeciej godzinie po północy do ujścia rzeki Żyganki, inaczej Strekałówką zwanej.

Na prawym brzegu tej rzeczki, z poza wzgórza błysnął nam, jako symbol zbawienia, złocony krzyż kapliczki miejscowej, rozpościerający swoje ramiona nad walącymi się domkami, byłego miasta powiatowego — Żygańska.

Po przeniesieniu zarządu powiatowego do Wierzchojańska, Żygańsk wyludnił się zupełnie. Domki opustoszone świecą ruiną i robią smutne wrażenie. W czasie naszego przybycia, z mieszkańców Jakutów nie było nikogo; zastaliśmy tylko popa, Rosjanina, Mikołaja Tietinkowa, djaka Samojeda, wdowca bezdzietnego i Tunguza z rodziną nieletnią. Po za temi osobami nikogo więcej nie było w Żygańsku. Żona popa i jego córka bawiły pod tę porę w Jakucku, dokąd się były wybrały w celu „szukania tam losu“. (Iskat' sud'bu“). Zwyczajem jest bowiem powszechnie przyjętym w rodzinach tutejszych duchownych prawosławnych, że wywożą co roku do Jakucka, ze wszystkich kątów prowincji, dorosłe córy swoje, ażeby je tam wydawać za mąż, za młodych seminarzystów, mających ukończone studja i gotujących się do

wyświęcenia, które nastąpić może dopiero po ożenieniu.

Wobec smutnej dla nas okoliczności, żeśmy nie znaleźli w Żygańsku nikogo z mieszkańców, projekt dostania przewodników i reniferów upaść musiał sam przez się. Na razie więc nie pozostawało nam nic więcej nad to, jak płynąć dalej na łodzi. To też zabrawszy ze sobą jedynego zdolnego do pracy człowieka w Zygańsku, Tunguza, po dwudniowym, przymusowym tam pobycie zatrzymani nowymi, silnymi wiatrami, wyruszyliśmy nareszcie w dalszą podróż dopiero 3. lipca, przy dość silnym wietrze północno-wschodnim; wiatr ten jednak po niejakimś czasie wzmógł się do tego stopnia, że zmusił nas szukać schronienia w zatoce, utworzonej przy ujściu rzeczki Tunguz-atyr. Rzeczka, o której mowa, jest to rodzaj strumyka górskiego, sączącego swe wody po wązkiem łożysku, wśród wysokich i malowniczych skał nadbrzeżnych; te ostatnie składają się z pokładów szarego piaskowca i łupków, pomiędzy pokładami piaskowca szarego występują w wielu miejscach warstwy żółtego piaskowca, bardzo twardego, w nich znalazł Czekanowski liczne skamieliny zwierzęce, mianowicie mięczaki różne, szczególniej zaś Ammonity, Belemnity, Ceratity, a nadto nieco dalej od ujścia znalazł kości wielkich kręgowców. Zajęcie przy rozbijaniu skał łomami, młotami i oskardami żelaznemi, następnie wykuwanie pojedynczych okazów dłutami z niezmiernie twardej opoki, połączone było z niemałym trudem, któremu się gorliwie oddawał Czekanowski. Zajęty tą pracą zdawał się na chwilę zapomi-

nać o dotychczasowych trudach i o obecnem naszem, niewesołem położeniu. Wzgórza dosyć wysokie, okalające z obu stron wązką dolinę Tunguz-atyru, wytwarzają szeregi bocznych, zacisznych, niekiedy nawet malowniczych dolin, tutaj znaleźliśmy obfitą florę. Rośliny pokryte były kwieciem i wabiły ku sobie roje owadów, stąd też zbiory nasze botaniczne i entomologiczne wzbogacone zostały pięknymi okazami.

Ale gdyśmy tak zajęci byli zbiorami, burza szalała wciąż na rzece i gotowała nam niespodziankę, wielce nieprzyjemną: mianowicie fale, pędzone wiatrem północno-wschodnim, zarzuciły ujście rzeczki bryłami kamieni, piaskiem i żwirem, a to w ten sposób, że się utworzyła ława jednociągła na wybrzeżu, nad którą się wznosił od strony lądu wał, wysoki na kilka metrów. Nasyp ten wysoki odciął łódź naszą od komunikacji z rzeką i uwięził ją w jeziorku, które się uformowało z zatoki. Chcąc wydostać się z niewoli mieliśmy dwie drogi przed sobą, albo przekopać kanał aż do rzeki wzdłuż zasypanego obecnie, długiego ujścia, albo przeciągnąć łódź po przez wał i ławicę. Próby poczynione z naszej strony w obu kierunkach wykazały, że sami bez obcej pomocy z tej matni, zgotowanej przez nawalnicę, trwającą dni kilka, wydostać się nie będziemy mogli. Ale gdzie i kogo prosić o pomoc? Tunguz oświadczył nam, że na niedalekim przylądku, zwanym Choronko, powinni się teraz znajdować rybacy Jakuci; postanowiliśmy więc wysłać gońca do nich z prośbą o ratunek. Jakoż na szczęście, posłaniec znalazł rybaków i ośmiu

z nich przybyło nazajutrz do nas, teraz dopiero pracując wspólnemi siłami zdołaliśmy łódź opróżnioną z ładunku, przeciągnąć na wałkach drewnianych po przez zapory kamienne i już wieczorem 7. lipca dostaliśmy się znowu na rzekę.

Płynęliśmy w dalszym ciągu bardzo powoli, ale przynajmniej teraz bez żadnych cięższych przepraw. Po kilku dniach podróży, odbytej wśród niezwykłego dla nas ożywienia, bośmy spotykali w wielu miejscach grupy Jakutów, zajętych rybołówstwem, spostrzegł Czekanowski, nie daleko od ujścia rzeki Muna na płaskim, obszernym przylądku, zwanym Czepczuga, wielką bryłę kamienną, zaniesioną tu widocznie lodami wiosennymi z dalekich jakichś okolic. Bryła ta wyglądała jak obelisk wśród piaszczystej niziny; przy bliższem jej zbadaniu okazała się prawie cała złożona ze skamielin zwierzęcych, spojonych rozsypującym się piaskowcem. Zwiedzając następnie dolinę Busistach, w pobliżu osady Jakuckiej Siktiach położonej, znaleźliśmy na brzegach rzeczki śliczne gatunki szczypic (Carabus). Niektóre z nich miały złotawy rąbek i gwiaździste złote plamki na tle metalicznem ciemno-szafirowem pokryw skrzydłowych. W osadzie Siktioch mieszkańcy Jakuci byli nieobecni, pozostał w niej tylko przedstawiciel władzy miejscowej, 80 letni starzec, imieniem Nestor, naczelnik Chatylińskiego rodu jakuckiego. Przybył on do nas w pełnym mundurze, składającym się z czarnego „kaftana“ kroju rosyjskiego, galonem oszytego, z pasa srebrnego i zawieszonemi na nim dwoma dro-

bnemi szabelkami. Wszystkie te insygnja dostojeństwa były mu przysłane z „gubernji“ przy reskrypcie, zredagowanym po rosyjsku i po jakucku. Naczelnik okazał się bardzo uprzejmy, wysłał natychmiast gońca, sprowadzonego z poblizkiej stacji rybołównej, na leciutkiej, z kory brzozowej sporządzonej łódeczce, do Bułunu, gdzie się znajduje zarząd 2. Chatylińskiego rodu, a zarazem i całego ułusu Żygańskiego Goniec, mając za całą oznakę swego urzędu pióro łabędzie przy czapce, wiózł rozkaz ustny, ażeby natychmiast przygotowano w Bułuniu 20 reniferów i kilku przewodników, obowiązanych towarzyszyć nam na Olenek.

Mając już w taki sposób zapewnione środki do dalszej podróży, ze spokojniejszym umysłem i lżejszem sercem odbywaliśmy resztę drogi do Bułuna, dokąd przybyliśmy 27 lipca, w 50 dni po wyjeździe z Jakucka. Te 1800 wiorst drogi, cośmy w tej podróży ostatniej przebyli, dały się nam dobrze we znaki, ale teraz z jej ukończeniem zabłysła znowu nadzieja, że potrafimy jeszcze wykonać to, cośmy zamierzali; tą radośną nadzieją ożywieni, spieszyliśmy w drogę.

Miejscowość, zwana Bułunem, dokąd z taką niecierpliwością dążyliśmy od chwili wyjazdu naszego z Jakucka, jest to osada tubylcza, najdalej w dolinie Leny na północ wysunięta. Od niej do wybrzeży morskich liczą już tylko 180 wiorst odległości. Punktem bardzo ważnym jest ta osada dla podróżników, dążących w krainę północy, tutaj bowiem dostać oni mogą najłatwiej przewodników, znających dobrze tundry i rzeki polarne, a zarazem mieszkańcy dostarczyć są zawsze w stanie wszystkiego tego, co

jest konieczne dla ekspedycji północnych, nadto pobyt pomiędzy nimi uczy podróżników, jak się zachowywać mają wśród niewygód, wilgoci i zimna. Osada cała składa się z kilkunastu tylko jurt jakuckich, z ubogiego domku popa i małej kapliczki; wszystkie te zabudowania są rozrzucone w nieładzie u ujścia, szerokiej w tem miejscu i głębokiej rzeki „Ajakit“, wpadającej do Leny.

Mieszkańcy Bułuna zajmują się połowem ryb, polowaniem na psy morskie, na dzikie renifery i piesce, czyli lisy polarne, zwane po jakucku „kyrsa“. Po za temi zajęciami, gospodarstwo tubylców Jakutów jest zredukowane do możebnego minimum, jedynemi u nich zwierzętami domowemi są psy, używane do zaprzęgu; na nich odbywają Jakuci wszystkie wyprawy zimowe, myśliwskie i gospodarcze, a nawet przedsiębiorą często dalekie podróże, ale tylko w tych kierunkach, gdzie mogą znaleźć zapasy suszonej ryby, jukałą zwanej, albo też zapasy, w jamach przechowywanej gniłej ryby, zwanej „kisłaja ryba“: do takich zaś miejsc, gdzie niema żywności, latem już przygotowanej dla psów jeździć oni muszą na reniferach. Chów psów, zaprzęgowych w tak znacznej ilości, jak to ma miejsce w Bułuniu, wyklucza możność hodowania stad reniferowych w pobliżu, to też Jakuci trzymają je opodal od osady, lecz zresztą posiadają ich stosunkowo bardzo nie wiele. Reniferów używają latem pod wierzch, zimą zaprzęgają do nart.

Gdyśmy przybyli do Bułunu, opadły nas psy tamtejsze, trzymane latem i jesienią wolno, bez uwięzi. Cała zgraja, złożona z przeszło stu

kundlów, kosmatych, silnie zbudowanych, rzuciła się na naszą łódź, nie pozwalając wysiąść na ląd. Chcąc nas ochronić przed natarczywością rozzłoszczonych, na wpół dzikich zwierząt, musiano na nie wdziać obroże i trzymać na uwięzi, aż do naszego odjazdu. Mszcząc się za pozbawienie ich wolności, wyły przeraźliwie i czyniły pobyt w osadzie wielce nieprzyjemnym.

Nietylko mieszkańcy Bułuna, lecz wogóle wszyscy Jakuci północni są biedni, bo całe ich bogactwo stanowią skóry upolowanych piesców. Skórami temi płacą podatek rządowy, zwany „Jasak'iem“ i za nie kupują to wszystko, czego własną pracą zdobyć sobie nie mogą na miejscu; obok wartości handlowej, skóry pieśców mają jeszcze niezmiernie ważne znaczenie i dla samych tubylców, bez futra tych zwierząt obejść się oni nie mogą, podczas długiej zimy północnej. W handlu rozróżniają trzy odmiany lisów polarnych: białą, popielatą i niebieską, są to wszakże barwne tylko odmiany jednego gatunku właściwego: *Canis lagopus*. Skórkę białej odmiany, najpospolitszej, przyjęto ogólnie za jednostkę monetarną, mającą wartość 1 ½ rubla srebrem; za funt herbaty płaci się na północy dwie skórki lisie, za funt tytoniu prostego jedną skórkę, za skórkę pieśca popielatego 10 do 20 skórek białego, a następnie za skórkę pieśca niebieskiego 100 skórek białych, czyli licząc pieniędzmi, 150 rubli srebrem. Szczęśliwym się też czuje każdy Jakut, gdy zdoła upolować pieśca niebieskiego, bo jego futro jest chyba najdroższem i najpiękniejszem na ziemi; lecz nie tylko trudno jest zdobyć lisa polarnego o barwie niebieskiej, ale i nie łatwo opi-

sać wygląd jego futra, niema bowiem dwóch skórek zupełnie do siebie podobnych. Wogóle mówiąc, tło główne stanowi w tem futrze włos długi, gęsty, lśniący, ciemno popielaty, przechodzący albo w czerniawy kolor, albo w ciemno niebieskawy, czyli gołębi, jak nazywają Rosjanie, stąd też pochodzi nazwa rosyjska „Gałuboj piesiec“. Po polsku nazywają futro takich pieśców, niebieskiem, albo błękitnem. Po nad tłem głównem ciemnego futra wznoszą się włosy srebrzysto-lśniące, a skutkiem kontrastu dwóch barw i gry kolorów mieniących, szczególniej przy blasku słonecznym, powstają efekta świetlne nieporównane; to też dziwić się nie można, że skórki piesca niebieskiego cenią się tak wysoko i podobają się wszystkim i każdemu bez wyjątku. Futro białych pieśców o włosie długim, gęstym, lśniącym, srebrzysto-białym, jest w ogólnem użyciu na północy, cenione bywa nie dla piękności, lecz dla jego zalet wielkich. Szyją z tego futra całkowite ubrania, pończochy, spodnie, kaftany, kołdry, worki do spania i do podróży zimowych. Bez futra pieścowego nie jeden z podróżników byłby zmarzł na północy, a jeżeli wrócił cało i szczęśliwie do domu z dalekiej wyprawy, zawdzięczyć to musi nieocenionym zaletom futra pieśców. Konieczność zdobycia jak największej ilości skórek lisów polarnych, pobudza wszystkich tubylców do wytężonej pracy w czasie długiej zimy północnej, a praca ta polega na polowaniu.

Jakuci używają pułapek, czyli samołówek, gdyż broń palna nie zdała się wcale przy tem polowaniu: pułapki są bardzo proste, budowa ich jest archaiczną, ale tak doskonale przysto-

sowana do warunków miejscowych, klimatycznych i do natury pieśców samych, że żaden inny samotrzask zastąpić ich na tundrach północy nie jest w stanie. Pułapki stawia się na usypanych z umysłu kopcach z kamieni, z których prawie wszystkie wzgórza tundry są utworzone; usypany kopiec łatwo się widzi z daleka, a do tego zamieci śnieżne, czyli „purgi“ nie zasypują go wcale, przeciwnie oczyszczają stale ze śniegu. Sama pułapka składa się z kilku belek. mocno ze sobą spojonych w taki sposób, że tworzy ona rodzaj daszka: jeden jego koniec opiera się o ziemię, drugi podnosi do góry; dla utrzymania daszka w położeniu żądanem, skośnem, stawi się podpórka drewniana, a pod nią podkłada się przynęta; tą jest w zwykłych wypadkach kawał ryby, przez pół zgniłej i mocno woniejącej. Piesiec zwabiony przynętą, stara się ją wydobyć, obala przytem podpórkę, a wraz z nią i daszek, który padając na niego, zabija go zwykle na miejscu. W ostatnich czasach kupcy, handlujący futrami, starają się dostarczać myśliwym północy strychniny i sublimatu w celu ułatwienia polowania. W interesie jednak samych tubylców byłoby do życzenia, ażeby handel truciznami został jak najsurowiej wzbroniony, albowiem grozi on całkowitem wytępieniem pieśców, tego jedynego źródła bogactwa, albo przynajmniej zamożności mieszkańców tundr północnych.

Do budowy pułapek używają Jakuci tak zwanego „spław“, jest to drzewo spławione przez rzeki do oceanu i falami podczas burz morskich wyrzucone na ląd; innego drzewa, ani budulcowego, ani opałowego niema na całej północy.

gdyż tych nie wiele zmarniałych drzewek, ścielących się po ziemi i ukrytych w mchu, albo krzewiących się w zacisznych dolinkach, lub w załamach skał, nazywać drzewem nie można, one nie wystarczają nawet na ogniska, rozniecane podczas podróży; ale za to „spław“ na tundrach napotyka się w ogromnej ilości, a to wzdłuż całego wybrzeża pomiędzy ujściem Leny i Oleneka; obfitość materjału drzewnego, wyrzuconego na ląd, jest wielka, widzieliśmy olbrzymie wały, złożone ze stosów drzew ogromnych: wysokość takiego wału wynosiła kilka sążni, przy odpowiedniej szerokości i przy długości, mierzącej kilka, a nawet kilkanaście wiorst: wałów drzewnych, leżących jeden za drugim, idąc w kierunku od lądu ku wybrzeżom oceanu, widzieliśmy kilka, odstępy pomiędzy nimi były niekiedy dosyć znaczne, wały najbardziej odległe od morza są zwykle pokryte mchem, a drzewa, z których się składają są spruchniałe, im bliżej do morza, tem drzewo jest świeższe, aż u samego brzegu wygląda ono jak budulec dopiero co oczyszczony z gałęzi i kory. Wszystkie te wały, cośmy widzieli, świadczyć się zdają, że ocean lodowaty w obecnym perjodzie geologicznym ustępuje w kierunku ku północy, i że ląd powiększa się kosztem morza.

Pomimo obfitości drzewa budulcowego na wybrzeżu i na tundrach sąsiednich, budowa pułapek nie jest rzeczą łatwą dla Jakutów, najtrudniejszą jest dostawa budulcu na miejsca, gdzie się stawiają pułapki, dowóz belek bowiem uskuteczniać się musi zimą na psach, zaś piłowanie i rąbanie miejsce tylko mieć może latem, lub wczesną jesienią, gdyż zimą przy tam-

tejszych mrozach, czynność taka wykonać się nie daje.

Tylko zamożne rodziny jakuckie, mające licznych robotników i dużo psów zaprzęgowych, są w stanie sporządzić dostateczną ilość pułapek, rozmieścić odpowiednio na wielkich przestrzeniach tundry i opatrywać je od czasu do czasu podczas perjodu trwania połowu w zimie, biedniejsi zadowalniać się muszą nie wielką ilością pułapek, a stąd i bardzo skromnym połowem, wystarczającym zaledwie na własne potrzeby.

Podczas kilkudniowego pobytu naszego w Bułuniu musieliśmy uporządkować zbiory nasze dotychczasowe, przesuszyć rośliny i owady, zalutować pudła, w które się je ostatecznie upakowało, następnie trzeba było ułożyć w ten sposób nasze rzeczy, cośmy zabrać mieli ze sobą, ażeby je można było umieścić w sakwach skórzanych, które odtąd służyć nam miały za tłomoki podróżne: dopiero ukończywszy zajęcia rzeczone, byliśmy gotowi do drogi. Łódź naszą, wszystkie zbiory i część rzeczy mniej potrzebnych pozostawiliśmy pod opieką naczelnika osady, resztę rzeczy wraz z zapasami żywności, składającymi się głównie z sucharów, suszonego mięsa reniferów, suszonej ryby, herbaty i trochę cukru przeprawiliśmy na prawy brzeg Ajakitu i zaraz potem pospieszyliśmy sami tą drogą w towarzystwie naszego kozaka. Tam zastaliśmy czekających na nas pięciu przewodników Jakutów z 20 reniferami i ze wszystkimi przyborami podróżnymi, mianowicie namiotami skórzanymi, sakwami, siodełkami, pałkami do namiotów, futrami podróżnemi ect. Pomimo ka-

lendarzowego lata odziani już byliśmy do drogi w futerka, bo mgły i zimne deszcze trapiły nas codziennie.

Trzydziestego pierwszego lipca pożegnaliśmy ostatecznie rzekę Lenę i wyruszyliśmy w drogę, która nas wieść miała w ukośnym kierunku przez wielką tundrę ku dolinie Oleneku, a następnie wzdłuż tej doliny aż do wybrzeża oceanu lodowatego.

Podróż naszą, poczynając od Bułuna, odbywać musieliśmy konno, jadąc na reniferach, albowiem w tych szerokościach geograficznych, gdzie z powodu braku paszy dla koni i bydła hodowla zwierząt rzeczonych jest niemożebną, tam tylko renifer towarzyszyć zdoła człowiekowi w podróżach, dźwigając przytem jego samego i dobytek jego cały, on też jedynie z pomiędzy większych zwierząt przeżuwających karmić się potrafi lata całe mchami i liszajami, nie potrzebując nad ten pokarm żadnego innego, lecz obok tych zalet ma on jeszcze jedną nieocenioną, a mianowicie tę, że przebywając w krainie prawie ciągłych deszczów i mgły bezustannej podczas lata, zaś mrozów srogich w czasie zimy, nie traci nic na siłach żywotnych, lecz przeciwnie, one się w nim nawet wzmagają na północy, staje się on bowiem tutaj bardziej płodny i wytrzymały, niż to ma miejsce w okolicach, leżących u południowej granicy jego rozmieszczenia geograficznego. Bacząc na te wszystkie właściwości renifera, byłoby do życzenia, ażeby otoczono opieką praw odpowiednich to zwierzę tyle pożyteczne i tak niezbędne dla mieszkańców północy, i ażeby z drugiej strony użyć chciano wszelkich środ-

ków właściwych dla celów jego hodowli umiejętnej. Jeżeli w kierunkach wskazanych zmiana rychło nie nastąpi, to przy warunkach, jakie dzisiaj panują na północy, łatwo przewidzieć można, że renifery wytępione zostaną i to w stosunkowo prędkim czasie, a wtedy mieszkańcy tamtejsi zmuszeni będą cofnąć się na południe i wszelkie już podróże w strony dalekiej północy staną się niemożebnemi.

Z uczuciem szczerej sympatji ku naszym wierzchowcom, uczuciem, jakie zwykle budzi widok tych łagodnych, cichych, dobrych i posłusznych zwierząt w każdym prawie człowieku, przypatrywaliśmy się oryginalnej manipulacji Jakutów przy łowieniu, siodłaniu i objuczaniu reniferów, i w ten sposób braliśmy pierwszą lekcję poglądową w celu nauczenia się sztuki jeżdżenia na przyszłych naszych niezwykłych wierzchowcach.

Jazda na reniferach jest w pewnej mierze nauką gimnastyki, a zarazem i sztuką woltyżerską, wymaga ona zręczności, wprawy, a szczególniej ścisłego przestrzegania prawideł, zdobytych i utrwalonych wiekami doświadczenia, sięgających zaś swoim początkiem najprawdopodobniej aż epok lodowcowych; prawideł tych teoretycznie uczyć się nie można, nabywa się je praktycznie, obserwując i naśladując jadących tubylców.

Cała uprząż, następnie siodło, sposób nakładania jego i podpinania, etc., słowem to wszystko, co ma związek z jazdą konną na renach, jest tak doskonale zastosowane do natury tych zwierząt, że o żadnej innowacji mowy tu być nie może. Lekceważenie, z jakiem się często

odnoszą do narzędzi i sprzętów ludów niecywilizowanych świadczy tylko o tem, że nie umiano zbadać i poznać warunków życia tych ludów.

Steller, opisując nartę Kamczadalów, wypowiedział zdanie, że ona jest arcydziełem, które wytworzyć tylko mogły całe wieki doświadczenia; to samo rzec można i o rynsztunku na renifera. Jakuci, przyjąwszy wszystko gotowe od autochtonów północy, nic nie zmienili, trzymają się oni ściśle pierwowzorów i przekazują je z pokolenia w pokolenie.

Dla Europejczyków jazda na renach zdaje się być wielce uciążliwą, bo nie przywykli oni do tego rodzaju wierzchowców, małych, słabych, trzymających nisko głowę i niepokojących jeźdźca swoimi rogami, obok tego nie łatwo się przyzwyczaja Europejczyk do siodła bez strzemion i do siedzenia na niem z wyciągniętemi po przed siebie nogami po kolana, zaś od kolan bujającemi swobodnie u szyji wierzchowca: atoli mus konieczności wszystko pokonać zdoła, tak że już po krótkim stosunkowo czasie, każdy z nowicjuszów nabiera wprawy dostatecznej, ażeby mógł odbywać drogę, nawet i daleką.

Siodło reniferowe jest bardzo proste, składa się ono z dwóch deseczek, ku przodowi rozszerzonych, obszytych materacykami i połączonych ze sobą po nad grzbietem wierzchowca spojeniami rzemiennemi. Siodło umieszcza się na przodzie renifera, a to z powodu słabych więzów jego stosu pacierzowego, nie podpina się go mocno, lecz tylko podwiązuje leciutko, służy ono przytem nie tylko do siedzenia, ale także

do oparcia nóg po kolana, trzymając je prawie w horyzontalnem położeniu, w taki tedy sposób siedzący jeździec nie obejmuje nogami wierzchowca, lecz podnosi je wysoko, a stąd pozycja cała jadącego staje się wielce chwiejną i z tego też powodu troszczyć się on ciągle musi o to, ażeby utrzymać równowagę na ruchomem siedzeniu. Niewprawnym i początkującym daje się do rąk długie pałki, ażeby przy ich pomocy mogli znaleźć potrzebne oparcie na ziemi, gdy go nie mają na siodle: pałki ułatwiają także wskakiwanie, przy wsiadaniu i zeskakiwanie z renifera, przy zsiadaniu z niego. Jakuci północni i Tunguzi, będąc przyzwyczajeni od dziecka do jazdy na reniferach, nabierają niezmiernej zręczności i wprawiają nią w podziw każdego obserwatora, szczególnie zaś wtedy, gdy w pełnym biegu zjeżdżają po pochyłościach górskich, a przed nimi, jak gdyby potok jaki, pędzą i sypią się kamienie, strącane kopytami mknących naprzód reniferów. Wprawny jeździec na szybkonogim renie wygląda jak woltyżer w cyrku: patrząc na jego ruchy, gdy wierzchowiec sadzi po skalistej, nierównej drodze, można śmiało użyć wyrażenia Czekanowskiego, który powiadał w takich wypadkach, że jeździec tamtejszy ideą tylko trzyma się siodła, a siodło renifera.

Gdy obóz nasz ruszył z miejsca, szliśmy za nim wiorst parę pieszo, zanim zdecydowaliśmy się dosiąść naszych wierzchowców. Zdawało się nam z początku, że te małe i pozornie słabe zwierzęta unieść nas nie będą wstanie, ale raz wsiadłszy na nie, przekonaliśmy się o ich sile, oswoiliśmy się prędko z nimi, a na-

śladując we wszystkiem naszych towarzyszy Jakutów, raźno posuwaliśmy się naprzód, wstępując na coraz wyższe wzgórza, stanowiące rozdział wód pomiędzy rzekami Ajakit i Czongokor, wpadającemi do Leny. Po całodziennym marszu stanęliśmy na nocleg w pobliżu zagajenia świerkowego, składającego się z nikłych drzewek, jakie się w tych okolicach napotykają tu i ówdzie, tulące się do ziemi po zacisznych dolinach, zakrytych przed wiatrami północy. Spaliśmy w namiocie skórzanym, na posłaniu z mchu, kryjąc się przed wilgocią w futra niedźwiedzie.

Zaraz na pierwszym noclegu postanowiono rozdzielić nasz obóz na dwie partje, ażeby w ten sposób zyskać na czasie, potrzebnym na robienie wycieczek w strony i ażeby wierzchowce, na których mieliśmy jechać, mogły być codziennie zmieniane. Jedna partja z całym ciężkim bagażem, czterema przewodnikami, pod dowództwem kozaka, występowała z samego rana w podróż, dążąc do oznaczonego przez przewodników miejsca noclegowego, druga partja, złożona tylko z trzech osób, Czekanowskiego, mnie i przewodnika, i trzech reniferów, pozostawała na miejscu, zkąd odbywaliśmy wycieczki bądź pieszo, bądź na reniferach; zajęci zbiorami, a Czekanowski obserwacjami geologicznemi: dopiero o południu dosiadaliśmy naszych wierzchowców i spiesznym krokiem, zatrzymując się tylko w miejscach najbardziej interesujących, pędziliśmy naprzód, ażeby jeszcze przed nocą stanąć u obozowiska, gdzie już zastawaliśmy gotowy namiot, obiad i herbatę, które stanowiły zarazem i naszą wieczerzę.

W ciągu czterech dni z rzędu przechodzimy okolicę wielce oryginalną, zwaną albo wprost „golcami“, albo „Tundrą golcową“. Cała przestrzeń jest tutaj pokryta wzgórzami, mającemi kształt olbrzymich, płaskawych kopic siana, stojących osobno i nie połączonych ze sobą, porosłe są one mchem reniferowym i pozbawione prawie wszelkiej innej roślinności: gdzieniegdzie i to w zakrytych miejscach tylko znajdowaliśmy zmiarniałe modrzewie, dziwacznej formy; pień takiego drzewka, mający niekiedy kilka łokci długości. ściele się po ziemi jak kosodrzewina, kryjąc się całkowicie w mchu który go obrasta dokoła tak, że tylko sam wierzchołek drzewka wychyla swe gałązki ku światłu dziennemu.

Przeszedłszy liczne źródła, dające początek drobnym rzeczkom „Czongo“, „Ulekułach“ „Bustach“, dochodzimy 4. sierpnia do pierwszej większej rzeki na naszej drodze, zwanej „Atyrkan“ ; w tem miejscu przekraczamy granicę golcowej tundry i wstępujemy na tundrę właściwą, zwaną „wielką północną“. Tu mamy często widok, przypominający widok stepu, tylko, że tam tętni życie, tutaj zaś panuje martwota zupełna. zamiast kobierca z każdym powiewem wiatru falujących traw i roślin kwiatowych, mamy sztywny, nieruchomy całun mchów, blado zielonawych po deszczu, szarawo-białych przy suchej pogodzie. Taką samą prawie barwą świeci i niebo na północy, błękitu nie ma ono tu nigdy, przynajmniej w porze jesiennej. Spojrzawszy ku krańcom horyzontu, widzimy zlewające się ze sobą bladawe barwy nieba i ziemi w jeden smutny, szarawy koloryt. Wśród tej jednostaj-

ności otoczenia i oświetlenia cisza panuje grobowa. żaden śpiew, świergot ptaka, żaden głos zwierzęcy nie przerywa milczenia tundry, jak żaden cień nie ściele się na jej posłaniu grobowem, bo w tej krainie wiecznego smutku i ciszy, jak ją słusznie nazwać byłoby można, życie wszelkie zdaje się zamarłe.

W czasie podróży naszej przez tundrę zwracaliśmy baczną uwagę na florę i faunę. Zwiedzając zaciszne doliny, zebraliśmy obfitą kolekcję roślin jawno-kwiatowych w rozmaitych stadjach rozwojowych: na pochyłościach dolin, zwróconych ku północy rosły okazy, poczynające zaledwie się rozwijać, zaś na stokach południowych zbieraliśmy osobniki, będące już w pełnym kwiecie, albo nawet okwitłe, z dojrzałemi nasionami. Pomiędzy zebranymi gatunkami były róże alpejskie, niezapominajki, maki etc. Owadów napotykaliśmy nie wiele, z pomiędzy nich łuskoskrzydłe, zwane po jakucku „Chomardus“, stanowiły główną część naszych kolekcji. Mgły ciągłe i częste deszcze utrudniały zbieranie i konserwowanie, a zarazem czyniły samą podróż nieprzyjemną.

Przejście do tundry wielkiej było zaznaczone wypadkiem bardzo nieprzyjemnym, który jednak na szczęście nasze nie pociągnął za sobą żadnych złych następstw. Czwartego sierpnia rano, gdy pierwsza partja naszego obozu już była dawno wyruszyła w drogę, a my zajęci byliśmy zwykłą pracą kolektorską w niewielkiej odległości od miejsca noclegu, wśród gór golcowych, dosięgających tutaj 700 stóp wysokości, naraz raptownie otoczył nas obłok mgły tak gęstej, że na kilka kroków do koła siebie

widzieć nic nie było można. Przestrzegani i nauczani uprzednio przez naszych przewodników jak mamy postępować w podobnych wypadkach, zastosowaliśmy się do rad nam udzielonych wyczekując z cierpliwością chwili, gdy się nieco przejaśni; po kilku godzinach takiego oczekiwania męczącego wróciliśmy do przewodnika i reniferów, poczem wnet ruszyliśmy spiesznie na miejsce wyznaczone na nocleg, ale tutaj obozu nie było. Zmrok wieczorny, mgła i zmęczenie reniferów nie pozwalały na dalszą podróż, musieliśmy więc nocować pod gołem niebem. Przewodnik nasz jednak, nie zrażony cieniem nocy, ufny w zmyślność swego wierzchowca, a nadto podniecany uczuciem głodu, postanowił puścić się w drogę i odszukać obóz, licząc na to, że renifer węchem znajdzie swoich towarzyszy, szczególniej teraz, gdy będzie sam jeden odbywał drogę. Pozostawszy, usiedliśmy na kamieniach u źródełka najbliższego, trzymając w ręku naszych wierzchowców, ażeby nam nie uciekły i spędziliśmy noc całą wśród mgły — zziębnięci, przemokli i głodni. Dopiero z brzaskiem poranka, gdy mgła, przeistoczyła się w deszcz obfity, na hasło wystrzałów rewolwerowych przybył nareszcie nasz przewodnik i już za dnia doprowadził do obozu.

Do dnia 10. sierpnia szliśmy przez wysoką tundrę, stanowiącą rozdział wód pomiędzy dopływami z jednej strony rzeki Leny, z drugiej Oleneka, następnie mijamy okolicę mniej górzystą, obfitującą w liczne źródełka, dające początek strumykom, spływającym w kierunku

zachodnim; w tych miejscach tundra zniżać się zaczyna tarasami obszernymi ku dolinie Oleneka, tundra ta jest sucha, bez błot i jezior, na zachodniej jej granicy przerzynają ją dolinki i rzeczki bez nazw. Jakuci, nasi przewodnicy, mieli mapę swoich posiadłości północnych głęboko wyrytą w pamięci, apamięć ta rzadko zawodzi i wprawia w podziw każdego, dla mniejszych jednak dolinek nazw nie mają wcale. Dziesięć dni z rzędu idziemy w kierunku północno-zachodnim, zstępując coraz niżej ku dolinie głównej rzeki, w tym pochodzie przekraczamy wierzchołki wielu dopływów: Derbilgilach, Cholbuj, Majkangda etc. Po dolinach tych rzeczek, u strumyków i źródełek znajdujemy obfity materjał florystyczny, składający się przeważnie z mchów i porostów. Owadów tutaj znajdujemy nie wiele.

Nareszcie dnia 19. sierpnia, spuszczając się wzdłuż po dolinie rzeki Karłungtas, a później krocząc po wązkim jej łożysku, otoczonem wysokiemi skałami, dochodzimy do prawego brzegu Oleneka i odtąd już doliną tej rzeki postępujemy naprzód, oddalając się od niej jedynie wtedy, gdy głębokość ujścia jej dopływów, zmusza nas do szukania brodów wyżej po dolinach.

Dotarłszy do rzeki Olenek osiągnęliśmy cel główny naszej obecnej wyprawy, Czekanowski był zadowolony i pracował bezustanku. Po drodze napotykamy liczne obnażenia warstw, ułożonych prawie poziomo w ich pierwotnem położeniu, tu dopiero geolog może mieć nadzieję rozwiązania zawiłych zagadnień, nie rozstrzygniętych podczas uprzednich wypraw. W dalszym naszym pochodzie mijamy ujście rzeczek:

Kang, Kokus, Karbałagan, Czarczyk, Łukomoj, Meng-uku i Meng; w dolinach tych rzeczek pojawiają się znowu nikłe zagajenia modrzewi, tudzież zarośla krzaczkowatych wierzb i brzeziny północnej; im bliżej ku ujściu Oleneka, tem rzadziej się je napotyka, lecz dochodzą one w niewielu wprawdzie okazach aż do 72. stopnia szerokości geograficznej, zaś pojedyncze pnie drzewek uschłych, lub ściętych widziane były i po za tą granicą; spostrzeżenia nasze, prowadzone w celu określenia granicy północnej dla modrzewia i świerków, zdają się przemawiać za tem, że granica ta cofa się w obecnym perjodzie coraz bardziej ku południowi.

Rzeka Olenek jest bez porównania mniejszą od Leny, jej długość wynosi około 3.000 wiorst, wtedy, gdy długość Leny ma mieć około 5.000 wiorst; kierunek jej ogólny jest równoległy do głównego kierunku rzeki Leny. W tych miejscowościach, gdzieśmy wstąpili na dolinę Oleneku, szerokość rzeki jest nieznaczna, wynosi ona zaledwie 100 sążni: poczynając jednak od ujścia rzeczki Meng i aż do ujścia rzeczki Komotar, szerokość Oleneka znacznie się powiększa, gdyż mierzy tutaj około jednej wiorsty; rzeka zbiera wody licznych dopływów: Goraj, Oho-Ongoktak, Kirczaktak, Neng-Jurak, Kiritak etc., przyczem łożysko rzeki jest zajęte obszernemi wyspami. W dalszym biegu szerokość Oleneka zmniejsza się znowu i w pobliżu ujścia rzeczki Bolkołak wynosi zaledwie 80 sążni. Wszystkich rzek i rzeczek, wpadających do Oleneka, liczą 110, ujście jego do oceanu lodowego jest trzyramienne, obejmuje ono przestrzeń 30 wiorst, na której mieszczą się trzy

duże wyspy, z nich zachodnia, zwana Dżangałach, mierzyć ma wiorst 20. Ujście samo leży pod $73\frac{1}{2}$ stopniem szerokości geograficznej. W tych stronach Olenek pokrywa się lodem 1. października i oczyszcza się z lodów 1. lipca. Dwudziestego pierwszego sierpnia przechodzimy przestrzeń zawartą pomiędzy ujściami rzeczek Kirczaktak i Kirytak: całe wybrzeże w tem miejscu jest zawalone bryłami różnej wielkości, oderwanemi od skał wysokich, otaczających dolinę, bryły te są pokryte cieńką warstewką błyszczącego szkliwa; same skały i bryły są koloru czerwonego i robią wrażenie takie, jak gdyby kiedyś podlegały działaniom ognia; ponieważ jednak nigdzie tu niema śladów wulkanicznej działalności, stąd jedyny dopuszczalny wniosek byłby ten, że wypalenie warstw uskutecznione zostało przez pożar, wzniecony w pokładach węgla kamiennego.

W dalszej naszej podróży Czekanowski był zajęty w ciągu kilku dni z rzędu badaniami geologicznemi w dolinie rzeki Mengilag i w okolicach góry Kardyś-Chaja, tutaj znalazł on bardzo piękne obnażenia profilowe pokładów i niezmiernie ważne skamieniałości. Po ukończeniu badań przyszedł do przekonania, że dopiero teraz może wskazać stanowczo na kolejne następstwo warstw, dotąd widzianych w różnych okolicach kraju zwiedzanego. Według niego najgłębiej zalegają warstwy Ceratitowe czarnego łupku, nad niemi leżą pokłady siwo-szarego łupku, następnie warstwy szarego piaskowca, dalej piaskowca Turakskiego, powyżej pokłady Inoceramowe, nakoniec świeże pokłady gliny i torfiska. Warstwy Inoceramowe były

znalezione na Amurze i Jeniesieju. sądził więc, że teraz da się określić wiek pokładów dalekiego wschodu i zachodu i że w ten sposób może się uda z czasem połączyć w jedną całość wszystkie poszukiwania dotychczasowe.

Dolina Mengilag okazała się najbardziej interesującą ze wszystkich, dotąd zwiedzonych, znaczne zbiory, złożone ze skamieniałości i okazów skał, wcielone zostały do kolekcji dotychczasowych.

Minąwszy 26. sierpnia ujście rzeczki Bakyr, zwiedzamy górę wysoką, zwaną Kawanczat. z jej wierzchołka widać było całe ujście Oleneka mianowicie: oba przylądki, stanowiące jego granicę, Ewa-Chaja ze strony zachodniej i Tumul-Chaja ze strony wschodniej, następnie widzieliśmy wielką wyspę zachodnią i po raz pierwszy, tu z tego miejsca oko nasze ujrzało ocean Lodowaty; smutne on jednak na nas wywarł wrażenie: ciemne chmury kłębiły się nad nim, spuszczając się nisko, a kolor nieba ponury zlewał się z barwą ciemnych wód oceanu; granicy pomiędzy niemi nie można było na razie rozpoznać, dopiero wpatrzywszy się dobrze, spostrzegliśmy u kresu widnokręgu wazki, srebrzysty pas ruchomej fali morskiej. Nadzieje zobaczenia gór lodowych, o których nam opowiadali nasi przewodnicy, zawiodły zupełnie.

Dwudziestego szóstego sierpnia zbaczamy w kierunku na wschód, w celu zwiedzenia góry najwyższej w tych stronach, zwanej Karanczat-Chaja, z jej wierzchołka widzi się ogromną przestrzeń kraju dookoła. Noc 27. sierpnia spędzamy w osadzie włościańskiej Bolkołak. Pierwotna jej nazwa miała być Wołkolicha, zmie-

nioną jednak została przez Jakutów i zjakuciałych potomków włościan rossyjskich na obecne jej miano. Historja tej osady jest niezmiernie ciekawa, wiedzie ona swój początek od czasów panowania cesarzowej Katarzyny. A były to czasy wielkich planów i projektów owej władczyni, na której rozkazy pchano ludność z Rossji europejskiej i ze świeżo zabranych prowincji na północ i wschód daleki. Przodkowie tej nędznej osady, składającej się obecnie z kilkunastu jurt jakuckich, pochodzili z gubernji Archangielskiej; przeniesiono ich tutaj na wybrzeża morskie Azji, ażeby uczyli ludność tubylczą, jak mają łowić i solić rybę dla celów handlowych. Rozkaz wykonano bez względu na to, że na wybrzeżach oceanu Lodowatego, gdzie osiedlono włościan Archangielskich, niema ani soli, ani beczek, ani ludzi, którzyby rybę soloną jeść chcieli. Biedni włościanie, znalazłszy się w warunkach najnieprzyjaźniejszych dla życia człowieka, powoli wymierać i przeobrażać się zaczęli, dziś pozostało już kilkanaście osób tylko, które zatraciły zewnętrzne nawet oznaki typu Słowiańskiego, zapomniały mowy ojczystej i w niczem się nie różnią od Jakutów: żaden z tych potomków rybołowów archangielskich dziś słowa po rossyjsku powiedzieć nie umie. Ich starszyna Dawid, który przebył z uroczyska Dźiankir na nasze spotkanie, porozumiewał się z nami przy pomocy tłumacza; uskarżał się on na to, że w „spiskach“ oficjalnych, czyli w wykazach ludności liczą „dusz męzkich“ 32 osoby, wtedy kiedy przy życiu pozostałych jest tylko 12, a wszakże tym 12-tu nędzarzom każą płacić podatki, wynoszące po 9 r. od osoby

męskiej i to za trzydziestu dwóch mężczyzn, podanych w wykazach przed laty kilkunastu. To też gmina włościańska w Bolkołaku zalega w podatkach i nie ma żadnych środków do polepszenia bytu swego. Prośba o pozwolenie zapisania się do kategorji tubylców „Inorodców“ nie została uwzględniona, a wszakże to jedno mogłoby ich z obecnego upadku podźwignąć, z chwilą uznania za tubylców, zmniejszyłyby się podatki, gdyż Jakuci płacą „Jasak“ w naturze skórkami piescowemi, po jednej skórce od osoby męskiej. Zajęcie włościan niczem się nie różni od zajęć Jakutów, latem łowią ryby, zimą polują na piesce, posiadają przytem nie wielkie stada reniferów. Narzekają tylko, że wilki strasznie niszczą stada reniferów hodowanych i stanowią jedną z największych plag dla mieszkańców północy. Wilki bowiem utrudniają hodowlę reniferów, wykopują z pod pułapek złowione piesce, porywają psy zaprzęgowe i napadają niekiedy na podróżników i myśliwych. Szkody, jakie wyrządzają wilki tutaj, są ogromne, jakkolwiek nie dają się ściśle obliczyć.

Z Bolkołaku wyruszyliśmy w dalszą podróż 28. sierpnia, dążąc ku ujściu Oleneka, i tegoż samego dnia stanęliśmy tam na noc u podnóża góry Tumul-Chaja, stanowiącej wschodnią granicę ujścia, a zarazem zachodnią granicę zatoki morskiej, zwanej Stan-Kagła. Na wierzchołku góry wznoszą się krzyże, widziane już zdaleka; miejsce, gdzie one stoją, nazywają Jakuci „Ułakan - Krest“. Stulecie całe i ponadto lat około 30 minęło od chwili, gdy w tej dalekiej, dzikiej krainie, na wybrzeżu Oceanu Lodowatego zakończył życie oficer floty

rosyjskiej Pronczyszczew, naczelnik ówczesnej t. zw. wielkiej ekspedycji, wysłanej przez ministerjum marynarki na lat 10 w okolice północnej Syberji. Ekspedycja ta miała polecenie zbadania i opisania krainy polarnej, a zarazem odszukania drogi dogodnej, morskiej dla celów bezpośredniej komunikacji pomiędzy Rosją europejską a odległemi jej posiadłościami u Ochockiego morza i na Kamczatce. Długi pobyt na północy, przy ówczesnych środkach, mało odpowiadających warunkom hygjenicznego życia zniszczył zdrowie odważnego marynarza, dowódcy wyprawy, umarł tu wśród zimy na szkorbut i pogrzebano go na przylądku Tumul-Chaja, w pobliżu obozowiska, gdzie podówczas się znajdowała cała ekspedycja. Młoda żona Pronczyszczewa, towarzyszka nieodstępna i nieustraszona w tej wyprawie zgasła w kilka dni potem i spoczęła obok męża. Takie poświęcenie ze strony młodej kobiety, mającej jedynie na celu niesienie ulgi moralnej i pociechy umiłowanemu małżonkowi, jej męstwo, odwaga, cierpliwość w znoszeniu największych trudności i dolegliwości życia bez słowa skargi, dają świadectwo o tem, do jakiej bezgranicznej ofiarności, do jakiego stopnia zaparcia się są zdolne niewiasty szlachetne i kochające.

Czekanowski w sprawozdaniu swojem z podróży na Olenek, wygłoszonem na posiedzeniu Towarzystwa geograficznego w Petersburgu uczcił pamięć bohaterów tej ekspedycji polarnej wspomnieniem serdecznem i wskazał na to, że obowiązkiem dla pokoleń potomnych powinno być wzniesienie nad mogiłą poległych

trwalszego pomnika, niż były krzyże drewniane, sklecone z desek okrętowych. Czy życzeniom Czekanowskiego stanie się zadość? wątpić należy, ale to pewno, że z chwilą, gdy w analach podróży podbiegunowych zapisane zostały imiona Pronczyszczewych z pełnem uznaniem dla ich działalności ofiarnej i szlachetnej, postawiono im w ten sposób monument trwały, który zachowa ich imiona w pamięci wieków dłużej, niż trwać może zwykły obelisk mogilny, chociażby nawet ze spiżu odlany.

W czasie naszego pobytu u ujścia Oleneka, zebrał Czekanowski w okolicy Tumul-Chaja paręset okazów skamielin, zbadał pokłady i wzbogacił zielnik kilkunastu gatunkami roślin trawiastych, które odszukał po jarach nadbrzeżnych. Skończywszy zajęcia u ujścia, rozstaliśmy się na chwilę z doliną Oleneka i podążyliśmy na wschód, wzdłuż wybrzeży oceanu, niskich, torfiastych, podmokłych. 29. sierpnia nocowaliśmy w uroczysku Stan-Kagła, położonym u zatoki, noszącej to samo miano. Tu burza morska wyprawiła nam niezwykłe i wspaniałe widowisko, przy akompanjamencie ryku fal, wycia wiatrów, przy łomocie i trzasku tartych o siebie i o wybrzeże olbrzymów drzewnych; te ostatnie były kolejno to wyrzucane na ląd i składane na szczytach wałów dawnych, leżących u brzegu, to ściągane napowrót w topiele morskie. Noc całą trwała ta burza, przejmując nas grozą i dając pojęcie o tych strasznych chwilach, jakie przeżywać musieli dawniejsi marynarze z czasów Pronczyszczewa, gdy pływali tutaj na statkach żaglowych, po większej części źle i nieumie-

jętnie zbudowanych. Noc przepędziliśmy w drewnianej jurcie, bez drzwi i okien, grzejąc się u dużego ogniska, rozniecanego pośrodku jurty na palenisku, zrobionym z gliny i kamieni. Jurty takie nazywają „powarniami", i stawiają je w miejscach, dogodnych dla wypoczynku podróżnych i myśliwych, zmuszonych jeździć po okolicach tamtejszych. Całe wybrzeże zatoki Stan-Kagła, w głąb lądu prawie na wiorstę, jest zasłane materjałem, wyrzuconym przez ocean. Obfitość tu drzewa jest wprost zdumiewająca, ale o niej można mieć dopiero wtenczas właściwe pojęcie, gdy się widzi całą ilość kłód, belek i pni, pływających na powierzchni fal oceanu u jego brzegów w czasie, gdy panują wiatry północne. 30-go sierpnia obóz nasz wyprawiony został do Dżiankiru. małej osady jakuckiej, położonej u zatoki tego samego nazwiska, w niewielkiej odległości od przylądku Krestowskiego (Krestowskij mys); my zaś sami w towarzystwie jednego przewodnika, wiodącego parę jucznych reniferów, wracamy ku dolinie Oleneka, ażeby jeszcze raz obejrzeć pokłady czarnego łupku i szarego piaskowca w dolinie rzeczki Mengilag i ażeby zebrać co najwięcej skamieniałości w tamtych okolicach. Dwie doby trwała wycieczka niniejsza wzbogacając nasze zbiory licznymi nowymi okazami i gatunkami skamielin. Wróciliśmy do Dżiankiru wprawdzie zmęczeni lecz zadowoleni, pomyślnem zakończeniem badań w dolinie Oleneka. Chodziło nam teraz tylko o to, ażeby zbiory nasze, z takim trudem nagromadzone, mogły być szczęśliwie dowiezione na miejsca. W Dżiankirze zastaliśmy głównego naczelnika

Jakutów Żygańskich, księcia jakuckiego, Konstantego Bobrowskiego: przybył on tutaj na nasze spotkanie z zawiadomieniem, że wszelkie przygotowania do dalszej drogi na dolinę Leny są już ukończone, i że renifery zaprzęgowe i wierzchowe, następnie sanie, namioty i przewodnicy liczni czekają na nas w dolinie rzeczki Bor-Syr, wpadającej do Oleneka, a mianowicie w pobliżu osady jakuckiej, tejże samej nazwy, dokąd już pewna ilość mieszkańców wróciła z letnich swoich sadyb.

Nazwa naczelnika Jakutów, niezwykła w stronach północnych, budzi myśl, silącą się odgadnąć koleje losów tego nieszczęśliwego wygnańca, którego nazwisko nosi obecny książę jakucki. Jakie okoliczności wyrzuciły go po za granice ziemi ojczystej? Czy naczelnik Jakutów jest jego potomkiem? Czy też tylko w dobie przejścia na wiarę chrześcijańską przybrał któryś z przodków księcia nazwę ojca chrzestnego, jak to bywa we zwyczaju u Jakutów? Takie i inne podobne pytania stawiliśmy sobie, ale odpowiedzi na nie uzyskać w najbliższem naszem ówczesnem otoczeniu nie było można.

Wdzięczni byliśmy naczelnikowi za pośpiech i gorliwość, z jaką wykonał zlecenia, poczynione przed odjazdem naszym z Bułuna, a mając już teraz zapewnione wszystkie potrzebne środki do odbycia powrotnej drogi na dolinę Leny, postanowiliśmy, zanim śnieg pokryje tundrę, zwiedzić jeszcze najbliżej od naszego obozowiska niniejszego, na wschód położony przylądek Krestowski. 1-go września wyprawiliśmy wszystkie nasze zbiory i cały obóz

do osady Bor-Syr, a sami z kozakiem i jednym przewodnikiem ruszyliśmy na wschód, dążąc do rzeczonego przylądka. Pogodę mieliśmy niepomyślną, mianowicie wiatr silny, wiejący od strony morza, przy temperaturze poniżej zera i chmury gęste, mające wygląd chmur zimowych, zdawały się nam proroczyć śnieżycę. Po kilkugodzinnej podróży po torfowiskach, spuściliśmy się w wąską dolinkę rzeczki Krest, zawaloną literalnie drzewem, spławionem przez rzeki, przejechaliśmy ją w poprzek i minąwszy kilka wzniesień, występujących w formie tarasów, stanęliśmy u zachodniej ściany przylądka krestowskiego; nie mogąc z powodu silnej fali, rozbijającej się o skały nadbrzeżne, obejść go od strony morza, postanowiliśmy wejść na płaszczyznę szczytową i próbować ztamtąd spuścić się na dół ku jego podstawie, lecz i ten projekt nie dał się wykonać, albowiem ściany boczne są bardzo strome, a dolinki tak wązkie, że raczej szczelinami nazwać je byłoby można. Szczeliny te są wypełnione śniegiem, zlodowaciałym u spodu, zaś w wyższych poziomach, pokrytym pyłem atmosferycznym. Warstwy piaskowca bez wszelkich skamieniałości i takież margle tworzą massyw przylądka, są one pochylone pod kątem 60-ciu stopni w kierunku północno - wschodnim. Długość przylądka wynosi wiorst kilka, przy szerokości nie większej nad pół wiorsty; z północnego cypla widać bywa w jasne dnie latem. według słów przewodnika, ląd jakiś daleki, prawdopodobnie są to wyspy Nowo-syberyjskie, może wyspa Stałbawaja albo Kotielna, a może też i miraż tylko sprawia takie złudzenie dalekiego lądu.

Dawniej na wyspy Nowo-syberyjskie jeździli Jakuci na psach, porą wiosenną, około 10. maja mianowicie, ażeby ztamtąd przywozić kły mamutów, mające się znajdować w wielkiej obfitości.

Przy pomyślnych warunkach podróży wyjeżdżając z przylądka Bykowskiego, położonego u wschodniej granicy delty rzeki Leny, droga tam i napowrót trwać miała 40 dni. Do jednej narty zaprzęgano przy takich wyprawach 14 psów i kładziono ciężaru 25 pudów. W późniejszych czasach zaniechano tych podróży z powodu wielkich niebezpieczeństw, na jakie się narażali jadący. Niebezpieczeństwa te opisał admirał Wrangiel, kreśląc historję prób, które sam wykonał, starając się dostać na wyspy; w nowszych czasach zwiedzał wyspy Nowo-syberyjskie baron Tol z polecenia Akademji umiejętności, a zaś w drodze do nich umarł Jan Czerski, wysłany przez tę samą Akademję w Petersburgu. Widok lądu stałego od strony przylądku Krestowskiego jest rozległy i bardzo charakterystyczny. Tundra wysoka, ztąd rozpatrywana, wydaje się jedną obszerną płaszczyzną, niby olbrzymi ołtarz jakiś, szerokimi stopniami opatrzony, które w formie poziomych i równoległych tarasów wznoszą się jeden nad drugim. Te stopnie tarasowate wywołują wrażenie, jak gdyby stanowiły one kiedyś po kolei wybrzeża morskie w wiekach dalekiej przeszłości.

Zwiedziwszy przylądek Krestowski, ruszamy w kierunku do osady Bor Syr; nocujemy po drodze w rozwalonym schronisku w dolinie rzeczki Krest. W nocy z 1. na 2. września

wypadł śnieg obfity, temperatura spadła jeszcze niżej, niż wczoraj i raptem otoczył nas krajobraz zimowy, z którym się już rozstawać nie mieliśmy nadziei aż do końca drogi. 2-go września, po całodziennej podróży, po śniegu odbytej, przybyliśmy już późno wieczorem do osady, gdzie nas oczekiwały obozy nasze: stary i nowy. Tu był kres i koniec zajęć letnich, ztąd miała się rozpocząć droga powrotna zimowa, ciężka, nudna i długa, jak zima polarna.

Przygotowania do tej drogi zabrały nam całe cztery dni czasu, musieliśmy bowiem przełożyć wszystkie nasze rzeczy i porobić z nich pakunki równe ażeby z nich każdy osobno wzięty, ważył nie więcej nad 5 pudów. Taki pakunek kładzie się na jedną nartę, zaprzążoną w dwa renifery; a ponieważ bagaż nasz obecny ważył stokilkadziesiąt pudów, musieliśmy więc mieć około 30 nart, 60 reniferów pod sam bagaż tylko, pod narty przewodników i narty dla nas przeznaczone, trzeba było mieć do 20 reniferów; następnie licząc na to, że mogą się trafić dnie odwilży raptownej, musiano brać ze sobą i renifery wierzchowe, stąd też obóz nasz niniejszy miał pozór całej karawany kupieckiej.

Tutaj w osadzie musieliśmy się zaopatrzyć w ciepłe, zimowe ubrania, w futra podróżne pieściowe, worki do spania „kukule“ i t. p., ażeby módz jechać całe dnie, wystawieni często na mróz, ścinający w czasie zimy rtęć w termometrach. Dopiero 6. września opuściliśmy nasze obozowisko w dolinie rzeczki Bor-Syr, pożegnawszy sympatycznych, uprzejmych

i usłużnych mieszkańców porzecza Oleneka i rozstając się na zawsze z okolicami, gdzie tyle chwil przyjemnych spędziliśmy podczas naszej podróży.

Znajomi Czekanowskiego żegnali go z serdecznością prawdziwą, umiał on bowiem zjednać serca tych poczciwych ludzi grzecznością swoją i swoją wiedzą leczniczą. Z apteczki podróżnej udzielał chorym lekarstwa i zyskał renomę znakomitego doktora, którego powrotu w latach następnych oczekiwać miano z niecierpliwością, a i on sam marzył nieraz o tem, ażeby jeszcze raz zawitać na Olenek, gdy będzie wracał z wyprawy na Anabar i Chatangę.

Wraz z nami wyruszyli w drogę przez tundrę do Bułunia Jakuci z rodzinami, wracający do swoich ognisk stałych, czyli do jurt zimowych w dorzeczu rzeki Leny położonych. Towarzystwo jakuckie składało się z 60 osób: mężczyzn, kobiet, dzieci i niemowląt u piersi; podróżni wiedli ze sobą stado reniferów, liczące przeszło 200 sztuk dorosłych okazów, używanych do jazdy, a obok tego pewną ilość samic dojnych z cielętami. Po raz pierwszy tu na północy odbywaliśmy podróż w tak licznem gronie osób różnego wieku, a po raz pierwszy w życiu jechaliśmy wśród tak wesołego i ruchliwego towarzystwa. Pogoda umysłu, jasność oblicza, stałość usposobienia mieszkańców tamtejszych, stanowią kontrast rażący z chmurnem niebem, mglistem i zmiennem powietrzem ich ojczyzny; tubylcy stron polarnych panują nad otoczeniem swojem zasobem niewyczerpanym energji życiowej, w isto-

cie siła tej energji jest niespożytą, objawia się ona u nich zdrowiem ciała i duszy, żywością ruchów, wesołością temperamentu, przymiotami towarzyskimi i społecznymi, odpornością na działalność zabójczą klimatu i wytrwałością w znoszeniu cierpień wszelakich.

Zbierająca się w podróż daleką drużyna Jakutów, z nami jadących, miała wielkie podobieństwo do stada ptasząt, lecących na południe; jak ptaki niebieskie, zdawali się nasi podróżnicy cieszyć życiem chwili bieżącej, bez myśli i troski o przyszłość najbliższą. Szczęśliwe ich usposobienie działało skutecznie na umysły, przewidujące ciężkie przejścia w czasie podróży przez tundrę, gdzie zwykle o tej porze panować mają śnieżyce i buruny. To też głosy wróżbitów niepowodzenia, których Czekanowski w swojem sprawozdaniu nazywa „meteorologami miejscowymi", milknąć musiały wobec ogólnej ufności w gwiazdę pomyślną, świecącą nad naszą wyprawą. Oprócz tej dodatniej, wyżej wymienionej strony charakteru naszych współtowarzyszy, podnieść trzeba jeszcze i inną, mianowicie instynktowy niejako zmysł porządku, ładu, zgody i dążenia wszystkich wspólnie ku pomyślności każdego z towarzyszy swoich. Podróż więc nasza w takiem otoczeniu sympatycznem, nietylko że nie była przykrą, lecz przeciwnie, przyjemną, mieliśmy bowiem ciągle przed oczami źródło przyjemnych wrażeń, wywoływanych postępowaniem szlachetnem tych prostych, szczerych i uczciwych ludzi. Całe nasze towarzystwo stanowiło też w czasie drogi jakby jedną wielką rodzinę, w której my sami nie czuliśmy się obcymi.

Nieraz w podróży, zastanawiając się nad objawami życzliwości bezinteresownej towarzyszy naszych, zadawaliśmy sobie pytanie, zkąd się u nich bierze ta miłość bliźniego, ten altruizm tak szczery i szeroki, nie ścieśniony ani fanatyzmem religijnym, ani narodowym, ani społecznym. Kochają oni wszystkich ludzi, spieszą z pomocą i radzi widzieć każdego szczęśliwym.

W czasie wędrówki naszej, ład w obozach panował wzorowy; karawana w marszu wyciągała się na przestrzeni półwiorstowej, każda grupa jadących pilnowała swego miejsca i ztąd nieporządku lub zamieszania nie doświadczaliśmy wcale. Na czele kolumny jechał przewodnik, jego żona i kilkoro dzieci; za nimi szedł nasz obóz bagażowy, pozostający pod ciągłym dozorem przewodników, z których każdy miał pieczę nad 5 lub 6 nartami; za obozem jechały rodziny grupami oddzielnemi, strzegąc swoich reniferów. Za ostatniemi grupami jechał Czekanowski w towarzystwie mojem i jednego przewodnika; wybraliśmy z umysłu to miejsce w kolumnie, ażeby mieć zupełną swobodę ruchów i módz oddalać się od karawany, nie sprawiając zamieszania w stadkach luźnie pędzonych reniferów. Na skrzydłach długiego orszaku podróżnego były w ciągłym ruchu dzieciaki, popisywały się one ze swoją zręcznością w dosiadaniu wierzchowców i umiejętnością jeżdżenia na nich; pędząc cwałem, zmieniały pozycję co chwila, to stojąc na siodle, to klęcząc, to siedząc bokiem, zataczały rumakami ze zręcznością i wprawą doświadczonego jeźdzca; gonitwy takie malców, wśród

śmiechu i wesołości niewinnej cieszyły towarzystwo całe.

Na czele każdej grupy oddzielnej jechały kobiety, siedząc bokiem na siodle, zbudowanem odmiennie nieco, niż siodło męzkie; każda z kobiet miała w ręku laskę długą, zakończoną hakiem żelaznym; laska taka służyła im do sondowania i badania gruntu pod śniegiem, w celu przekonania się o charakterze i właściwościach mchu danej miejscowości; jeżeli mech jest pokryty warstwą lodu, nie bywa on zdatny na paszę dla reniferów i w miejscowości takiej stawać na wypoczynek nie można. Tylko tam, gdzie mech pod śniegiem jest suchy, nocleg jest możebny, bo wtedy jest pewność, że renifery nie pójdą daleko od obozu, i że dla namiotów znajdzie się miejsce dogodne i suche, Stawiąc bowiem namiot, oczyszcza się uprzednio przestrzeń całą ze śniegu, aż do gruntu; ważną jest przeto rzeczą wiedzieć naprzód, przed rozpoczęciem ciężkiej roboty, jaki grunt pod śniegiem ukryty mamy przed sobą, ztąd też sądowanie próbne jest jedną z najważniejszych czynności podróżnych, wykonywanych przez kobiety, które mają przy wyborze miejsca na nocleg głos decydujący.

Dzieci starsze jechały konno na reniferach; niemowlęta wieziono w futerałach czyli cylindrach, uszytych i sporządzonych z kory brzozowej wyprawnej. Futerał taki ma dno mocno przytwierdzone do jego ścianek, przykrywka zaś jest ruchoma, trzyma się ona na zawiasie rzemiennej, przystaje ściśle do futerału i bywa na zawiązkę rzemienną zamykana. Wnętrze cylindra wyścielają futrem piescowem, i do-

piero wtedy wsuwają do niego w pozycji stojącej niemowlę, utulone i szczelnie spowite w futra, również piescowe. Umieściwszy dziecko w futerale, dają mu do ust koniec dużego „rożka“, wyrobionego z rogu bydlęcego: do rożka nalewają pokarm, który starczyć ma na cały czas jazdy dziennej, następnie rożek denkiem przymknięty przytwierdza się w futerale w taki sposób, ażeby koniec jego, stanowiący sztuczną sutkę, zrobioną z sutki reniferowej, był blizki od ust dziecka, i mógł w każdej chwili służyć mu do ssania. Po zamknięciu i zawiązaniu przykrywki, futerał zawiesza się u siodła na paskach rzemiennych, i w czasie drogi nie zagląda się do niego wcale, czyni się to dopiero w namiocie przy płonącem ognisku. Na reniferze, wiozącym zwykle dwa futerały z niemowlętami, po jednym z każdej strony siodła umieszczonym, żaden jeździec nie siedzi, zresztą same siodło jest nieco odmiennie zbudowane od siodeł używanych do jazdy, przyczem zaznaczyć trzeba, że niemowlęta przez cały czas podróży mają pozycję stojącą. Pokarm, jaki dają dzieciakom w drodze, jest oryginalny, przyrządzają go ze świeżej ikry rybiej, rozmrażanej przed ogniem w namiocie. Ikrę taką, braną przeważnie z ryb łososiowatych albo siejowatych (n. p. Nelma Omol), rozcierają z wodą do konsystencji mleka gęstego w mozdzierzyku, sporządzonym z drzewa. Matki karmią niemowlęta piersią własną tylko w namiotach, gdy je wyjmą z futerału. W taki sposób, prawdziwie po spartańsku hodowane dzieciaki, już od najwcześniejszego niemowlęctwa swego przywykają do cierpliwości i do

ciężkiego żywota, rządzonego przymusem despotycznym nieubłaganej konieczności.

Dla dzieci starszych wiekiem mają zwykle mleko reniferowe. Dojenie odbywa się po przybyciu na miejsce noclegu, i jest z czynności, wykonywanych na mrozie i wietrze jedną z najcięższych może, szczególniej utrudnioną jest ta czynność z powodu, że krowy reniferowe niechętnie poddają się operacji dojenia, trzeba je trzymać za rogi i siłą zmuszać do posłuszeństwa. W czasie, gdy kobiety doją, cielęta wiodą walkę zaciętą z dziećmi, których obowiązkiem jest wtedy niedopuszczać cieląt do matek, ażeby nie przeszkadzały dojeniu. Mleko reniferowe jest gęste, słodkie i smaczne, tłuszczu ma bardzo niewiele *), ztąd też masła z niego robić nie można; w czasie drogi używaliśmy mleka do herbaty i ono nam smakowało wybornie. Praca każdego z uczestników podróży była w ciągu całej podróży ciężką i męczącą, nikt się od niej jednak nie uchylał; rozkazów, nawoływań, zachęcań, wymówek, a tem mniej połajań lub złorzeczeń, słychać nie było; każdy wiedział, co miał robić, jak robić i czynność swoją wykonywał chętnie, z wesołem obliczem. Jak w mrowisku lub ulu wrzała robota, która zdawała się w ręku wprawnych wykonawców igraszką tylko. Najchętniej jednak, najusilniej, najgorliwiej pracowały kobiety, miały one ponad zwykłą, wspólną pracę z mężczyznami przy stawianiu na-

*) Hartwig, opierając się na relacyi angielskiego podróżnika po Laplandji utrzymuje, że mleko reniferowe jest niezmiernie tłuste, i że z tego powodu pić go w większej ilości nie można.

miotów, przy dozorowaniu reniferów itd., jeszcze cały szereg zajęć z dziećmi, z ich odzieżą, obuwiem, pokarmem i t. d.; nieraz, gdy już towarzystwo męzkie było w głębokim śnie pogrążone, one czuwały jeszcze, szyjąc, susząc, czyszcząc ubrania dzieci, swoje i mężczyzn i odganiając sen od znużonych powiek śpiewaną półgłosem kołysanką lub inną pieśnią jaką. Najtrudniejszą w tej podróży była praca przy dostarczaniu paliwa, mianowicie na tundrze, gdzie niema prawie żadnej roślinności drzewnej; musiano więc szukać drzewa na opał namiotów po dalekich dolinkach, wieźć je z sobą i używać bardzo oszczędnie, to też palono najczęściej tylko wtedy, gdy gotowano wieczerzę, a noc całą spędzano w nieopalonym namiocie, grzejąc się własnem ciepłem w workach podróżnych, uszytych z futra piescowego.

Z samego początku odbywaliśmy podróż, jadąc konno na reniferach; tylko bagaż nasz był wieziony na nartach, ciągnionych przez renifery, zrazu po śniegu, następnie po gołej ziemi lub po mchu, a to z racji że już od 7. września rozpoczęły się dnie ciepłe, przy wietrze południowym; śnieg stajał, słońce zaświeciło i mieliśmy wrażenie rozpoczynającej się wiosny: 10. września lał deszcz obfity, prawdziwie letni; deszcz ten był powodem odpoczynku przymusowego w ciągu całej doby na dolinie rzeczki Kołumas, wpadającej do Oleneku. Ulewa była tak gwałtowna, że chcąc ochronić namioty przed zatopieniem, musiano okopywać je rowami, odprowadzającymi wodę na stronę. Ale już 12. września zawitały zno-

wu mrozy, spadł śnieg i droga sanna ustaliła się na nowo. Odtąd mrozy i śniegi powiększyły się szybko, tak, że już 15. września zmuszeni byliśmy przesiąść z naszych wierzchowców na narty, kryjąc się przed mrozem i wiatrem do worków podróżnych. Z pewnym uczuciem wstydu wobec naszych towarzyszy podróży uskuteczniliśmy tę zmianę sposobu jazdy, ale oni sami nas do tego naglili. chociaż dzieci i kobiety odbywały dalszą podróż na siodłach, wytrzymując mrozy i zawieje z tą nieporównaną pogodą umysłu, jaką dać może tylko zdrowe ciało, zahartowane od dzieciństwa i zdrowa w niem i bohaterska dusza.

W miarę zwiększania się mrozów, które poczynając od 15. września, dosięgły 25 stopni Celsiusza, i w miarę, jak się wzmagała ilość opadów śnieżnych, rosła też stosunkowo i praca osób podróżujących. Samo już oczyszczanie miejsca pod namioty, odrzucanie warstwy grubej, śniegu twardego i zbitego działaniem wiatrów ciągłych, kosztowało pracy niemałe i zabierało dużo czasu, obok tego koniecznością też było gromadzić coraz większe zapasy materjału opałowego. Szczęściem jednak dla nas. że mrozy i zawieje zawitały dopiero wtedy, gdyśmy mieli tundrę właściwą za sobą i wkraczali w granice lasów karłowatych, północnych, gdzie o drzewo nie było tak trudno, jak uprzednio.

Dopiero w czasie niniejszej podróży naszej mogliśmy się przekonać dowodnie o niezmiernem znaczeniu, jakie mają renifery dla mieszkańców północy: żadne inne zwierzę, udomowione przez człowieka, zastąpić ich tam

nigdy chyba nie potrafi. Nie mówiąc już nic tutaj o pokarmie reniferów, do którego ani jeden z gatunków zwierząt naszych roboczych przywyknąć dotąd nie mógł, wspomnę tylko jeszcze o tem, że człowiek na północy, będąc obarczony w czasie podróży ogromnym nawałem pracy różnorodnej, nie może mieć czasu na to, ażeby się opiekować zwierzętami pociągowemi tak, jakby tego wymagały konie n. p. lub bydło rogate. Gdybyśmy nawet z pomiędzy tych ostatnich wybrali „Jaka“ tybetańskiego (Bos grunniens), potrzebującego, jak wiadomo, najmniej opieki ze strony człowieka, gdyż umie sam szukać pokarmu pod śniegiem, to i w tym wypadku będziemy mogli przekonać się z łatwością, że wół tybetański ustąpić musi przed reniferem *) w warunkach chwili obecnej właściwych. Cała troska Jakuta o swoje zwierzęta pociągowe i wierzchowe ogranicza się tem, że wybiera na nocleg miejsce z do-

*) Akademik Middendorff, znający z własnego doświadczenia tundry i tajgi syberyjskie, radził na serjo rządom, ażeby się zajęły przyswojeniem i hodowaniem łosia (Cervus alces), w celu używania go do jazdy po bezdrożach północnych. Rada ta jednak, zdaniem naszem, jest niewykonalną, głównie z powodu niesforności i popędliwego charakteru zwierzęcia, nie nadającego się wcale do tresury. Ale pomijając te ujemne właściwości łosia, dosyć jest wiedzieć o tem, że gatunek rzeczony żyć potrafi tylko w granicach lasów liściastych i sosnowych, i że po za tą granicą, idąc ku północy, istnieć on nie może. Co się zaś dotyczy podróży po tajgach leśnych, to dla nich najlepszem zwierzęciem i wierzchowem i jucznem jest wół tybetański; zdałby się on nawet i do podróży po tundrach, gdyby go przyzwyczaić było można do spożywania mchów. Przyzwyczajenie takie nie jest wszakże niemożebne, z racji, że

brą paszą, ale też więcej nad to ren nie wymaga wcale i umie się obejść bez dalszej opieki ze strony człowieka. Wyprzężony i puszczony wolno renifer strząsa natychmiast silnymi ruchami mięśni skórnych śniedź mroźną i śnieg naniesiony wiatrem ze swej długiej i twardej szerści, następnie racicami nóg tylnych zwykle oczyszcza sobie nozdrza z lodowatych sopli, które mu namarzają podczas biegu w drodze i zaraz potem rozpoczyna rozbijać szerokiemi racicami nóg przednich twardą powłokę śnieżną, ażeby się dostać do paszy, do mchu; oczyściwszy dość sporą przestrzeń za pomocą nóg, a po części i pyska, zabiera się chciwie i spiesznie do jadła. Po zaspokojeniu na prędce głodu i pragnienia śniegiem i mchem, kładzie się na oczyszczonem przez siebie miejscu dla odpoczynku krótkiego i przeżuwa powoli pokarm, przed chwilą pochłonięty, jeżeli go w czasie tej siesty nie spędzi z miejsca obranego i oczyszczonego inny ren, towarzysz silniejszy, który, jak to zwykle bywa na świecie, rządzi się prawem mocniejszego i rad korzysta z cudzej pracy. Renifer, odpocząwszy w pozie leżącej, wstaje i szuka nowego miejsca dla nowej pracy, ażeby ją zakończyć nowym wypoczynkiem. Przy wyszukiwaniu dobrej paszy dopomaga mu węch niezmiernie delikatny u renów, za pomocą tego zmysłu czują one zapach

Jak hodowany w Daurji karmi się chętnie w zimie porostami i mchami drzewnymi; ta okoliczność mogłaby być wskazówką, że przy odpowiednim chowie wół tybetański dałby się pozyskać dla celów podróży polarnych, a także i dla udogodnienia życia mieszkańców tamtejszych.

mchu nawet przez grubą warstwę zalegającego, twardego śniegu. Najadłszy się do syta i na zapas, potrzebny dla całodziennej pracy, układają się renifery na odpoczynek dłuższy, z którego budzi już je zwykle arkan Jakuta, zarzucany im na rogi. Zbudzone zwierzę podnosi się niechętnie, przeciąga się, jak rozespane, prostuje kolejno nogi, ziewa nawet niekiedy i idzie bez oporu posłuszne woli swego pana do długiej i uciążliwej pracy.

Jak proste jest i pierwotne obejście się Jakutów z reniferami, tak też są proste: ich uprząż i narty *), te ostatnie są to małe, lekkie i wązkie saneczki bez dyszla i „hołobel“, obsadzone na płozach szerokich, wyrabianych z bardzo twardego drzewa brzóz kamiennych, czyli daurskich (Betula dahurica), rosnących daleko na południu: za płozy płacą drogo, bo aż 3 albo 4 skórki pieściów białych. Na nartach jakuckich pomieścić się może zaledwie jeden człowiek, siedzący z wyciągniętemi przed siebie nogami, jedynem zaś udogodnieniem dla podróżujących jest bardzo słabo urządzone oparcie z tyłu nart, albo para rzemieni, któremi uwiązują do sanek okrycia na nogi. Dla chorych i niedołężnych urządzają niekiedy budkę, osłaniającą tył nart, a wtedy sanie takie nazywają „powozką“.

Jazda na nartach tubylczych, ciągnionych po powierzchni nierównej, wyboistej, po grzbietach i krawędziach fal śnieżnych jest bardzo męcząca. Podróżujący bywa ciągle zmuszony

*) Miejscowa ludność nazywa sanie nartami a nie nartą.

do utrzymywania równowagi na siedzeniu, wielce niepewnem, ale zarazem jest on krępowany w swych czynnościach ekwilibrycznych pozycją mumji, jaką zajmuje na sankach, będąc spowity w futra i odziany workiem podróżnym.

Cała uprząż renifera składa się ze szleji rzemiennej, mającej tylko jeden pas pociągowy. Szleja jest zapinana, albowiem na szyję przez rozłożyste rogi nie daje się tak wdziewać, jak zwykłe szleje końskie. Pas przytwierdza się za pomocą pętli do poprzeczki, wiążącej z przodu płozy nart. Szleję nadziewają skośnie, a pas leży po jednej stronie renifera, ciągnie on więc cały ciężar jednym bokiem swoich piersi. Sposób taki zaprzęgania męczy niezmiernie, nawet silne zwierzęta pociągowe, a tembardziej słabego renifera, ustaje on też bardzo prędko. Zmęczony, wywiesza język, jak to czynić zwykł pies zziajany i oddycha szybko, wydając rzężenie nieprzyjemne.

Zapobiegając złym skutkom, wywoływanym przez uprząż niestosowną i niedogodną *), przewodnicy zmieniają często położenie szleji

*) Pytanie, czyby się nie dała obmyśleć jaka dogodniejsza uprząż na renifery, a jednocześnie także i na psy pociągowe, dla których mają Jakuci podobneż szleje jednopasowe („ałyki“), nie może być rozstrzygnięte teoretycznie. Zastąpienie szleji chomątem i używanie dwóch pasów, zamiast jednego, okazały się w praktyce niewykonalnemi. Jak w dżdżystych okolicach krajów Europy środkowej jarzmo na woły z kabłąkami drewnianymi nie mogą być zamienione na chomąta, tak też i szleje reniferowe nie mogą ustąpić przed uprzężą europejską, jakkolwiek ta ostatnia zdaje się na pozór być wielce dogodną i praktyczną.

i pasa, przekładając je to na prawo, to na lewo, albo nawet puszczając pas pomiędzy nogi renifera; ale w tym ostatnim wypadku utrudniony bywa chód zwierzęcia. Pomimo możebnie najgładszego wyrobu rzemienia na szleje i pasy, i pomimo najpilniejszego dozoru nad uprzężą, której nigdy nie pozostawiają na mrozie, lecz wnoszą ją do namiotu i trzymają w cieple, chroniąc najstaranniej przed wilgocią, jednak zatarcie szyji i piersi i obtarcie boków i nóg u reniferów pociągowych zdarzają się nie rzadko; dla uniknięcia podobnych wypadków, często w drodze zmieniane bywa położenie szleji i pasa.

Tundra wschodnio-syberyjska, na przestrzeni przez nas zwiedzanej, pomiędzy Leną i Olenekiem ma zupełnie inny charakter, niż tundra zachodniej Syberji. Ta jest sucha, wyniosła, skalista, przerzynana po brzegach dolinkami i dolinami, najczęściej malowniczemi, mającemi florę i faunę urozmaiconą, tamta zaś tundra zachodnia jest mokra, błotnista, trudna do przebycia latem. W zimie atoli obie tundry mają cechy jednakie, obie są pokryte grubą warstwą śniegu i robią wrażenie pustyni martwej, zawsze groźnej i złowrogiej dla człowieka. Powłoka śnieżna nie jest równa i gładka, jak powierzchnia śniegu na naszych polach i łąkach, przeciwnie, jest ona głęboko zorana podmuchami wiatrów i wygląda jak wzburzone i raptownie zamarzłe morze. Jamy, wyboje, krawędzie i grzbiety fal śnieżnych utrudniają jazdę. Wiatry, wiejące tu bezustannie, ubijają warstwy śniegu w tak twardą skorupę, że przebić ją nie łatwo, po niej człowiek,

narty i renifery przechodzą prawie bez śladu, przytem śnieżna powłoka cała jest ułożona w faliste przeguby, podobne do ruchomej powierzchni morza; krawędzie tych fal śnieżnych i ich grzbiety nazywają „zastrugami“. Według kierunku linij obrzeżających je, można się niekiedy orjentować wśród pustyni śnieżnej, ale trzeba przytem znać kierunek głównych wiatrów, panujących w danej porze roku. I tak w perjodzie naszej wędrówki mieliśmy przeważnie wiatry południowe, brzegi więc fal zwrócone były na północ, i w tym kierunku leżały także i grzbiety fal śnieżnych.

Nawet w dzień najcichszej pogody, powiew wiatru jest stały na tundrze; nad jej powierzchnią unosi się wtedy ciągły dymek śnieżny, jak obłoczek pary nad kipiącą wodą, płynie on lub toczy się w kierunku podmuchu wiatru, uwidoczniając się najbardziej u krawędzi fal; powierzchnia więc tundry jest w ciągłym ruchu, a jakkolwiek ruch ten jest prawie niewidzialny, lecz niemniej bezustannie zmienia on kontury wszystkich części powłoki tundry.

Gdy siła wiatru się zwiększa, wtedy obłoczek śnieżny wznosi się coraz wyżej, rozszerza się coraz bardziej i zamienia się w obłok gęsty, pędzący po nad powierzchnią tundry; zasypuje on wtedy oczy jadącym tak, że nic dookoła widzieć nie można. Ale pomimo wiatru, niekiedy dosyć silnego, pomimo śnieżnego obłoku, podróż jest możebną jeszcze, bo zmysł orjentacyjny przewodników potrafi kierować się i wśród zawieji. Dopiero gdy buruny roztoczą swoje panowanie nad tundrą, możność

podróży ustaje, renifery wypowiadają posłuszeństwo, zwracają się tyłem do wiatru, zbijają się w kupę, a ludzie podróżni, zaskoczeni znienacka, tulą się do siebie, okrywają futrami i z cierpliwością bohaterską czekają końca huraganu śnieżystego.

Podczas naszej podróży z Bor-Syru nie było burunów, nie nawiedziły one ani razu tundry w tę porę, a jakkolwiek wiatry panowały częste, i miewaliśmy zawieje śnieżne, lecz one nie miały charakteru burunów, były bez wichrowatych podmuchów, stanowiących znamienną cechę dla burzy północnej.

W tym przejeździe nie zbłądziliśmy także ani razu: przebyliśmy więc szczęśliwie ową drogę tak niebezpieczną i stanęliśmy w Bułuniu 20. września, przeszedłszy po zamarzłej już powierzchni rzeki Ajakit'u.

Gdyśmy przybyli do miejsca, zkąd przed dwoma niespełna miesiącami wyruszyliśmy w podróż lądową na Olenek, zima już była na dobre, objęła panowanie nad całym obszarem północy, atoli nie mogła jeszcze pokonać potężnej Leny. Byliśmy więc zmuszeni czekać, aż rzeka stanie, bo przez nią wiodła nasza droga powrotna na wschód, ku dolinie rzeki Jany. Następnie wyczekiwać musieliśmy także chwili, kiedy nieliczni mieszkańcy miejscowi wyrąbać zdołają przejazd po rzece, wśród olbrzymiego zatoru, zwanego „torosem", jaki się tworzy tutaj co roku w czasie zamarzania Leny, wzdłuż całej tej przestrzeni, gdzie ona jest ujęta w skaliste wybrzeża.

Lena, jak wogóle wszystkie rzeki Syberji północnej, pokrywa się lodem, poczynając od

ujścia. Zamarzanie rzek postępuje tutaj stopniowo od północy ku południu i odbywa się szeregiem kolejnych zatorów i wylewów. W miejscach, gdzie brzegi są płaskie, wylewy bywają ogromne, zatory zaś małe, a przedewszystkiem nie wysokie, natomiast tam, gdzie brzegi są skaliste i wyniosłe, wylewy nie mają wcale miejsca, lecz zatory piętrzą się tutaj i dochodzą do rozmiarów kolosalnych; bryły lodu, spojone ze sobą w najbardziej fantastyczny sposób, zalegają całą powierzchnię rzeki, wznosząc się daleko po nad jej zwykłe poziomy. Komunikacja wszelka pomiędzy brzegami przeciwległymi ustaje zupełnie, a stan taki trwa aż do czasu, gdy pracą zbiorową wszystkich mieszkańców sąsiednich osad, uda się nareszcie wyrąbać przejazd przez rzekę. Praca nad oczyszczeniem drogi jest wielce uciążliwą dla nielicznych tubylców; pragnąc ją choć w części umniejszyć, wyszukują oni przestrzeń, gdzie zatory są słabiej rozwinięte: tak n. p w roku 1875 znaleziono najodpowiedniejsze miejsce dla przeprowadzenia drogi, dopiero aż w pobliżu osady Sitkiach, położonej daleko od Bułunia, w górę po rzece Lenie.

Zajęcia nasze podczas przymusowego wyczekiwania ograniczyć się musiały do obserwacji meteorologicznych i notatek etnograficznych, mieliśmy więc dosyć czasu na przepakowanie i ułożenie zbiorów, odpowiednio do możliwych i przewidywanych warunków podróży naszej do Jakucka.

W pierwszych dniach października wyruszył Czekanowski jeszcze raz na zachód w celu zasięgnięcia od mieszkańców tamtejszych pe-

wniejszych wiadomości, dotyczących drogi na doliny rzek: Chatangi, Anabaru i Pjasyny; projektował on bowiem urządzić już w roku 1876 nową wyprawę na północ, ażeby módz zakończyć swoje badania dotychczasowe i powiązać w całość organiczną luźne i rozstrzelone dotąd rezultaty poszukiwań Łopatina na Jeniesieju, Schmidta na Amurze i w Daurji i swoje własne, uskutecznione po dolinach rzek: Angary, Tunguzki, Leny, Jany i Oleneka.

W czasie nieobecności Czekanowskiego, życie nasze w jurcie jakuckiej, ciemnej i dymnej wlokło się leniwie i smutnie, jedynem jego urozmaiceniem i uprzyjemnieniem zarazem było zjawisko zorzy północnej, świecącej co wieczór między godzinami 8-mą i 9-tą od 1. do 13. października. Blask jej niezwykły na ciemnem niebie połnocnem, gra mieniących się promieni barw delikatnych, załamywanych w bryłach lodu i w drobnych kryształach szronu, zdobiącego powierzchnie wszystkich przedmiotów w pejzażu zimowym, wywoływały efekty przecudne. Pomimo jednak całego uroku krajobrazu, opromienionego zorzą północną, wieje od niego chłodem polarnym, to też chętniebyśmy zamienili to świetlne widowisko, trwające niekiedy całe godziny, na jedną chwilę ciepłego, wesołego uśmiechu zachodzącego słońca wśród pejzażu wiejskiego pól naszych rodzinnych.

Po powrocie Czekanowskiego z wycieczki na zachód, naznaczyliśmy termin wyjazdu, a 16. października wyruszyliśmy w drogę przez Wierchojańsk do Jakucka. Droga ta jest je-

dyną, po której odbywano dotąd i odbywać będą jeszcze przez długie lata podróże na północ, biorąc za punkt wyjścia Syberję wschodnią, ale nie jest ona drogą w tem znaczeniu, jakie się nadaje zwykle gościńcom i traktom w krajach cywilizowanych; na tym szlaku, od Jakucka do Bułunia, schroniska tylko, czyli „powarnie“ albo jurty, przeznaczone na wypoczynek podróżnych, są dziełem rąk ludzkich, resztę na tej drodze całej tworzy i urządza natura sama. Inżynierem budowniczym tutaj była, jest i będzie zima, ona zasypuje obfitym szutrem śnieżnym wszystkie nierówności, niepodobne do przebycia latem, ściele groble przez moczary i błota, stawia lodowe mosty na rzekach, łagodzi strome spady po górach i skałach; jednem słowem, buduje drogę na cały czas od października do czerwca i oddaje ją do użytku podróżnym, którzy tylko w czasie wyżej wskazanym mogą dotrzeć drogą lądową na północ daleką, tak n. p. do Wierchojańska, Niżnie Kołomska i t. d.

Schroniska dla podróżnych zbudowane są wzdłuż drogi. Odległość pomiędzy niemi nie jest wszędzie jednaką, wynosi ona od 4 do 6 „kessow“, według miary drogowej Jakutów, czyli od 60 do 90 wiorst: taką przestrzeń przejeżdża się na reniferach w ciągu 8 do 10 godzin, a resztę doby przepędzają podróżni w schroniskach, czekając, zanim się nakarmią i zanim wypoczną renifery pociągowe, albo konie wierzchowe, (te ostatnie jednak używane są tylko w południowych częściach drogi rzeczonej).

„Powarnie“ wszystkie są według jednego typu zbudowane, każda z nich jestto duża

jurta, zwykle bez okien, z szerokiemi oddrzwiami, ale najczęściej bez drzwi przy nich. Po środku jurty urządzone jest palenisko, a nad niem wielki otwór w pułapie dla dymu. Dokoła ścian mieszczą się dosyć szerokie „nary“ czyli ławy, zbudowane z łupanych kłód, z gruba tylko toporem obciosanych, co sprawia, że nie zbyt wygodne ma się na nich pomieszczenie dla snu i wypoczynku. Jako uzupełnienie do krótkiej charakterystyki poczekalni jakuckich możnaby dodać jeszcze kilka następujących szczegółów, a mianowicie, że ściany ich są najczęściej ażurowe, więc przeświecają na wylot, że są poczerniałe od dymu, pokryte lodem lub sączącą się z niego wodą, że następnie po każdej zawieji i śnieżycy wnętrze jurty jest zawalone śniegiem, który uprzątać muszą podróżni, chcąc się dostać do nar i do paleniska.

Przejezdni, gdy goszczą w schronisku, podtrzymują ciągły ogień i to obfity, drzewa nie żałując wcale, zwykle więc bucha tu płomień ogromny, a blask jego świeci łuną nad pułapem i kłębami dymu, przedostaje się przez szpary w ścianach i oświetla je na zewnątrz tak, że jurta wygląda z daleka na nią patrząc, jak latarnia. Człowiek, siedzący na narach przed ogniskiem, ma ciepła za wiele dla twarzy swojej i zbyt wiele światła dla oczu, gdy przeciwnie strona jego ciała zwrócona do ściany, od której wieje porządnie, marznie najformalniej, obok tego dym nie wszystek ulata przez otwór w pułapie, lecz ściele się u sufitu, pełza po ścianach, zstępuje niżej i łzy wyciska z oczu u ludzi, którzy do niego nie

przywykli, lub przywyknąć nie mogą. Chcąc ochronić oczy od blasku światła, od gorąca i dymu, a całe ciało od zbyt silnych kontrastów w temperaturze otoczenia, podróżnik nie ma innej rady, jak szukać wyzwolenia od cierpień swoich w worku sypialnym, który sobie rozściela na nierównych i w garby obfitych narach: jestto jedyny sposób, w jaki można uniknąć niedogodności i męczarni wyżej wspomnianych, lecz za to trzeba pozostawać 14 do 16 godzin z rzędu w pozycji leżącej, spoczywając z zamkniętemi oczami, przysłonionemi nadto daszkiem futrzanym od czapki. Szczęśliwym nazwać się może ten, kto zdoła wobec warunków rzeczonych sen przywołać na swoje usługi, atoli rzadko się to udaje, częściej daleko leżeć musi podróżny w swym worku sypialnym, trapiony bezsennością męczącą, albo pogrążony w poddrzemce chorobliwej, nawiedzanej zwykle wizjami fantastycznemi, albo rojeniami trwożnemi. Takimi to są warunki, wśród których żyć jest zmuszony wędrownik podczas pobytu swego w schroniskach. Ale nie lepszą jest też dola jego i wtedy, gdy jedzie na nartach, już samo ubranie podróżne, składające się oprócz bielizny flanelowej, z trzech warstw odzieży futrzanej *), czyni człowieka

*) Podróżni, w nowszych czasach wybierający się w krainy polarne, mają różne gatunki ubrania, chroniące od zimna. Na Syberji wyboru nie ma, trzeba się tak odziewać, jak się odziewa ludność miejscowa. Strój dla podróżników, odbywających drogę na nartach, składa się mniej więcej z następujących ubrań futrzanych i innych części dodatkowych:

1) Ubrania spodnie z futra piescowego, noszone sierścią do ciała.

niezdolnym do wykonywania jakichkolwiekbądź ruchów dowolnych, a gdy do tego dodamy konieczne obwinięcie nog w worek podróżny i przymusową pozycję na wpół leżącą, jaką zachowywać trzeba w czasie całej drogi, to łatwo zrozumieć już będzie można, że tortury w schronisku, na narach znoszone, dorównywują torturom, cierpianym na nartach. W czasie, gdy temperatura powietrza wynosi około 25° R. i gdy oczy podróżnika nie są jeszcze zaczerwione od dymu, może on wtedy podczas jazdy cieszyć się wrażeniami wzrokowemi, patrząc na okolice, pogrążone w półmrokach nocy, trwającej 20 godzin na dobę, ale gdy mrozy dochodzą do 40° R., gdy rzęsy zmarzają, a łza padająca z oka zamienia się

---

a) Ketenczy, pończochy długie, sięgające po za kolana;

b) Syali, spodnie krótkie.

c) Son, koszula futrzana.

2) Ubranie wierzchnie ze skór reniferowych, noszone szerścią na zewnątrz.

a) Kamius czyli kamasy, buty długie, uszyte z „łapek" reniferowych, czyli ze skórek, zdjętych z nóg reniferów.

b) Spodnie krótkie, z takichże „łapek" reniferowych uszyte.

c) Kamleja, rodzaj koszuli wierzchniej, futrzanej, bez rozporka na przodzie, wdziewana przez głowę. Przy niej jest zwykle kapiszon.

d) Sangyjach, płaszcz długi z rękawami, noszony zwykle po wierzchu innego odzienia. Po rosyjsku „docha" albo „dacha".

3) Okrycie na głowę i twarz.

a) Bergiasia, czapka futrzana z klapami na kark i uszy.

b) Opaski na nos i czoło.

c) Siatki na oczy.

natychmiast w perłę lodową, gdy bez maski, ochraniającej usta, oddychać nie można, ani patrzeć bez okularów siatkowych, gdy nadto oczy są zbolałe, nos obrzękły, policzki pozbawione naskórka, usta popękane — wtedy braknie już chęci, a i możności nawet do obserwacji; podróżny zarzuca kapiszon z futra na czapę futrzaną, zaciska daszek głęboko na oczy, zamyka je, tonie głową w kołnierzach futrzanych i siedzi osowiały, nudny i obojętny na wszystko, co się dzieje dokoła niego.

Przewidując okoliczności w rodzaju tych, jakie wymienione były powyżej, a które towarzyszą zwykle każdej wyprawie polarnej, odbywanej w Syberji, przystępowaliśmy do podróży naszej zimowej, mającej trwać dwa miesiące co najmniej, z pewnym rodzajem lęku trwożnego. Jakiś niepokój nieprzezwyciężony opanowywał nami. Tailiśmy wprawdzie jeden przed drugim myśli, które nurtowały w nas, ale może też i dlatego przytłumić ich nie mogliśmy.

Pakując do drogi resztki naszych zapasów podróżnych, przekonaliśmy się, że jedne z nich już są wyczerpane, a drugie blizkie wyczerpania, tak że oprócz mięsa suszonego i mrożonego, ryb takich samych i trochę herbaty, nic więcej nie mieliśmy już ze sobą na drogę. Odtąd więc tylko ryba i mięso, bez chleba, bez mąki, bez krup i herbata bez cukru stanowić miały posiłek codzienny aż do Jakucka.

Wyjeżdżając z Bułania rozporządziliśmy się w ten sposób, że obóz ze zbiorami, składający się z 30 nart, szedł zawsze przed nami

o 12 godzin wcześniej, tak że gdyśmy przybywali do jurty na nocleg, on wtedy wyruszał w drogę dalszą, dążąc do następnego miejsca noclegowego; mieliśmy więc zawsze schronisko już ogrzane, a w niem przygotowane drzewo na opał przez naszych przewodników, dozorujących obozu. Każdy z nas jechał na osobnych nartach, ciągnionych przez dwa renifery, uwiązane do sanek jednego z przewodników Jakutów, stąd też kierować reniferami nie mieliśmy potrzeby. Pierwszy nocleg za Leną wypadł w schronisku Ebeteń u stóp dosyć wyniosłych gór, zwanych Charaułach, stanowiących dział wodny pomiędzy dopływami rzek: Leny i Jany. Do 23-go października chłody nie dokuczały nam zbytecznie, dopiero od 23-go zimno wzmagać się zaczęło: dnia rzeczonego przy temperaturze 24° R. obserwowaliśmy zjawisko Fatamorgana, występujące w tych szerokościach zwykle o wschodzie słońca. Wywoływane ono bywa zazwyczaj skutkiem pewnego rodzaju mgły, wznoszącej się nad powierzchnią śnieżną, po cichej nocy bezwietrznej. Minąwszy niewysokie góry, zwane Kutar, stanęliśmy dnia 27 października w mieście powiatowem Wierchojańsku, położonem nad rzeką Jana. Miasto całe składało się wówczas z kilku domów drewnianych i kilku jurt jakuckich: w domach mieścili się przedstawiciele władz cywilnych i duchownych: naczelnik powiatu („Isprawnik“), dziekan („Błohoczynny“) i dwóch popów: obok nich we własnym domku mieszkał kupiec, Jakut, Nikita Gorochow, u którego znaleźliśmy przyjęcie gościnne. Kupiec rzeczony był to człowiek światły, dosyć oczytany, patrjota ja-

kucki, miłujący gorąco swój kraj rodzinny, posiadał biblioteczkę, złożoną przeważnie z dzieł popularnych, traktujących o naukach przyrodniczych, zajmował się meteorologją, urządził u siebie małe obserwatorjum, prowadził starannie dziennik spostrzeżeń już od lat kilku, spisywał przytem podania, gawędy, baśnie etc. ludu jakuckiego i opracowania swoje, dotyczące tych przedmiotów przesyłał do Towarzystwa geograficznego w Irkucku. Chęć do czytania i do prac literackich, i wogóle wykształcenie całe zawdzięczał głównie wygnańcom Polakom, z którymi służył w biurach towarzystw prywatnych, poszukujących złota w kopalniach na Alokmie i Witimie; o byłych towarzyszach i nauczycielach swoich zachował pamięć wdzięczną i życzliwą. Nam dopomógł przy organizacji nowego obozu dla dalszego transportu zbiorów, jemu zawdzięczamy także wiele wskazówek praktycznych, dotyczących podróży zimowych, a nadto nauczył on nas sposobu karmienia się rybą surową, mrożoną, a spożywaną w formie potrawy, zwanej „Struganiną“ *). Pożywienie, sporządzone z ryby surowej, w warunkach, przy jakich odbywać musieliśmy podróż dalszą, okazało się doskonałem i niczem zgoła

*) Potrawa zwana „Struganiną“ robi się w ten sposób, że rybę zamrożoną do twardości, jaką może wytworzyć mróz czterdziesto stopniowy, „struże“ się przy pomocy bardzo ostrych nożów (wyrabianych przez Jakutów ze stali jakuckiej) na cieniutkie wiórki, mające wygląd możebnie najdelikatniejszej heblowiny drzewnej, spiralnie skręconej. Takie arcydelikatne wiory z ryby spożywają się jak lody, ale w stanie zupełnego zamrosenia, bo są tem lepsze, im są zimniejsze. Struganina sporządza się przeważnie z ryb jesiotrowatych, a szcze-

nie dającem się zastąpić w drodze. Szczególnie ważne miało ono znaczenie ze względu na to, że służy jako środek przeciwko cierpieniom szkorbutowym i że nawet przy spożywaniu codziennem nie budzi odrazy, jaką się czuje po pewnem czasie do potraw, sporządzanych z ryby gotowanej.

Pierwszego listopada słońce weszło o godzinie 12 i zaszło o godzinie 3-ej po południu Termometry nasze i Gorochowa wskazywały temperaturę powietrza, wynoszącą 41° R. Tego dnia wieczorem wyjechaliśmy z Wierchojańska, rozpoczynając drogę do Jakucka, która trwa przy zwykłych warunkach 30 dni, mieliśmy więc przed sobą cały miesiąc męczarni nielada, bo do cierpień i udręczeń, doświadczanych już podczas wędrówki uprzedniej, przyłączyły się teraz nowe, powodowane mrozami, dochodzącymi stale do —40 i —44° R., przyczem zauważyliśmy, że siły nasze fizyczne słabły widocznie. Zdrowie Czekanowskiego zaczęło się pogarszać i wraz z tem wystąpiły symptomaty znieczulenia i chwilowej apatji, a jednocześnie senność jakaś nienaturalna napadała go bardzo często. Ta ostatnia okoliczność budziła obawy albowiem znaną jest rzeczą, że sen przy temperaturze —40° R. bywa najczęściej rodzicem śmierci. Tak n. p. zginął Steller, zasnąwszy

gólnie ze sterletu. W braku jesiotrów jednak robią struganinę i z ryb łososiowatych. Zwykle jadają potrawę rzeczoną bez żadnych dodatków, niektórzy wszakże spożywają ją z przyprawami rozmaitemi. Specjal ten jakucki, tak nam przypadł do smaku, że odtąd w ciągu prawie dwóch miesięcy, stanowił główne pożywienie nasze.

w drodze i tak zmarło wielu innych podróżników. Czekanowski walczył, jak mógł, z chorobą, pokonywał ją siłą woli i na szczęście wyszedł zwycięzko z tej ciężkiej próby, która nam wiele niepokojów sprawiła.

Droga nasza od Wierchojanska wiodła wzdłuż doliny rzeki Jany, wznosząc się wraz z nią samą coraz wyżej i wyżej ku podnóżom gór, skąd rzeka bierze swój początek; jadąc tedy wciąż pod górę przez cały prawie tydzień dotarliśmy do szczytu gór pasma Wierchojanskiego, gdzie się znajdowało podówczas schronisko, zwane Keń-Jurah. Z tego miejsca spuszczać się trzeba było po wielce stromym zjeździe wprost na dolinę rzeki Tukałach, wpadającej do Ałdanu, jednego z większych dopływów Leny.

W chwili, gdyśmy przybyli do schroniska, wyjeżdżała stamtąd karawana kupiecka, jadąca na północ przez Wierchojansk do Kołymy; składała się ona z kilkudziesieciu jucznych koni i kilkunastu ludzi, jadących wierzchem. Wieźli oni towary, zakupione podczas jarmarku w Jakucku, na jarmarki północne. Właścicielem towarów był kupiec z Kołymy, odbywający corocznie takie podróże w ciągu lat 11. Jechał on teraz wraz z żoną swoją konno przy temperaturze -42^{0} R. Witaliśmy, a zarazem żegnaliśmy tych ludzi, zahartowanych na mrozach północnych, życzeniem najszczerszem — podróży szczęśliwej, a goniąc okiem za odjeżdżającymi, myślą sięgaliśmy do źródeł wszelkich heroicznych czynności ludzkich — źródłem tem była, jest i będzie miłość.

W schronisku zastaliśmy naszych ludzi, za-

jętych przygotowaniem do przeprawy zbiorów, oraz całego bagażu, nart i reniferów przez zjazd karkołomny na dolinę. Spuszczanie całego obozu po dnie niezmiernie stromego i krętego wąwozu, zawalonego odłamami skał, było niezmiernie trudnem. Wywiązali się z niego Jakuci w sposób następujący: łączyli oni każde cztery narty w jednę całość, mającą kształt tratwy, z tyłu nart uwiązywali mocno renifery pociągowe, następnie czterech ludzi siadało po bokach tratwy, trzymając nogi zwrócone na zewnątrz. Gdy tratwa była gotowa i naładowana, spychano ją w przepaść. Byłaby ona tam niezawodnie zgruchotaną została, gdyby nie żywy i ruchomy hamulec, utworzony z 8-miu reniferów, uwiązanych z tyłu nart. Te biedne, krzepkie, w nogach i rozumne zwierzęta przysiadłszy na tyle i opierając się z całej siły nogami przedniemi, powstrzymywały rozpęd szalony, pędzącej na dół tratwy i w ten sposób dawały możność, siedzącym na niej Jakutom, do sterowania nogami i nadawania saniom żądanego kierunku po zakrętach wąwozu. Żadne inne zwierzę wykonać takich czynności nie byłoby w stanie. Po spuszczeniu pierwszych 4 nart, zeszliśmy pieszo na dolinę ścieżką boczną, po której wstępowała dnia uprzedniego karawana kupiecka. Zejście, nawet przy stąpaniu po śladach końskich, w głębokim śniegu wydeptanych, było bardzo trudne, z racji niezmiernie stromej spadzistości powierzchni góry. Zeszedłszy na dolinę przypatrywaliśmy się następnie procesowi oryginalnej przeprawy tratw przez wąwóz.

Dzień był jasny, niebo pogodne bez żadnej chmurki, blade, jak zwykle niebo zimy polar-

nej. Słońce bez ciepła, stojące nizko na horyzoncie, rzucało skośne promienie. złocąc góry i lasy, odziane w puchy śnieżne, prawdziwie dziewiczej białości, jaką się widzi tylko na północy. W powietrzu martwem, nieruchomem, co zawsze ma miejsce przy temperaturze poniżej —40 ⁰ R., pływały i lśniły się w słońcu tysiącem iskier brylantowych kryształy szronu, padające na powierzchnię drzew i na śnieżną powłokę gór. W wąwozie, kędy spuszczano tratwy nartowe, śnieg sypki, suchy i lekki, jak pył najdelikatniejszy, wzruszony nogami hamujących reniferów i sterujących Jakutów, wzbijał się kłębami do góry i tworzył obłók śnieżny po nad nimi. Po tym obłoku unoszącym się w powietrzu, oświetlonym promieniami słońca, poznawaliśmy kierunek i rozpęd lecących na dół nart, a tylko na zakrętach tu i owdzie w wąwozie wynurzała się na chwilę z obłoku dziwaczna grupa, złożona z Jakutów i reniferów, ażeby natychmiast utonąć w nowej chmurze świetlanej mgły śnieżnej.

Przeprawa trwała kilka godzin, tak że zdołaliśmy dnia tego ujechać zaledwie wiorst kilkanaście drogi i zanocowaliśmy w uroczysku Syś-Anna, położonem na brzegu rzeki Tukałach. Stąd jechaliśmy dalej brzegiem rzeki aż do jej ujścia samego do Ałdanu: tutaj w schronisku Dżeli zastaliśmy już stałych mieszkańców i dopiero w tem miejscu pożegnaliśmy uprząż reniferową. Do nart przymocowano „hołoble“, wprzężone po jednym koniu którego dosiadał Jakut, pełniący rolę woźnicy. W osadzie Dżeli po raz pierwszy na tej drodze widzieliśmy pola maleńkie, na których uprawiają

jęczmień, a w jurcie Jakuta narzędzia rolnicze i młynek ręczny do mielenia zboża. Placki jęczmienne „podpłomyki“ i kasza z krup stanowiły ucztę prawdziwie królewską. W ciągu dwóch tygodni następnych jechaliśmy brzegami Ałdanu i Leny, a pierwszego grudnia przybyliśmy do Jakucka.

Z radością szczerą witaliśmy gród stołeczny Jakutów, bo tutaj mieliśmy nadzieję urządzenia dogodniejszego jazdy dalszej, a zarazem mogliśmy już teraz powierzyć skarby nasze, czyli zbiory, z takim trudem nagromadzone, opiece poczty państwowej i w ten sposób umniejszyć koszta podróży i pozbyć się kłopotu, nieodłącznego od transportowania przy sobie tak znacznych kollekcji.

Upakowanie ostateczne zbiorów dla oddania ich na pocztę, kupno i urządzenie dużych, ciepłych sani podróżnych zajęło nam pięć dni czasu, tak że z Jakucka wyjechać mogliśmy dopiero 6-go grudnia. Po 15 dniach ciągłej jazdy we dnie i w nocy, bez wypoczynków noclegowych na stacjach, stanęliśmy w Irkucku 21. grudnia.

Tu był koniec podróży, trwającej przeszło 7 miesięcy. Długość drogi odbytej w ciągu niniejszej wyprawy wynosi około 12.000 wiorst. Co do rezultatów naukowych, to je streszczam poniżej według sprawozdania Czekanowskiego. I tak:

1. W zakresie badań geograficzno-geologicznych opracowane zostały dwie mapy, jedna dotycząca drogi od Jakucka do Ajakitu i Bułania, druga od Ajakitu ukośnie przez tundrę na dolinę Oleneka i wzdłuż tej doliny do oce-

anu lodowatego, czyli Bus-Bajkału, jak go nazywają Jakuci *). Jednocześnie ze szczegółami geograficznemi zebrano w czasie podróży dostateczną ilość danych geologicznych, dla możności sporządzenia map odpowiednich.

2. W zakresie kollekcji paleontologicznych, botanicznych i zoologicznych, zebrano 1.500 okazów skamielin, 3.000 okazów roślin i 7.000 owadów **).

Wkrótce po przyjeździe do Irkucka uzyskał Czekanowski zezwolenie na powrót do Europy i już w początku stycznia r. 1876 wyjechał do Petersburga w celu uzyskania środków potrzebnych do nowej ekspedycji na doliny rzek Chatangi, Anabaru i Pjasyny. Tę podróż mieliśmy zamiar odbywać wspólnie. Atoli w stolicy nie znalazł Aleksander należytego poparcia dla projektów swoich. Wojna turecka pochłaniała naonczas wszystkie fundusze.

W czerwcu r. 1876 odebrałem list od Czekanowskiego, w którym lakonicznie donosi mi o stanie swoich interesów, pisząc co następuje: „Co do wyprawy, to, niestety, pozostała mi tylko słaba nadzieja, zresztą ostateczna decyzja nastąpić może dopiero w jesieni. O sobie mało mam do powiedzenia. Dano mi zajęcie przy muzeum mineralogicznem Akademji. Powoli rozpatruję się w materjałach i zaczynam

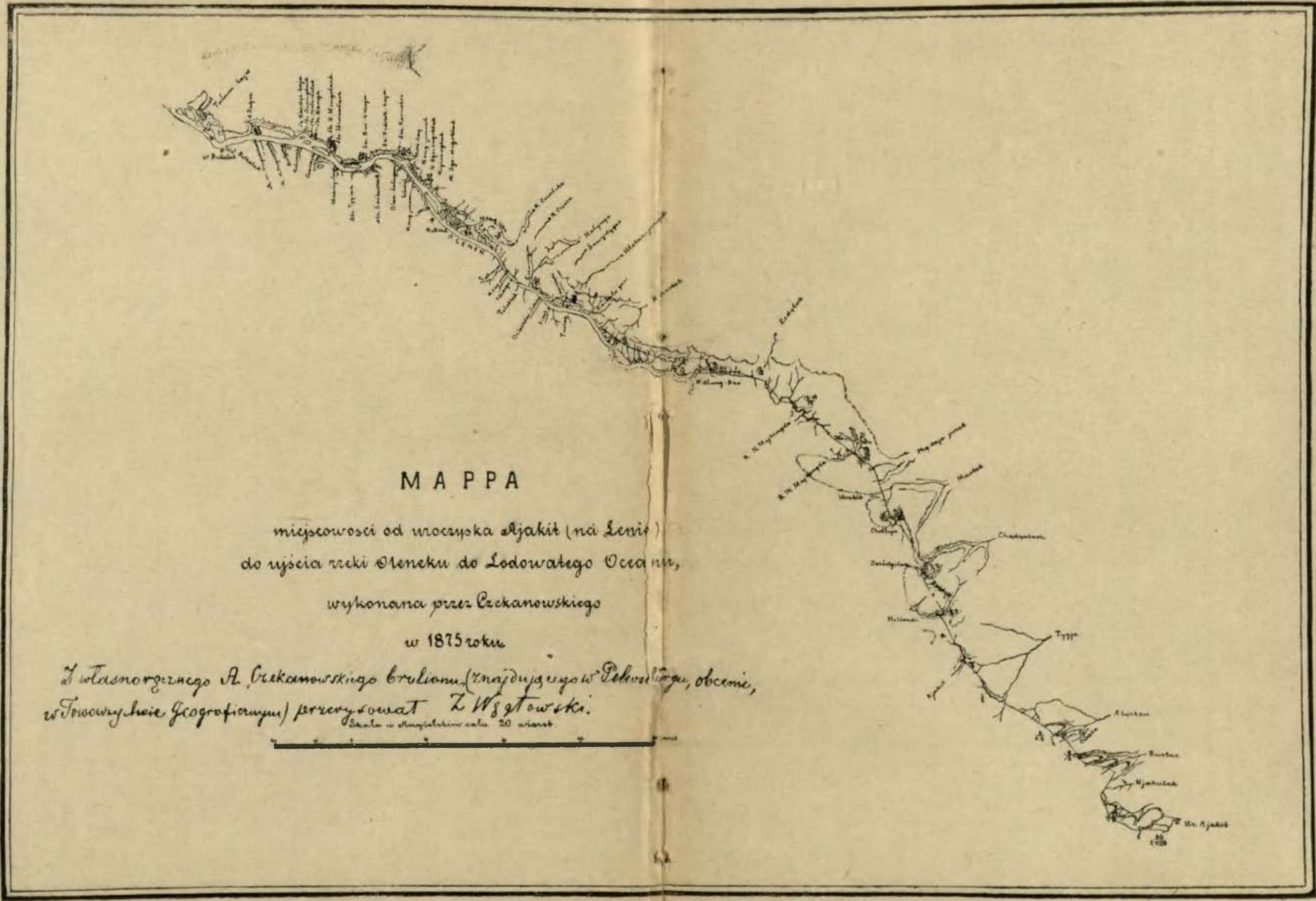
*) Jakuci nazywają każde morze „Bajkałem". Ocean północny nosi u nich nazwę „Bus Bajkał". Ocean wschodni „Iti Bajkał".

**) W życiorysie Czekanowskiego podane zostały inne liczby, niż powyżej wskazane. Ilości tam wymienione odnoszą się do zbiorów Czekanowskiego, pochodzących z trzech ekspedycji razem wziętych, a nie tylko tej ostatniej na Olenek.

opracowywać nasze zbiory. Kollekcje sprzedałem Akademji za 1.300 r s. Jeżeli do tej sumy dołączę 400 r. s. należne mi w Irkucku, to będę w stanie uiścić się z długu, zaciągniętego na naszą podróż ostatnią". W drugim liście, pisanym z Petersburga w miesiącu sierpniu, oświadcza stanowczo, że „zamierzona podróż nie dojdzie już do skutku". Odtąd nie miałem już żadnych wiadomości od niego.

Aleksander straciwszy ostatnie nadzieje urzeczywistnienia swoich marzeń jedynych, swych pragnień gorących, pędził życie samotne w Petersburgu bez wszelkich środków pieniężnych, bo nawet grosz swój ostatni, zaoszczędzony ze sprzedaży dawniejszych zbiorów, musiał oddać teraz na zapłacenie długu, zaciągniętego na wyprawę. Wśród warunków ciężkich egzystencji ówczesnej, nie mając nikogo w swojem otoczeniu, z kimby go łączyć mogły uczucia przyjaźni serdecznej, ciepłej, rodzimej, wychodzącej po za zwykłe granice koleżeństwa naukowego — tęsknił między obcymi, martwił się, obojętniał do życia, aż przyszła chwila rozpaczy i nastąpił zgon przedwczesny. Zgon ten napełnił smutkiem niewypowiedzianym i boleścią głęboką serca licznych jego przyjaciół, którzy go czcili, wielbili, kochali.

Jako dodatek do niniejszego, krótkiego sprawozdania o ostatniej podróży Czekanowskiego na północ, umieszczam tu mapkę drogi, odbytej przez tundrę i wzdłuż po dolinie Oleneka. Mapka ta, przedstawiona tutaj w rozmiarach zmniejszonych, nie była jeszcze dotąd wydana.


MAPPA
miejscowości od uroczyska Ajakit (na Lenie)
do ujścia rzeki Oleneku do Lodowatego Oceanu,
wykonana przez Czekanowskiego
w 1875 roku.
Z własnoręcznego A. Czekanowskiego brulionu (znajdującego się w Petersburgu, obecnie,
w Towarzystwie Geograficznym) przerysował Z Węgłowski.